

**LEWICA: TRZECH TENORÓW
CZY TERCET EGZOTYCZNY?**

**AFERA W NAJSTARSZEJ
RAFINERII**

**PROF. WALDEMAR KARNAFEL:
ODŻYWIAMY SIĘ SKANDALICZNIE**

**POLSCY TURYSŃCI
Z PIEKŁA RODEM**

UCZEŃ Z KASĄ

Coraz
więcej
szkół
prywatnych



♦ TEATR CAPITOL ♦

PRZEWOD
BOŻENA
SŁAWIŃSKA

PHILIP
KING

REŻYSERIA
MARCIN
SŁAWIŃSKI

Światowy hit !

PREMIERA
WRZESIEŃ 2019

O CO biega?



MARCIN
TRONSKI

MICHAŁ
ROLIŃSKI

ALEKSANDRA
DOMAŃSKA

STEFAN
PAWŁOWSKI

ANNA
CZARTORYSKA

WOJCIECH
MAJCHRAK



PIOTR
ZELT

MAREK
KALISZUK

VIOLA
ARLAK

MACIEJ
KAMIŃSKI

OLGA
BONCZYK

TOMASZ
GĘSIKOWSKI



DELFINA
WILKOŃSKA

RAFAŁ
SZCZĘCH

KATARZYNA
PTASŃSKA

PIOTR
MIAZGA

DARIUSZ
WIETESKA

♦ KUP



♦ teatrcapitol.pl

CYTATY

BARBARA PIWNIK,
sędzia, była minister
sprawiedliwości

*Internet jest mi na tyle
obcy, że nie znam żadnych
hejterów i nie zamierzam
ich poznawać.*

„Polska The Times”

KS. ADAM BONIECKI,
redaktor senior

*Niestety, ani państwo, ani
Kościół nie uporały się
w Polsce z alkoholizmem.*

„Tygodnik Powszechny”

**JAN KRZYSZTOF
ARDANOWSKI,**
minister rolnictwa
i rozwoju wsi

*Sam jestem rolnikiem
i nie spotkałem się jeszcze
z sytuacją, żeby rolnicy
nie narzekali.*

„Top Agrar”

TOMASZ ORGANEK,
muzyk

*Wycofujemy się z aspiracji
do świata opartego
na humanizmie w coś
wstecznego, mrocznego.*

„Pani”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Do celi na przemyślenia

Miało być mądrze i praworządnie, a wyszło jak zwykle. Najważniejsza dla prezesa Kaczyńskiego, i to od lat, była reforma sądownictwa. Po zdobyciu władzy niezczędzono więc czasu ani środków, by rozwalić stary porządek i zbudować własne sądownictwo. I własną prokuraturę. Podporządkowane politycznie PiS.

Cztery lata samodzielnych rządów „dobrej zmiany” kończą się serią afer i katastrofalnym stanem całego obszaru, za który odpowiada minister Ziobro. Bilans jego ministrowania jest taki, że w tym resorcie nic nie działa lepiej niż cztery lata temu. Zaległości i opóźnienia w sądach są większe niż kiedykolwiek. Prokuratura ma więcej aresztów tymczasowych, nie bez powodów zwanych wydobywczymi. A w więziennictwie grasuje seryjny samobójca. Nastroje wśród sędziów i prokuratorów są fatalne. Konflikty inspirowane w tych grupach przez polityków zagrażają normalnemu funkcjonowaniu instytucji. Na dodatek trzecia władza, która od dawna była w kiepskiej kondycji, została zaatakowana przez władzę. Zorganizowanie w ramach rządu grupy hejtującej niepokornych sędziów jest tak kuriozalnym wydarzeniem, że PiS, premier Morawiecki i minister Ziobro mają miejsce w podręcznikach kryminalistyki. Afera hejterska, wymyślona i realizowana przez ludzi władzy, rozwiewa w Unii Europejskiej wszelkie wątpliwości co do stanu praworządności w Polsce. Teraz tylko ktoś słabo i powoli myślący może jeszcze wierzyć, że rządzą nami ludzie prawi i uczciwi.

Relacja między głównym odpowiedzialnym za ten stan rzeczy prezesem Kaczyńskim a powołanym przez niego na wykonawcę Ziobrą przypomina stare przysłowie „Złapał Kozak Tatarzyną, a Tatarzyn za łeb trzyma”. Co kto ma na kogo, jeszcze nie zostało upublicznione. Ale to tylko kwestia czasu. Bo jeśli grupa hejterska w Ministerstwie Sprawiedliwości, czyli pisowska elita, okazała się grupą durniów, to czego możemy się spodziewać po innych?

A Ziobro, groźny i wszechwładny szeryf, na którego sam się wykreował, dziś prezentuje się opinii publicznej jako niedojda. Nic niewiedząca o przestępcach w najbliższym otoczeniu. O współpracownikach, którzy hejtowali, knuli, oczerniali i zastraszali ludzi. Każdy z tych przestępców miał dostęp do tajnych informacji i przepustki otwierające każde drzwi. Byli bezmyślni i bezczelni. Moralność i praworządność znają tylko ze słyszenia. To, co zrobili, powinni przemyśleć w celi.

BĄKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Przespaliliśmy naszą szansę**
– rozmowa z dr. Jaremą Drozdowiczem
- 11 Kolejka do szkół prywatnych**
Uczniowie z kasą
- 15 Lewica – reaktywacja**
Trzech tenorów czy tercet egzotyczny?
- 20 Głową w mur**
Zamiast rafinerii składowisko odpadów

EKOLOGIA

- 23 Prawdziwy szwindel klimatyczny**
– rozmowa
z prof. Krzysztofem E. Hamanem

ZAGRANICA

- 26 Pożary w Amazonii: mięso i polityka**
Korespondencja z Ameryki Południowej
- 34 Dowód na istnienie**
Ludzie bez tożsamości
- 36 Kraj pustych kościołów**
Holenderskie świątynie do przeróbki
- 58 Dziewczyny, które nikogo nie obchodzą**
Cichy handel kobietami

OBSERWACJE

- 30 Turyści z piekła rodem**
Polacy skarżą się na wakacjach
- 56 I łaciate, i kudłate,**
pręgowane i skrzydlate...

ZDROWIE

- 40 Oszczędzamy trzustkę**
– rozmowa
z prof. Waldemarem Karnaflem

HISTORIA

- 42 Krwawa awantura**
w Cyrku Staniewskich
Bijatyka pod znakiem Falangi

KULTURA

- 46 Stary dziś się cieszy**
– rozmowa z Xawerym Żuławskim
- 50 Debiutanci i nobliści**
Ranking Tomusza Miłkowskiego
- 54 Culturalia**
- 66 Kobiety(on)y**

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Do celi na przemyślenia
- 18 Jan Widacki**
Lepszy Rydz niż nic
- 29 Roman Kurkiewicz**
Kościołowi odebrać Polskę
- 39 Ludwik Stomma**
Na pohybel Timmermansowi
- 49 Tomasz Jastrun**
Pocztówka z Grecji
- 53 Edward Mikołajczyk**
Polski Homer I wojny światowej



30

TURYŚCI Z PIEKŁA RODEM

Polacy skarżą się
na wakacjach

OBSERWACJE

36

ZAGRANICA

KRAJ PUSTYCH KOŚCIOŁÓW

Holenderskie
świątynie
do przeróbki



46

KULTURA

STARY DZIŚ SIĘ CIESZY

– rozmowa z Xawerym
Żuławskim

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADOBE STOCK



Portugalia: kozy przeciwpożarowe

Paweł Sołtys – Pablopavo

Piosenka czy książka – człowiek i tak się rozbiera

Prof. Grzegorz Ekiert

Żyjemy w momencie szaleństwa

Ewa Nowakowska

Co Kościół ukrywa przed wiernymi



Góry, górale i Goralenvolk

W rozmowie Mateusza Demskiego z Marcinem Koszałką (PRZEGŁĄD nr 34) przeczytałem: „Kwestia Goralenvolku nie będzie poruszana na żadnej lekcji historii, w żadnym możliwym ustroju tego kraju. Zaraz po wojnie komuniści zatuszowali to i zamietli pod dywan”. Tymczasem jako uczeń podstawówki na przełomie lat 50.

i 60. spotkałem się z tym pojęciem w trylogii Marii Kann „Wantule”, „Dujawica”, „Owczę ścieżki”. *Adam Szafarczyk*

To nie była czarna dziura

Premier Jan Krzysztof Bielecki po kilkunastu latach przeprosił za wypowiedź, że „okres PRL to czas większych zniszczeń niż okupacja niemiecka”. Natomiast nigdy nie usłyszałam, by inny premier wycofał się z wypowiedzi nazywającej PRL czarną dziurą. Nie jestem w stanie zrozumieć prominentnych polityków, nieznających dorobku PRL we wszystkich dziedzinach życia społeczno-gospodarczego oraz głoszących, że Polska uzyskała niepodległość w 1989 r. Odbudowa i rozwój Polski w latach 1945-1989 to wynik ciężkiej pracy i wielu wyrzeczeń mojego pokolenia, zwłaszcza wielu wybitnych Polaków o najwyższym autorytecie, uznanym nie tylko w kraju, ale i za granicą. Ich nazwiska powinny być zapisane na kartach historii. *Anna Janicka, Warszawa*

Faszycacja po polsku

Wiele jednostek AK walczących na Kresach zasługuje na upamiętnienie i przybliżenie młodym Polakom. Żeby kiboli nie zniechęcić, Andrzej Duda wybrał faszystowskich kolaborantów. Niszowy obóz polityczny stworzył brygadę w sierpniu 1944 r., kiedy hitlerowcy dobijali Warszawę. Brygada nie ruszyła na pomoc powstańcom, ale dekowala się, kolaborując z hitlerowcami.

Bogusław Rudel



Po prostu „prawica” nie ma do czczenia nikogo o odpowiednich poglądach politycznych. Zostają im przegrane powstanie wywołane „na złość” Stalinowi i bandy kolaborujące z nazistami przeciw idącemu ze wschodu armiom radzieckim i polskim w okresie wojennym. A po wojnie mają bandytów chcących powrotu sanacji. *Michał Czarnowski*

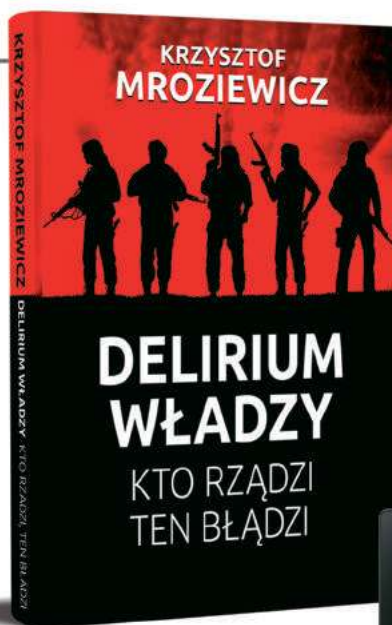
Do przegranego powstania i żołnierzy AK rządząca prawica nie ma żadnego sentymentu – traktuje ich co najwyżej instrumentalnie. Prawdziwą miłością pała do faszystów. Oni marzą o świecie karnym i uległym. Z obozami dla PO, PSL, SLD, Wąłęsy, Owsiaka, Komorowskiego, Michnika oraz lewaków, Żydów i LGBT.

Wiesiek Świątnicki

ZDJĘCIE TYGODNIA



Zofia Burchacińska, naoczny świadek bombardowania Wielunia, ze zdjęciem ruin miasta. Bestialski nalot, poprzedzający atak na Westerplatte, nazwano polską Guernicą. Rozkaz wydał Wolfram von Richthofen, ten który podczas wojny domowej w Hiszpanii zrównał z ziemią Guernicę.



**KRZYSZTOF
MROZIEWICZ**

**Czy jesteśmy skazani
na rządy psychopatów?**

**Co musimy zrobić, by wyjść
z zaklętego kręgu
dyktatur i terroru?**

PRZEGLĄD poleca!



Książka też w formie E-BOOKA

**Nie przegap okazji!
Tylko 19,90 zł**

Wpłat 47 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7.
Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł
lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

Przespaliśmy naszą szansę

Tragiczne efekty
nieprzemyślanej reformy edukacji i działania
minister Anny Zalewskiej
będziemy odczuwać jeszcze długo

Rozmawia Anna Brzeska

Po ostatniej reformie edukacji notuje się spory wzrost liczby placówek niepublicznych. Jakie może to mieć skutki?

– Odpiływ uczniów z placówek publicznych jest dziś zjawiskiem bezspornie narastającym. Od czasu wprowadzenia reformy edukacji liczba uczniów w szkołach niepublicznych wzrosła w Polsce o prawie 50%. Powoli staje się to problemem, którego społeczne skutki będą odczuwalne również poza kontekstem szkolnym, dotykając wielu innych obszarów życia. Warto zatem się zastanowić, co pcha ludzi w stronę prywatnego sektora edukacyjnego.

Jednak prywatne placówki pojawiły się nie na skutek reformy, ale znacznie wcześniej.

– Wyraźne rozróżnienie obu typów szkół jest efektem kierunku, jaki obrała cała polska gospodarka po transformacji ustrojowej. Model neoliberalny, który przyjęto w latach 90. i umacniano w kolejnych dwóch dekadach, stworzył dość powszech-

DR JAREMA DROZDOWICZ

– Zakład Edukacji
Wielokulturowej i Badań
nad Nierównościami
Społecznymi Uniwersytetu
im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu



Na czym polega ta zmiana?

– Edukacja jest dla wielu przedstawicieli klasy średniej jedną z ważniejszych furtek do osiągnięcia zakładanych celów. Nie jest to już jednak edukacja, którą rozpatruje się w wymiarze idealistycznym jako proces

Od czasu wprowadzenia reformy edukacji liczba uczniów w szkołach niepublicznych wzrosła w Polsce o prawie 50%.

nie podzielane przez Polaków wyobrażenie, że placówki prywatne są z definicji lepsze i niejako elitarne. Ich absolwenci tworzą zaś wąskie grono wybranych, przed którymi najlepsze polskie, ale i zagraniczne uczelnie stoją otworem. Uznawanie prywatnego szkolnictwa za trampolinę do sukcesu i kariery zawodowej jest zresztą do dziś w Polsce bardzo żywe, choć w ostatnich latach zmienia się podłoże strukturalne takiego sposobu postrzegania edukacji.

formowania dojrzałego wychowanka, częściej postrzegana bywa jako ciąg etapów, na których zdobywamy wyłącznie użyteczne i pożądane przez rynek pracy kompetencje. Prym wiodą zatem podejście utilitarne i klientelizm, ujawniające się na każdym poziomie kształcenia – także, a być może najbardziej, w prywatnym szkolnictwie wyższym. Trudno się dziwić, że rodzice wybierają szkoły zapewniające takie warunki, jakich sobie życzą dla swoich dzieci.

Czy to znaczy, że skoro klasy średniej przybywa, niedługo szkoły prywatne będą bardzo powszechne?

– O ile liczba szkół prywatnych w Polsce nie wystarcza obecnie do wchłonięcia większych mas kandydatów, o tyle bardzo możliwe jest dostosowanie ich oferty w perspektywie około pięciu lat do potrzeb rynku. Z drugiej strony nie sądzę, aby szkolnictwo prywatne stało się w naszym kraju masowe i zastąpiło publiczną oświatę. Większość Polaków będzie skazana na szkoły publiczne z wszelkimi tego konsekwencjami.

Czyli, jak się domyślam, pojawi się jeszcze wyraźniejsza linia podziału między bogatymi a biednymi.

– Już dziś w pewnym sensie kupujemy sobie takie wykształcenie, na jakie nas stać, posyłając dziecko czy to do szkoły publicznej, czy niepublicznej. Te pierwsze w ogólnym zestawieniu dość szybko tracą na atrakcyjności. Coraz częściej dla

najzamożniejszych nie jest to już bowiem wybór pomiędzy szkołą publiczną a prywatną czy nawet pomiędzy prywatnymi liceami w Warszawie, lecz wybór pomiędzy prestiżowym liceum warszawskim a szkołą z internatem, dajmy na to, w szwajcarskim Sankt Gallen. Ludzie ci, już jako dorośli, zapewne będą podobnie podchodzić do zaangażowania społecznego lub poczucia odpowiedzialności. Po co się rozliczać podatkowo w Polsce, skoro znacznie lepiej wyjdziemy na robieniu tego w Liech-

ciągają w zdecydowanej większości angielską wyższą klasę średnią oraz klasę wyższą. Pochodzenie i różnice etniczne odgrywają tam drugorzędną rolę. Kluczowe są różnice klasowe, na które Brytyjczycy pozostają szczególnie wyczuleni. Diane Reay, brytyjska socjolożka, ujmując to w ten sposób, że dzieci z klasy robotniczej mają w szkołach rozmaite i liczne deficyty, z których największym jest niskie poczucie własnej wartości. Polska edukacja, poprzez wybiórcze i nieudolne kopiowanie wzorca an-

i odbijają się na innych sferach, np. na rynku pracy. Już dziś widzimy przecież braki kadrowe w zawodach technicznych lub w sektorze usług, co jest bezpośrednim efektem wygaszania kilkanaście lat temu szkół zawodowych oraz emigracji Polaków np. na Wyspy Brytyjskie, do Holandii czy Niemiec. Edukacja to organizm, na którym wszelkie operacje wykonuje się z precyzją i przemysłowym planem na przyszłość, inaczej taki zabieg w najlepszym wypadku kończy się pogłębieniem stanu chorobowego. W najgorszym zaś – całkowitą zapaścią promieniującą na inne obszary życia publicznego.

U nas trudno chyba mówić o jakimkolwiek planie.

– Stan dzisiejszej edukacji możemy określić jako efekt transformacji „na pół gwizdka”. Nigdy bowiem po roku 1989 nie mieliśmy do czynienia ze sformułowaniem dalekosiężnej polityki edukacyjnej i połączeniem jej z pozostałymi działaniami modernizacyjnymi. Szkoły miały niejako samoistnie masowo produkować genialnych innowatorów, a uniwersytety noblistów. Nic z tego, jak wiemy, nie wyszło. Trudno bowiem porównywać sytuację sprzed 30 lat krajów europejskich o podobnym lub nawet mniejszym niż w Polsce potencjale gospodarczym z polską rzeczywistością po roku 1989. Dość

Uznawanie prywatnego szkolnictwa za trampolinę do kariery zawodowej jest do dziś w Polsce bardzo żywe.

tensteinie? Oczywiście to przejaśkrawiony margines omawianego zjawiska, aczkolwiek moim zdaniem dobrze pokazujący trajektorię zmiany na polskim rynku edukacyjnym, który podlega w wybranych sektorach globalnemu umiędzynarodowieniu. Nie jest to jednak tendencja napawająca optymizmem.

Dlaczego?

– Wpisuje się bowiem również w globalne statystyki dotyczące nierówności społecznych, w których różnice w posiadanych zasobach są dziś drastyczne, a częścią tego procesu jest przyjmowany w wielu krajach model edukacji elitarnej. Obserwujemy taki zwrot np. w Chinach, gdzie kopiuje się wzorce amerykańskie i brytyjskie. W efekcie różnica między chińską prowincją a wielkimi miastami, w których znajdują się najbardziej prestiżowe szkoły i uniwersytety, jest ogromna. Tym samym dalsza elitaryzacja szkolnictwa przekłada się na postępujące rozwarstwienie społeczne, tj. sytuację, w której wąska grupa zamożnych i poczuwających się do podejmowania decyzji absolwentów dobrych szkół – o wysokiej renomie i nie mniejszym czesnym – kieruje polityką i gospodarką. Bez wątpienia jest to model znany chociażby z Wielkiej Brytanii.

Jak to wygląda w praktyce?

– Mimo rozbudowanego systemu stypendiów dla mniej zamożnych i deklarowanego na każdym kroku w brytyjskich szkołach przywiązania do zasad równości i różnorodności nadal szkoły takie jak Eton College i uniwersytety takie jak Oksford przy-

gloskiej edukacji elitarnej, zmierza podobną drogą.

To taki wzorzec, gdzie wyłącznie pieniądze dają dostęp do edukacji?

– Szanse edukacyjne polskich uczniów pochodzących z niezamożnych rodzin kurczą się nie tylko na skutek przyczyn ekonomicznych. Coraz częściej mają oni także mniejsze możliwości wyboru szkoły lub kontynuowania nauki w ogóle, jak pokazał tegoroczny brak miejsc w liceach w całej Polsce. Jeśli nie jesteśmy laureatem olimpiady przedmiotowej lub nie stać nas na miejsce w szkole prywatnej, mamy realny problem ze znalezieniem się na liście osób

Nie sędzę, aby szkolnictwo prywatne stało się w naszym kraju masowe i zastąpiło publiczną oświatę.

przyjętych, nawet w szkołach niecieleszących się dotąd większym zainteresowaniem kandydatów. Jeszcze dramatyczniej wygląda edukacja osób niepełnosprawnych w Polsce, obecnie *de facto* skazanych na edukację domową. Tragiczne w skutkach efekty nieprzemyślanej i indolentnie przeprowadzonej reformy edukacji oraz działania minister Anny Zalewskiej będziemy odczuwać jeszcze długo.

Wiemy już, że są problemy ze znalezieniem miejsc w dobrych, a nawet przeciętnych szkołach. Wiemy, że odpływ uczniów do prywatnych placówek pogłębia nierówności społeczne. Co jeszcze?

– System edukacji działa zawsze tak, że skutki poczyniła w jego ramach odczuwalne są długofalowo

powiedzieć, że w odróżnieniu od Finów przepaliliśmy, jak zwykle, okazję do zbudowania systemu, w którym dobrze modelowana i konsekwentnie, latami wspierana przez politykę państwa edukacja nie tylko znacząco napędza rozwój gospodarczy, ale wręcz jest jego podstawowym warunkiem. Oznacza to, że polskie szkoły prywatne, zapewniające powstałą lukę, funkcjonują w podobny sposób, w jaki organizuje się takie instytucje we współczesnych Chinach. Ich wartość edukacyjną mierzy się jedynie sukcesem finansowym absolwentów. Ten zaś jest przecież głównym czynnikiem rekrutacyjnym. Kluczową różnicą między Polską a Chinami jest jednak kulturowo uwarunkowana motywacja osiągnięcia sukcesu społecznego. W Polsce ▶

► mamy do czynienia z przenoszeniem amerykańskiego wzorca jednostkowego sukcesu bez zapewnienia warunków jego realizacji. W Chinach czynnikiem tym jest silna presja spo-

dzieci. Mało prawdopodobne wydaje się zatem, że dzieci z warszawskiego Żoliborza będą uczęszczać do tej samej prywatnej szkoły co uczniowie z Pragi, mimo że tych drugich też

ponuje rewolucyjne jak na brytyjskie warunki podmiotowe podejście do uczniów oraz innowacyjny stosunek do samego procesu nauczania. Jako ciekawostkę można przywołać fakt, że dyrektorem tej placówki jest Krzysztof Zajączkowski, polski imigrant i edukator, który walczył przy czynieniu się do sformułowania jej etosu, zasad i sposobu organizacji. Czesne jest jednak w tej szkole niemałe i waha się od 2,1 tys. do 8,5 tys. funtów za semestr, zależnie od klasy.

Czy są jeszcze jakieś inne możliwe skutki trendu odwrótu od państwowej edukacji?

– Dostrzegam jeden pozytywny, zapewne niezamierzony, skutek zwiększenia liczby prywatnych szkół w Polsce. Chodzi o odpolitycznienie tego rodzaju placówek szkolnych. Wynika ono z możliwości realizowania edukacji zorientowanej bardziej na zdobywanie określonych kompetencji aniżeli utrzymanie zideologizowanego dyskursu edukacyjnego, co jest typowe dla placówek publicznych. Trudno jednak mówić w tym przypadku o zjawisku masowym ze względów przedstawionych już wcześniej. W każdym razie możemy się spodziewać, że w systemie edukacji prywatnej pojawią się instytucje realizujące odważne i efektywne eksperymenty oświatowe, a ich wychowankowie będą spoglądać już nieco inaczej na miejsce i rolę edukacji w procesie kształtowania życia społecznego.

Jest jeszcze problem nauczycieli. Są obawy, że szkoły publiczne w dłuższej perspektywie

Większość Polaków będzie skazana na szkoły publiczne z wszelkimi tego konsekwencjami.

teczna i rodzinna. Z kolei w przywołanej wcześniej Finlandii w szkołach przestrzega się rygorystycznie zasady równości, a nauczyciele nie mogą np. faworyzować wybranych uczniów w klasie. Szkoła wspiera wszystkich w podobny sposób, a jej pozycję mierzy się raczej wynikami testów kompetencyjnych wychowanków.

Z drugiej strony – czy szybko rosnące zainteresowanie szkołami niepublicznymi nie jest zjawiskiem w pewnym sensie pozytywnym? Być może, gdyby powstało jeszcze więcej niedrogich szkół, wspieranych państwowymi subwencjami, mogłaby się rozwijać edukacja bardziej zindywidualizowana, w mniejszych, lepiej zorganizowanych placówkach, tworzonych często przez ludzi z pasją?

– Chciałbym wierzyć, że takie szkoły nie tylko się pojawią, ale też będą miały rację bytu w nowej rzeczywistości. Jest to jednak nazbyt odległa i optymistyczna wizja. Dlaczego bowiem szkoły te miałyby utrzymywać niskie czesne, oferując w zamian wysokiego poziomu kształcenia? Dlaczego również państwo miałoby dofinansowywać takie instytucje przy jednoczesnym generowaniu przez nie pewnego poziomu zysku? Oczywiście komfort kształcenia w szkołach prywatnych i udogodnienia, jakie oferują one uczniom, przewyższają większość placówek publicznych. Niemniej jednak trudno określić to zjawisko w kategoriach pozytywnych. Komfort ten okupiony jest zazwyczaj pewnym kosztem społecznym. Te szkoły same kształtują swoją politykę rekrutacyjną i jest ona na ogół dość selekcyjna, nie tylko ze względu na przyjętą w nich formułę i kulturę organizacyjną, ale także ze względu na oczekiwania rodziców co do środowiska, w jakim mają się obracać ich

stać na hipotetycznie niewygórowane czesne.

Dlaczego to się nie uda? Jesteśmy aż tak uprzedzeni?



Anna Zalewska
– odpowiedzialna
za bałagan z reformą.

Najzamożniejsi mogą wybierać między prestiżowym liceum warszawskim a szkołą z internatem w Szwajcarii.

– Tym, co często podkreślają rodzice przenoszący dzieci z dużych szkół publicznych do prywatnych, jest poczucie braku bezpieczeństwa w przepełnionych klasach. Nie przekreślam jednak całkowicie możliwości funkcjonowania szkół prywatnych o silnym nastawieniu włączającym. Przykładem takiego udanego eksperymentu edukacyjnego, bazującego na instytucji prywatnej, może być szkoła powołana do życia przez znaną aktorkę Tildę Swinton w szkockim mieście Drumduan. Jednostka ta pro-

staną się niechcianymi miejscami pracy, gdzie rekrutacja nauczycieli będzie się odbywała raczej na zasadzie selekcji negatywnej.

– Kryzys dotyka środowisko nauczycielskie w takim samym stopniu co uczniów. Co oczywiste, sytuacja zawodowa nauczycieli, będąca skutkiem reformy, jest obecnie nie do pozazdroszczenia. Znaleźli się oni w punkcie, w którym wyczerpane zostały środki pozwalające na dyskusję z Ministerstwem Edukacji Narodowej na płaszczyźnie niewymagającej

radikalnego zakomunikowania swoich postulatów. W tym sensie decyzja o tegorocznym strajku jest jak najbardziej zrozumiała i logiczna. Niezrozumiała i irracjonalna jest za to postawa ministerstwa. Postulaty podwyżek formułowane przez nauczycieli nie obciążały bowiem budżetu państwa tak dotkliwie, jak było to przedstawiane w mediach, głównie publicznych.

Jak to? Podobno rząd nic już nie mógł zrobić.

– Przypomnę tylko, że zgodnie z ustawą zadania oświatowe finansowane są z trzech źródeł: dotacji, subwencji i przez samorządy. To samorządy i decyzje prezydentów poszczególnych miast uratowały w dużej mierze sytuację w czasie strajku, pokrywając część kosztów z budżetów lokalnych. Niepokojące jest w tym kontekście zaburzenie proporcji finansowania oświaty, pokrywanie przez samorządy coraz większych wydatków przy coraz mniejszym udziale państwa. Na przykład w Warszawie w latach 2014-2019 subwencja oświaty wynosiła 546 mln zł, a dopłata ze strony samorządu 1 mld zł. Nie jest to sytuacja komfortowa dla budżetów poszczególnych miast i trudno się dziwić, że chcą one odzyskać poniesione koszty nawet na drodze sądowej. Pomiedzy instytucją państwa a samorządami znajdują się natomiast nauczyciele.

Właśnie, są w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

– Ich publiczny obraz został dość poważnie naruszony. To, jak przedstawiano ich w telewizji, jest karygodne. Odrzucenie postulatów strajkujących, postawa ministerstwa i zorganizowany – co okazuje się obecnie – hejt w mediach będzie prowadzić, jak sądzę, do dość oczywistych skutków. Już dziś widzimy wyraźnie, że niezadowolone nauczyciele przybiera wymierne formy podejmowanych przez nich decyzji życiowych. Zawód ten stracił na atrakcyjności nie tylko ze względów finansowych. Średnia pensja nauczyciela mianowanego w roku 2019 waha się między 2,1 a 2,4 tys. zł netto. Trudno mówić w takim wypadku o możliwości zaspokojenia podstawowych potrzeb przeciętnego gospodarstwa domowego. Obawiam się zatem, że czeka nas już niedługo głęboka implozja kadrowa sektora edukacji.

Anna Brzeska

Kolejka do szkół prywatnych

Placówki niepubliczne stały się wyspą w morzu bałaganu, jaki powstał w wyniku zmian w oświacie



Chrześcijańska Szkoła Podstawowa ARKA we Wrocławiu.

Anna Brzeska

– Tato, oni naprawdę byli zainteresowani tym, co my robimy. Słuchali nas i zadawali pytania. To chyba nie byli nauczyciele – dzieli się wrażeniami dwójka uczniów, którzy po latach w publicznej szkole poszli na rozmowę rekrutacyjną do placówki prywatnej. Oboje dostali się i od września będą się uczyć w ramach edukacji domowej. Państwową, systemową, mają już serdecznie dosyć.

Od wprowadzenia reformy edukacji w roku szkolnym 2017/2018 o 22% zwiększyła się liczba prywatnych szkół podstawowych – publicznych zaś przybyło jedynie 6%. Takie są wyliczenia ekonomistki Alicji Defratyki prowadzącej stronę internetową ciekaweliczby.pl, dokonane na podstawie listy szkół uaktualnionej przez MEN w marcu br.

Na stronie czytamy ponadto, że liczba uczniów w prywatnych szkołach podstawowych zwiększyła się o 62%, w publicznych zaś o 54%.

Wzrost liczby podstawówek jest oczywiście związany w dużej mierze

z likwidacją gimnazjów, jednak widać wyraźnie, jak zmieniają się w Polsce proporcje placówek publicznych i niepublicznych na skutek reformy Anny Zalewskiej.

Trudno się dziwić tej zmianie. Reforma edukacji, a wraz z nią przeładowana podstawa programowa, przeciążeni ósmoklasiści, potem strajk nauczycieli i trudności związane z podwójnym rocznikiem – to wszystko spowodowało, że nie brakuje rodziców (i oczywiście dzieci), którzy stracili zainteresowanie państwową edukacją. A to nie koniec problemów. Już wiadomo, że są licea, w których od września zajęcia obowiązkowe będą trwały nawet do godz. 19.25.

Przeciętni poza nawias

Rekrutacje do liceum przełaty czarą goryczy. Jedną z rozczarowanych, którzy nie znaleźli się na żadnej wstępnej liście osób przyjętych do liceum, jest córka Tomasza* z Warszawy. Kilka lat wcześniej wybrała gimnazjum dzięki dobremu wynikowi na olimpiadzie informatycznej. Po jego



ukończeniu oceny na świadectwie miała już średnie, więc zaczęły się schody.

– Na listę rekrutacyjną córka wpisała wiele szkół średnich w Warszawie, łącznie z tymi słabszymi, co do których byliśmy niemal pewni, że się dostanie – mówi tata tegorocznej absolwentki gimnazjum. – Niestety, miała dobre stopnie tylko z niektórych przedmiotów, a z matematyki, mimo że ma umysł ściśły, jedynie trójkę. Efektem kilku słabszych stopni i „podwójnego rocznika” było to, że zostaliśmy z niczym.

Po ogłoszeniu wstępnych wyników rodzice dziewczyny dali sobie spokój z szukaniem miejsc w klasach o mało interesujących profilach. Tomasz: – Pomysł, by rozpocząć edukację domową, był czymś w rodzaju objawienia. Już wcześniej zainteresowaliśmy się tą formą nauki, gdy usłyszałem od jednego z rodziców historię o chłopcu, który podczas przewlekłej choroby nauczył się więcej, niż gdy chodził do szkoły. Podobnie było z moim starszym dzieckiem, licealistą, w trakcie wiosennego strajku. Kupił sobie zestaw do rysowania, choć nigdy wcześniej tego nie robił. Gdy zaczął szkicować, znajomi nie wierzyli, że nie przechodził wcześniej żadnego kursu. Punktem zwrotnym dla nas była jednak nieudana rekrutacja córki do liceum.

Tomasz zadzwonił do jednej ze szkół kształcących metodą Montessori, oferującej też opcję edukacji domowej. – W tej szkole powiedziano mi, że to nic nie kosztuje, przynajmniej jeśli chodzi o uczestnictwo, bo na pewno będziemy musieli kupić materiały do nauki czy ponieść koszty ewentualnych wyjazdów – opowiada. – Z dostaniem się także nie było problemu. Tylko rozmowa rekrutacyjna, na którą poszła córka, ale i syn, bo nie chciał dłużej się uczyć w państwo-

wek do chrześcijańskiej szkoły Stowarzyszenia Sternik w Józefowie, mimo że nie uważa się za osobę wierzącą, jest agnostyczką. Nie mają z mężem ślubu kościelnego.

– Co zdecydowało? Lokalizacja. Wreszcie miałam dzieci uczące się na różnych szczeblach edukacji (przedszkole i szkoła podstawowa) w jednym miejscu, co jest nie bez znaczenia, gdy się pracuje w centrum, a mieszka na przedmieściach – opowiada. – Ważny był poza tym poziom

O 22% zwiększyła się liczba prywatnych szkół podstawowych, liczba uczniów w prywatnych podstawówkach wzrosła o 62%.

wym liceum. Wrócili zachwyceni i od września zaczynają tam naukę.

Oferta jest szeroka

Na odpływie uczniów do sektora prywatnego zyskują też szkoły katolickie. Trudno powiedzieć, czy Kościół, poszerzając ofertę o edukację, zyskuje nowych wiernych, ale jedno jest pewne – szkoły, które choćby nazwą deklarują wierność jego wartościom, dorobiły się opinii placówek o wysokiej jakości kształcenia. I to nawet u niepraktykujących.

Hanna zdecydowała się przenieść czworo dzieci z publicznych placó-

nauczania. Taka szkoła zapewnia nauczycieli o odpowiednim stopniu kompetencji, szeroko patrzących na proces edukacji, wykorzystujących różne metody nauczania i zarabiających więcej niż w szkołach państwowych. Istotna jest kwestia godzin języka obcego. W Sterniku młodsze dzieci w przedszkolu mają go trzy razy w tygodniu, starsze pięć, w szkole również każdego dnia. Placę za prywatną szkołę, ale w państwowej, bezpłatnej, za rok nauki języka obcego muszą zapłacić ok. 3 tys. zł. Co więcej, taka placówka, katolicka czy nie, nie bierze udziału w strajku. Dzieci nie muszą potem gonić z materiałem.

Jak mówi Hanna, klasy szkół Sternika mają maksymalnie 18 osób, a w praktyce czasem zostają ze dwa miejsca do uzupełnienia. Mamie czwórki spodobał się też nieszablonowy sposób prowadzenia lekcji: – Nauczycielki, bo w szkole żeńskiej uczą tylko kobiety i wbrew obiegowym opiniom nie są to zakonnice, stosują różne techniki nauczania. To nie jest tak, że podążają za książką od A do Z. Jeśli panie uznają, że

ale uczyło poszukiwania informacji w różnych źródłach, pracy z programem PowerPoint i wreszcie umiejętności argumentowania – wylicza Hanna. – Na pewno w szkołach państwowych są nauczyciele, którzy potrafią przekazać wiedzę w tak ciekawy sposób, jednak często jest to niemożliwe choćby z przyczyn lokalowych.

Na pytanie, czy nie przeszkadzała jej obecność religii, skoro nie uważa się za członkinię Kościoła

należących do rozmaitych wspólnot religijnych oraz ich córek, powielających zachowania rodziców.

Nie tylko uczniowie

Odchodzenie uczniów z państwowych szkół to niejedyny skutek reformy. Magdalena Kaszulanis z ZNP: – Tak, z państwowych szkół odchodzą także nauczyciele. Takie zjawisko zawsze występowało, ponieważ z reguły wynagrodzenie oferowane w prywatnych placówkach edukacyjnych – szkolnych i przedszkolnych – jest konkurencyjne. Niepubliczne szkoły i przedszkola zawsze zapewniały też lepsze warunki pracy, dostęp do wielu materiałów metodycznych, dydaktycznych, pomocy naukowych czy nawet tak przyziemnych rzeczy, na które z reguły nie ma pieniędzy w publicznych szkołach, jak papier do ksero czy materiały plastyczne, często finansowane przez nauczycieli z własnej kieszeni. Co więcej, w niektórych szkołach klasy liczą tylu uczniów, ile zmieści się krzesel, czyli

Są licea, w których od września zajęcia obowiązkowe będą trwały nawet do godziny 19.25.

materiał w podręczniku jest ułożony nielogicznie, są w stanie rozsądnie go poprzestawiać, dzięki czemu dzieciom łatwiej wszystko opanować. Dysponują także mnóstwem dodatkowych materiałów.

Dzieci ze szkół Sternika nie muszą poza tym ślęczeć godzinami nad zadaniami domowymi. – Na palcach mogę policzyć sytuacje, gdy zadaje się im klasyczne prace domowe, wszystko robią w szkole – mówi Hanna. Co więcej, po zajęciach uczniowie mają dodatkową godzinę lekcyjną, tzw. odrabianki. Gdy potrzebują wsparcia, nauczyciele danego przedmiotu są do ich dyspozycji. – Ze szkoły państwowej pamiętam tyle, że najstarsza córka przychodziła do domu i miała pracę domową na trzy godziny. Tu tego nie ma – podkreśla Hanna.

To nie znaczy, że po szkole dzieci mogą już tylko oddawać się lenistwu. Hanna przypomina, że angielski wymaga przeciwieństwa w domu, no i potrzebne jest przygotowanie do większych sprawdzianów. Zadania z matematyki odrabiać można jednak na platformie internetowej, wiedzę z historii zaś przyswajać poprzez projekty. – Pamiętam zadanie, w którym spośród bohaterów historycznych każda uczennica miała wybrać najważniejszego w danym momencie, oczywiście z historycznego punktu widzenia – opowiada. – Musiały się dowiedzieć o nim wszystkiego, co się dało, z samodzielnie pozyskanych źródeł. Zebrany materiał wprowadzały potem do PowerPointa. Później na lekcji przedstawiały daną sylwetkę, a finałem była dyskusja, który z bohaterów rzeczywiście był tym najważniejszym. Niby zadanie z historii,

katolickiego, Hanna odpowiada: – To właściwie szkoła chrześcijańska, nie katolicka. Religii jest tu tyle, ile w placówkach publicznych. Różnica polega na tym, że to przedmiot obowiązkowy, a do wyboru nie ma etyki. Dodam jednak, że pani od religii również jest osobą świecką, przy tym bardzo światową, wielojęzyczną. Opowiadała uczennicom również o innych religiach, choć z naciskiem



na katolicką. O dziwo w znanej nam państwowej szkole był z tą tolerancją większy problem. Dzieci uczyła tam siostra bardzo nastawiona na dyscyplinę, ostra i wymagająca.

Hanna dodaje, że wiele stereotypowych opinii o szkole nie znalazło potwierdzenia. – Chodzi np. o rzekomy obowiązek uczestnictwa w mszy lub spowiedzi w szkole.

Chwali też podejście księży, u których młodzię się spowiada, o ile ma na to ochotę. – Jest oparte na szacunku, otwartości. Jeśli gdzieś zetknęłam się z postawami negatywnymi, takimi jak brak tolerancji, pycha, poczucie wyższości, przypisywanymi polskim katolikom, to raczej wśród rodziców, szczególnie matek

prawie 40. Znamy również sytuacje niewyobrażalne jeszcze kilka lat temu, np. szkołę, w której dyrektor wydziela przestrzeń lekcyjną na korytarzu, bo nie ma już miejsca nawet w pomieszczeniach gospodarczych. Te już wcześniej zostały przeznaczone na sale lekcyjne. W pewnej szkole lekcje mają się odbywać w stołówce.

Rzeczniczka ZNP przyznaje, że zjawisko pogłębiło się w ostatnim roku, szczególnie po tym, jak zostali potraktowani nauczyciele w czasie kwietniowego strajku. Związek obserwuje, że coraz liczniej odchodzą ze szkolnictwa publicznego, pierwsze kroki kierując do placówek prywatnych. – Sytuacja w tym roku jeszcze bardziej się skomplikowała, ▶

► bo nauczycieli brakuje wszędzie. Bardzo wiele było odejść w tym roku, w maju, w czerwcu. Wiemy od dyrektorów, że nawet w czasie wakacji nauczyciele rezygnowali z pracy. Często w rozmowach z nimi słyszymy: „Jeszcze rok, jeszcze dwa, doprowadzę moją klasę do końca etapu edukacyjnego i również pożegnami się ze szkołą”. Ten proces obserwujemy przede wszystkim w dużych miastach. Brakuje zwłaszcza matematyków, anglistów, informatyków i fizyków. Problem do niedawna dotyczył wyłącznie szkół publicznych i przedszkoli, teraz okazuje się, że również niepubliczne mają kłopoty z naborem kadry. Dlaczego? Początkujący nauczyciel po studiach otrzymuje wynagrodzenie w wysokości 1850 zł. Za to nie jest w stanie nawet wynająć mieszkania w Warszawie – mówi Magdalena Kaszulanis.

Do niepublicznych też trzeba czekać

– Rodzice kandydatów dzwonili do nas jeszcze przed poprzednimi wakacjami, a we wrześniu i październiku pierwsze osoby zapisywały się na listę chętnych – mówi Dorota Jasik, dyrektor warszawskiego 3. SLO Społecznego Towarzystwa Oświatowego. – W rekrutacji wzięło udział ok. 280 osób. Chętnych było tak wielu, że postanowiliśmy otworzyć dodatkowe klasy. W ten sposób wyszliśmy naprzeciw prośbom stołecznego Biura Edukacji, które pytało o możliwość otwarcia większej liczby klas licealnych kosztem oddziałów w szkole podstawowej. Wszystko to miało związek z podwójnym rocznikiem. Dzięki zwiększeniu liczby klas licealnych przyjęliśmy 51 uczniów do trzech klas – wyjaśnia.

Szkola prywatna zapewnia nauczycieli kompetentnych i zarabiających więcej niż w szkołach państwowych.

Może dziwić, że do aż trzech klas przyjęto jedynie kilkunastu uczniów więcej, niż liczy niejedna rekordowa klasa z liceum publicznego. Jednak pamiętajmy, że na szkołach niepublicznych nie ciąży ustawowy obowiązek zapewnienia miejsc wszystkim dzieciom, spoczywający na samorządach, a zatem również na szkołach publicznych.

Szkoły w Polsce w pierwszym roku szkolnym po reformie Anny Zalewskiej, 2017/2018 (dane GUS, bez uwzględnienia gimnazjów)

Szkoły publiczne (podstawowe, ponadpodstawowe i ponadgimnazjalne) – **18 345**

Szkoły niepubliczne (podstawowe, ponadpodstawowe i ponadgimnazjalne) – **2397**

Według Katolickiej Agencji Informacyjnej w roku szkolnym 2017/2018 istniały:

263 katolickie szkoły podstawowe, 42 szkoły specjalne, 136 liceów, 18 techników i 8 szkół artystycznych, czyli łącznie **467 szkół katolickich**.

To niemal 20% wszystkich szkół niepublicznych.

Rok szkolny 2018/2019 (z danych MEN, bez uwzględnienia gimnazjów)

Szkoły publiczne (podstawowe, ponadpodstawowe i ponadgimnazjalne) – **18 385**

Szkoły niepubliczne (podstawowe, ponadpodstawowe i ponadgimnazjalne) – **2495**

Rok szkolny 2016/2017 (z danych MEN, przed reformą)

Szkoły publiczne (podstawowe, gimnazja, ponadpodstawowe i ponadgimnazjalne) – **24 247**

Szkoły niepubliczne (podstawowe, gimnazja, ponadpodstawowe i ponadgimnazjalne) – **1775**

Prezes STO Zygmunt Puchalski tłumaczy, dlaczego nie zdecydowano się na utworzenie większych klas. – STO prowadzi ok. 100 szkół w całej Polsce. W większości to placówki kameralne. Mniejsza liczba

i z całą pewnością przyczyn takiego stanu rzeczy należy upatrywać w reformie oświaty – stwierdza.

Deficyt miejsc w liceach przysporzył niepublicznym placówkom pracy rekrutacyjnej. To już mniejszy powód do radości, zwłaszcza że – jak powiedział prezes STO – i tak nie brakowało chętnych.

Potwierdza to Anna Sobala-Zbroszczyk, dyrektor 2. SLO z Oddziałami Międzynarodowymi im. Pawła Jasieńczyka STO. – W naszej szkole prowadzimy oddziały polskie i międzynarodowe. W obu przypadkach do szkoły zgłosiło się po kilkuset chętnych, co wielokrotnie przekracza liczbę miejsc. Znacznie częstsze niż w minionych latach były zmiany decyzji przez uczniów, już po ogłoszeniu list przyjętych. Mimo że rok szkolny właśnie się zaczyna, wymiana uczniów na listach trwa. Młodzież i dorośli są zdezorientowani. Rodzice od miesięcy przychodzili do mnie z pytaniami, prosili o przedłużanie rekrutacji. Robili wszystko, byle tylko zapewnić dziecku miejsce w szkole, a tym samym spokój w kontekście nerwowej sytuacji w oświacie. Wszystkie opisywane zjawiska były wyjątkowe, nie spotkałam się z nimi wcześniej. Szkoły niepubliczne stały się spokojną wyspą w morzu bałaganu, jaki powstał w wyniku ostatnich zmian w oświacie.

Wydawać by się mogło, że właściciele szkół niepublicznych mogą teraz tylko zacierać ręce z radości. Tymczasem, ubolewając nad skutkami reformy, powinniśmy się cieszyć, że przynajmniej część uczniów, których rodzice mogą sobie pozwolić na opłacanie czesnego, zwolni miejsca dla tych biedniejszych. W tym kontekście należy więc raczej dziękować placówkom niepublicznym, że w ogóle istnieją. Bez nich byłoby jeszcze gorzej.

Co jednak z uczniami, których rodzice nie mogą sobie pozwolić na choćby kilkaset złotych czesnego? Zdaniem Magdaleny Kaszulanis reforma wprowadzana pod ładnie brzmiącym hasłem wyrównywania szans edukacyjnych nasiliła problem dysproporcji między uczniami z rodzin zamożnych i niezamożnych.

Anna Brzeska

*Imiona bohaterów i niektóre szczegóły zostały zmienione na prośbę rozmówców, w trosce o zachowanie anonimowości dzieci

Robert Walenciak

Albo to będzie komedia, albo piękna historia. Mowa oczywiście o Lewicy. Ten projekt narodził się z rozpaczy. To nawet nie był plan B, ale coś jeszcze bardziej dalekiego, co mało kto brał pod uwagę. Pisaliśmy o tym w PRZEGLĄDZIE, pisały także inne media – zjednoczoną lewicę zafundował Polakom Grzegorz Schetyna, wykopując SLD z koalicji. I tak to się zaczęło.

Schetynie za to chwała. Bo żał było patrzeć, jak szefostwo SLD, partii kiedyś potężnej, która dała Polsce prezydenta i kilku premierów, chce przehandlować resztki wyborców za miejsca w parlamencie. Za kilka miejsc. A swoją przyszłość widzi tylko jako przystawka Platformy, bo nie ma już wiary, że Sojusz, startując samodzielnie, mógłby przekroczyć próg 5%.

W kiepskiej sytuacji byli również szefowie innych lewicowych podmiotów. Razem dostało w wyborach europejskich 1,24% głosów i nic nie wskazywało, że w kolejnych może zdobyć więcej. Adrian Zandberg miał w ręku projekt polityczny, który się wypalił, i *de facto* zero perspektyw. A Wiosna? Bohaterka ostatnich miesięcy? W Wiośnie ze zdumieniem patrzono, jak Robert Biedroń wybiera Brukselę i nie chce rezygnować ze świeżo zdobytego mandatu europosła. Czyli zamiast iść za ciosem, wywiesza białą flagę. Przez chwilę też mogliśmy oglądać różne manewry. Podczas Marszu Równości Robert Biedroń pofatygował się do autobusu SLD i tam namawiał Włodzimierza Czarzastego do wspólnego startu. Nadaremnie. Czarzasty wyśmiał go (wtedy jeszcze sądził, że Schetyna go kocha), dumnie mówiąc, że Sojusz idzie do wyborów w koalicji z PO.

A potem zdarzył się cud. Trzej panowie umówili się na spotkanie w warszawskiej restauracji Stoik, dwa kroki od siedziby SLD.

– *Tak, ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic – zaśmiał się głośno. – To razem właśnie mamy tyle, w sam raz tyle, żeby założyć wielką fabrykę.*

Biedroń, Czarzasty i Zandberg błyskawicznie się dogadali, ominęli



Włodzimierz Czarzasty, Robert Biedroń i Adrian Zandberg na prezentacji liderów i liderki Lewicy w wyborach parlamentarnych.

Lewica – reaktywacja

Trzech tenorów. Każdy fałsz może ich drogo kosztować

wszelkie rafy, przeszli do porządku dziennego nad sprawami, które dzieliły ich przez lata, i zaczęli układać wspólną listę Lewicy. Tak oto z trzech podmiotów, może nie w agonii, ale w ciężkiej sytuacji, wyłoniła się siła całkiem rześka, która regularnie zbiera w sondażach 10-14%.

Jak to się stało? Jak udało się wywalczyć coś, w co nikt parę miesięcy temu by nie uwierzył – czyli wspólną listę SLD i Razem?

Są w ojczyźnie rachunki krzywd

W 2015 r. Razem wszelkie sugestie, że mogłoby startować z SLD, odrzucało w sposób zdecydowany i jednoznaczny. „Nie usiądziemy do rozmów z SLD. Zwłaszcza gdy na czele stoją Leszek Miller i Włodzimierz Czarzasty” – to słowa Marceliny Zawiszy, członkini Rady Krajowej Razem. „Trzeba odciąć to, co zgniłe. SLD wielokrotnie udowodnił, że wartości lewicowe ma za nic”.

Minęły cztery lata i ta sama Marcelina Zawisza, która odmawiała podania ręki Włodzimierzowi Czarzastemu i rozmów z SLD, otwierała konwencję programową Lewicy i tupała wesoło obok szefa Sojuszu do rytmu wyborczej piosenki „Łączmy nas przyszłość”.

Jak nieznośne SLD Razem przegło się do rozmów? Dorota Olko, rzeczniczka partii i jedynka w okręgu siedleckim, tłumaczy, że działacze obu ugrupowań musieli się „obwąchać” i chodziło o granicę bardziej pokoleniową niż światopoglądową. Gdy ostatecznie – wskutek referendum – w Razem zapadła decyzja, by startować z list SLD, różnice programowe były już najmniejszą przeszkodą. „Oczywiście, że długo mówiliśmy, że nie chcemy startu z SLD – przyznaje Olko – ale gdy zmienia się świat dookoła, trzeba zweryfikować swoje założenia”. I dodaje: „Pojawiło się nowe »ciśnienie«. Może to tylko subiektywne wrażenie, ale po euro-wyborach ludzie na ulicy, na forach ▶

► i w komentarzach w internecie pytali mnie i nas przede wszystkim, dlaczego lewica nie idzie razem. Wcześniej dominowały głosy tożsamościowe, a teraz ucichły. Trochę trudno byłoby udawać, że tego nie ma”.

Wrażenia, prawdziwe czy nie, na bok – w Razem, zanim zdecydowano o wspólnym starcie z SLD, trzeba było przeprowadzić referendum wśród członków. W praktyce wewnątrz-

czystości i budowało tożsamość na krytyce SLD. Także Sojusz nie tęsknił za Razem. SLD uważał się za hegemon na lewicy i nie miał zamiaru nikomu ustępować. Wybory samorządowe i europejskie spowodowały, że te wyobrażenia należało zwerifikować. Co to za hegemon, który balansuje na poziomie 5% poparcia i którego strategia jest ograniczana myśleniem, jak przehandlować to

Piękna historia? Ależ skąd! Przecież trójka liderów musiała dokonać najistotniejszego aktu – ułożyć listy do parlamentu. Ustalenie ogólnych zasad przyszło im szybko. Przyjęto więc parytet 40-40-20, to znaczy, że po 40% pierwszych miejsc na listach biorą SLD i Wiosna, a Razem 20%. Umówiono się też, że trzy ugrupowania obsadzają pierwsze trzy miejsca. No i przy tych wszystkich manewrach zapomniano o innych.

Wszystko przejdzie. Po huku, po szumie, po trudzie

Wezmą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie.

Gdy przed wyborami do Parlamentu Europejskiego SLD wchodził do Koalicji Europejskiej, nie wchodził sam, lecz w grupie innych organizacji i ugrupowań lewicowych: Socjaldemokracji Polskiej, Wolności i Równości, Inicjatywy Feministycznej itd. Z kolei Razem szło do eurowyborów z Unią Pracy, a wcześniej, do samorządowych, z Janem Śpiewakiem i częścią środowiska warszawskich aktywistów.

Rychło się okazało, że ci mniejsi sojusznicy trójce liderów ciężą – porzucono ich i zignorowano ich kandydatów. „Czarzasty nam opowiadał, że chce być pierwszym przewodniczącym SLD, który nie będzie oszukiwał – mówi Wojciech Filemonowicz z SdPI. – I nas oszukał”. Bo porzucił mniejsze partie, żeby zawrzeć sojusz z Biedroniem i Zandbergiem. Filemonowicz nie ukrywa rozgoryczenia: „Można było iść do wyborów jako lewica partyjno-związkowo-społeczna, tak żeby wziąć 16-20%. A Czarzasty wybrał wariant trawny ratunkowej”.

Podobne nastroje są w Unii Pracy, której działacze przy układaniu list zostali pominięci. Co z punktu widzenia polityki zupełnie nie ma sensu, bo wielu z nich jest w swoich środowiskach, w zachodniej Polsce, znanych i wpływowych. „Unia Pracy została wykiwana – mówi Waldemar Witkowski, szef UP. – A mnie Czarzasty okłamał. Puścił do mediów informację, że jestem kandydatem do Senatu z Poznania. A to nie było z nikim uzgodnione. Bo PO nie chce z nim rozmawiać”.

Oszukana przez Włodzimierza Czarzastego została także Monika Jazuralska: „Było jego słowo honoru

Zjednoczoną lewicę zafundował Polakom Grzegorz Schetyna, wykopując SLD z koalicji.

partyjna ankieta musiała się odbyć na internetowym forum partii, i to w przyspieszonym trybie – członkowie i członkinie pisali do siebie SMS-y, żeby zagłosować nad najważniejszą w krótkim życiu Razem decyzją. Zwolennicy startu z list KW SLD zdobyli jednak błyskawicznie przewagę. Szybko się okazało, że

poparcie za miejsca biorące w koalicji z PO? A jeśli chodzi o Razem – okazało się, że pielęgnowanie lewicowej czystości to droga donikąd.

W tej rzeczywistości pojawił się Robert Biedroń. Jego szarża pokazała, że można zmobilizować lewicowe resztki, wykopać je spod ziemi, wyrwać Platformie. 6% w wyborach



Czarzasty musi zapewniać rozmaite frukta współpracownikom.
Dwójką w Warszawie została rzeczniczka SLD Anna-Maria Żukowska.

choć tuziny działaczy i sympatyków partii latami szermowały hasłem „Znajdzie się cela dla Leszka Millera”, członkowie Razem są znacznie mniej radykalni, niż wskazywałyby ich wpisy na FB. Pragmatyzm? Poczucie, że trzeba wreszcie dostać się do tego Sejmu?

Pomógł również ten trzeci – Robert Biedroń. Bo to nie było tylko tak, że Razem nie chciało z nikim koalicji, uważało się za ikonę lewicowej

europejskich... Wciąż słyszymy, że to znacznie poniżej oczekiwań i potencjału. A może przeciwnie? Bo przecież to pięć razy więcej, niż zdobyło Razem, i więcej, niż zgromadził SLD. Biedroń pokazał, że można przeskoczyć pięcioprocentowych próg. Tak od razu. Bo założył Wiosnę i przeskoczył. Bez struktur, bez historii. Poza tym okazał się pomostem między Razem a SLD. Wyglądził kanty.

pół roku temu, że wystartuję do parlamentu z SLD. Nie jestem przyzwyczajona, że ktoś daje słowo i później zachowuje się tak, jakby nic się nie stało”. Wyjaśnia, że na początku sierpnia wysłała Czarzastemu informację o gotowości startowania do Sejmu. Bez odzewu. „Do dziś (Czarzasty) nie odpowiedział. Nie dowiedziałam się też od niego, dlaczego nie znalazłam się wśród kandydatów SLD. Niezależnie od tego, że moją kandydaturę zgłosiła oficjalnie warszawska rada SLD”, opowiada Jaruzelska.

Jak to wszystko wytłumaczyć? Wydaje się, że dosyć łatwo. Władza Włodzimierza Czarzastego w SLD jest jak władza Grzegorza Schetyny w PO. On może się przeżyć i opowiadać, że każdego potrafi owinać sobie wokół palca, ale rzeczywistość temu przeczy. Bo wciąż musi zapewniać rozmaite frukta sojusznikom i współpracownikom.

Listy wyborcze też tak wyglądają. Przez wiele dni podczas ich układania trwała przepychanka, kto ma być jedyneką w Warszawie – Czarzasty czy Zandberg. Ostatecznie postawiono na tego drugiego, szef SLD wybrał okręg w Sosnowcu. Jest więc szansa, że w końcu, mając sześćdziesiątkę na karku (rocznik 1960), zadebiutuje w roli parlamentarzysty.

Z kolei jedyneką w Toruniu został Robert Kwiatkowski (drugie miejsce na liście przypadło Joannie Scheuring-Wielgus), jedyneką w warszawskim „obwarzanku” jest Andrzej Rozenek, jedyneką w Kielcach Andrzej Szejna, a dwójką w Warszawie rzeczniczka SLD Anna-Maria Żukowska. Łatwo można się domyślić, że gdyby na warszawskiej liście znalazła się Jaruzelska, pewnie by ją przeskoczyła. Chodziło więc o to, by córkę generała z wyborczego wyścigu wyeliminować. A te opowieści, że nie chcieli jej na liście Zandberg i Biedroń, to pretekst. Owszem, w Razem i Wiośnie wielu świętowało pozbycie się Jaruzelskiej, ale trudno sobie wyobrazić, by byli gotowi z jej powodu zrywać sojusz wyborczy.

Mamy zatem „gołą” listę Lewicy w Warszawie, ustawioną tak, żeby nikt nie zagroził Żukowskiej. Oto myślenie szefów SLD. Nie dziwny się więc słowom Moniki Jaruzelskiej, która przymierza się do samodzielnego startu do Senatu: „Nie chcę mówić



Oszukana przez Czarzastego czuje się Monika Jaruzelska: „Ktoś daje słowo i później zachowuje się, jakby nic się nie stało”.

że o SLD, bo Sojusz to nie tylko władze partii. Wielu działaczy jest oburzonych, pomagają mi, mówiąc, że został szyld, ale nastąpiło »wrogie przejęcie« SLD. Przez Ordynacką i Ruch Janusza Palikota”.

Podobnych fauli jest dużo więcej. Na listach Lewicy nie znalazła się po prostu każda znana działaczka. Czy raczej działaczek, bo to grono, Strajk Kobiet, Inicjatywa Feministyczna, zostało pominięte. Wypchnięty z obiecannej mu jedynki na liście wrocławskiej został Michał Syska, który z Wiosną pożegnał się hucznie. Za to w Warszawie i wszędzie indziej sporo jest noname'ów.

Jak więc to ocenić? Tę małość?

*Bo jest życie piękniejsze, nowe,
i żyć warto, i umrzeć warto!
Trzeba nieść, jak chorągiew, głowę,
świecić piersią kulami rozdartą.*

Okazuje się, że dla wyborców, którzy chcą oddać głos na lewicę, jest to sprawa drugorzędna. Lewica z tego powodu na razie nie traci w sondażach. Dlaczego tak się dzieje? Złożyło się na to kilka przyczyn.

Po pierwsze, upadł mit PO jako przystani dla lewicowych wyborców, jako rodzaju mniejszego zła. Przez lata pozwalał on, najpierw Donaldowi Tuszkowi, potem Ewie Kopacz, przyciągać lewicowych wyborców dosłownie za nic, za obietnicę przeciwstawienia

się PiS. Ten mit upadał powoli. Na pewno nadwyrężyła go historia projektu „Ratujmy Kobiety”, dotyczącego złagodzenia ustawy antyaborcyjnej. Lewicowe działaczki zbierały pod nim podpisy, projekt trafił do Sejmu, tam został poddany pod głosowanie i odrzucony. Nie, nie z powodu postów PiS, bo część z nich była skłonna przekazać go do komisji sejmowej. Z powodu kilkudziesięciu posłów PO, którzy nie przyszli na głosowanie lub głosowali przeciw.

Czarę goryczy na pewno przelało wyrzucenie SLD z koalicji i wstawienie na listy PO grupy byłych polityków PiS, m.in. byłego wiceprzewodniczącego PiS Kazimierza Michała Ujazdowskiego. Te wszystkie elementy musiały uświadomić nawet najmniej bystremu wyborcy, że Platforma to nie lewica i absolutnie nie chce nią być.

Po drugie, zadziałał efekt jedności – przekaz, że lewica się jednoczy, na co wyborcy czekali. I co ich bardzo dziś cieszy.

Po trzecie, w tej nowej układance SLD nie jest hegemonem. Ma 40% udziałów. Lewica więc nie zniechęca, ale zaprasza.

Po czwarte wreszcie, ta orkiestra miło dla lewicowego ucha brzmi. Tak było podczas niedawnej konwencji programowej. Usłyszeliśmy na niej zestaw lewicowych haseł dotyczących spraw społecznych, światopoglądowych, równościowych ▶

► i ekologicznych. Nie ma tu miejsca, by je wyliczać, kto chce, znajdzie wszystko w sieci. Ważniejsze było coś innego – te postulaty były głoszone z pełnym zaangażowaniem. Gdy Robert Biedroń mówi, że lewica będzie walczyć o prawa kobiet, osób LGBT czy o świeckie państwo, jest w tym autentyczny. O wiele bardziej niż PO. Gdy Zandberg mówi o budownictwie mieszkaniowym, też wiadomo, że mówi to, bo w to wierzy, a PO w tych sprawach palcem nie kiwnie. Nawet Czarzasty, gdy grozi Ziobrze, że postawi go przed Trybunałem Stanu, jest w tym prawdziwy. Pamiętamy zaś, że w poprzedniej kadencji mogła to zrobić Platforma, ale jej posłowie nie przyszli na głosowanie. To ważne.

Przez lata w środowiskach SLD sprawy programowe traktowano według opowieści Krzysztofa Janika – kupimy flaszkę, usiądziemy w trzech i przez noc się napisze. Program, tak jak w czasach schyłkowej PZPR, traktowano jako ornament, niezależny od prowadzonej polityki.

W efekcie w klubie SLD nie można było znaleźć posłanki, która przedstawiłaby w Sejmie projekt liberalizacji prawa antyaborcyjnego. Bo żadna nie chciała się narażać. A o gospodarce rozmawiano językiem liberałów i biznesu. Nowa formuła Lewicy to wszystko zepchnęła na bok. Biedroń i Zandberg dali jej wiele świeżości.

Jeszcze jedno było widać podczas konwencji programowej – nowa formuła Lewicy oznacza również zmianę pokoleniową. Kłopot SLD po utracie władzy polegał na tym, że partia ta nie przyciągała, starzała się i traciła wpływy. A gdy trafili się młodzi, tacy jak Krzysztof Gawkowski czy Paulina Piechna-Więckiewicz – opuszczali partię.

Wiosna i Razem to eksplozja młodości i „nowolewicowy” ferment, pierwsza poważna próba zaistnienia w polityce pokolenia milenialsów.

Ze wszystkimi wadami i zaletami tej propozycji. Taki pokoleniowy miks jest z pewnością bardziej atrakcyjny niż każda z tych partii z osobna.

Podsumowując, wyborca lewicowy ma świadomość, że nowy sojusz jest robiony na sznurek, a o miejscu na listach w większym stopniu decydowały partyjne układy niż potencjał kandydata. Ale ten sam wyborca chce wreszcie dobrego wyniku polskiej lewicy, tego, by weryfikowała się w parlamencie. Kupuje więc pakiet. Przemieszczenie ludzi i rzeczy dobrych i złych.

•

A co dalej? Przez media przetaczają się różne komentarze, że trzech liderów to o dwóch za dużo albo że Czarzasty ogra młodych itd.

Oczywiście różnie może być. Na razie w sondażu dla „Rzeczpospolitej” na pytanie, kto powinien być rzeczywistym liderem zjednoczonej lewicy, najwięcej głosów padło na Roberta Biedronia. 20,6% wskazało go jako lidera Lewicy. 13,7% wskazań otrzymał Adrian Zandberg, Włodzimierz Czarzasty – 10,4%. Dodajmy, że 14,1% ankietowanych orzekło, że rolę lidera Lewicy powinien odgrywać inny polityk, 41,3% nie ma w tej kwestii zdania.

Sondaż nie jest więc dobry dla trzech tenorów. Wyborcy zachowują wobec nich dystans. Raczej się przyglądają, niż klaszczą. Ale też wszyscy trzej – Biedroń, Czarzasty i Zandberg – wyszli z kampanii wzmocnieni względem swoich aparatów partyjnych, uzyskali sankcję dla jednoosobowej władzy, przesunęli ugrupowania w stronę bardziej lidarskiego modelu. Z tą nową władzą mogą więcej zrobić, ale i biorą na siebie większą odpowiedzialność. Kampania dopiero się zaczyna. Lewica ma zatem swoje okienko. Pytanie tylko, jak je wykorzysta.

Robert Walenciak

Współpraca Jakub Dymek

Wielokrotnie wyrażałem pogląd, że w czasach PRL żyliśmy mi-tem wyidealizowanej II Rzeczypospolitej. Tymczasem był to kraj biedny, zacofany pod niemal każdym względem (aby przypomnieć: z jednym z najwyższych w Europie procentem analfabetów, kraj, w którym 80% ludzi nawet po śmierci nie było oglądanych przez lekarza), rządzony najpierw demokratycznie, ale nieudolnie, później zaś autorytarnie. Sklejony z trzech prowincjonalnych części upadłych trzech monarchii, zniszczony przez wojnę światową i kilka lokalnych wojen toczonych w latach 1918-1921. II RP nie bardzo sobie radziła z mniejszościami narodowymi, a miała ich wiele. Ponad 30% obywateli państwa polskiego deklaroowało jako ojczysty język inny niż polski. Po prawdzie to w sprawach mniejszości radzić sobie nie było łatwo, zważywszy, że część mniejszości była wobec państwa – najdelikatniej mówiąc – nielojalna, część go po prostu nie uznawała, a część traktowała jako wroga i walczyła z nim poprzez akty terroru. Gdyby nawet był jakiś racjonalny program zbudowania sobie *modus vivendi* z mniejszościami, to musiałby on być przewidziany na lata, na pokolenia. Rzecz w tym, że takiego programu nikt nie próbował nawet budować, sądząc, że sprawa rozwiąże się sama, a doraźnie dopilnują tego wojewodowie, starostowie i podległa im policja, w razie potrzeby wzmocniona wojskiem. Mało tego, niektóre działania wymierzone w mniejszość, w imię niemądre pojętej racji stanu (np. akcja burzenia cerkwi na Lubelszczyźnie i na Podlasiu w 1938 r., ograniczanie szkolnictwa mniejszości), to współzycie z mniejszościami jeszcze bardziej komplikowały. Znaczną, nie ma co udawać – przeważającą, większość polskiego społeczeństwa uległa „zarazie” antysemityzmu. „Zaraza” ta, że za pożyczkę termin od abp. Jędraszewskiego, dotknęła nie tylko rzemieślników, sklepikarzy czy chłopów, ale sięgnęła nawet elit. To przecież senaty polskich wyższych uczelni uchwałyły *numerus clausus* czy *numerus nullus* dla studentów pochodzenia żydowskiego, a do gett ławkowych zapędzali ich, bili i poniżali polscy studenci, przyszła elita społeczeństwa. Gdy dziś czyta się raporty oficerów oświatowych KOP (Korpusu Ochrony Pogranicza), jasno w nich widać, że na Kresach panowały nędza, zacofanie i... nienawiść do państwa polskiego. Kto nie wierzy, odsyłam do

Drogiemu koledze

Dariuszowi Nowakowi

wyrazy serdecznego współczucia i otuchy

po śmierci Mamy

składają

Waldemar Witkowski oraz koleżanki i koledzy z Unii Pracy

Z Galicji



Jan Widacki

Lepszy Rydz niż nic

lektury książki „Kresy w oczach oficerów KOP”.

Dalece odbiegała rzeczywistość II RP od jej wyidealizowanego mitu, jakim żyło wiele środowisk (w tym moje!) w czasach PRL.

Jestem bardzo krytyczny w ocenie II Rzeczypospolitej, ale tytuł „Nieuctwo i naiwność Rydza-Śmigłego” uważam za niesprawiedliwy. Przykro mi, że wyszedł spod pióra zastępcy redaktora naczelnego PRZEGŁADU, szanowanego przeze mnie Pawła Dybicza. Artykuł ten odzwierciedla emocje znacznej części społeczeństwa polskiego po klęsce wrześniowej. Emocje wykorzystane cynicznie przez przeciwników sanacji skupionych wokół gen. Sikorskiego we Francji do własnych politycznych celów.

Rozmiary klęski wrześniowej były niezrozumiałe dla przeciętnego Polaka. Jak to, armia, która tak pięknie prezentowała się na licznych defiladach, ta armia, która jeszcze niedawno, zaledwie

Sowietów. Rydz-Śmigły jednak dopiero po. Rydz-Śmigły łudził się, że przez sojuszniczą Rumunię dostanie się do Francji, by walczyć na tamtym froncie. Może był naiwny, wierząc, że Rumuni dotrzymają umowy sojuszniczej. Sikorski opuszczał Polskę w towarzystwie ambasadora Francji, by na emigracji dokonać politycznego przewrotu. Zarzucający Rydzowi ucieczkę z walczącą Polską Sikorski czy Modelski nie zdążyli nawet w 1940 r. we Francji na front, na którym walczyły polskie dywizje, tylko pośpiesznie ewakuowali się do Anglii.

Notatka płk. Rzepeckiego z wiosny 1940 r., którą w całości przytacza Paweł Dybicz, razi jednostronnością i naiwnością. Pisana jest też z określoną intencją. Piszący dobrze wiedział, co odbiorca notatki chciałby w niej przeczytać. Zarzucać Rydzowi, że wierzył w „wartość paktów”? A gdyby nie wierzył, to co? Co mógłby innego zrobić, niż zrobić? Uwagi Rzepeckiego, że do klę-

wieniu z niemieckimi przestarzałe. Ile lat mają jednak będące obecnie w służbie Su-22 czy nawet F-16? Nie przesadzajmy zatem.

Polska musiała przegrać kampanię wrześniową, bo polskim siłom zbrojnym trzeba było się zmierzyć z najsilniejszą i najnowocześniejszą w tym czasie armią świata, jaką była armia niemiecka, w dodatku wsparta po 17 września przez armię sowiecką. Przegrałaby, gdyby Rydz-Śmigły nie popełnił żadnego, najmniejszego nawet błędu. Nawet gdyby dowodził nie Rydz-Śmigły, ale Napoleon Bonaparte, Józef Piłsudski czy Dwight Eisenhower albo wszyscy trzej razem.

Słusznie napisał kiedyś Pobóg-Malinowski: „Możliwości obronne Polski, przy jej ubóstwie i fatalnej pozycji strategicznej, były bardzo ograniczone. Budżet państwa polskiego w okresie 1933-1939 wahał się w mizernych granicach od 2,2 do 2,5 mld zł. W sumie

Polska musiała przegrać kampanię wrześniową, bo polskim siłom zbrojnym przyszło się zmierzyć z najsilniejszą i najnowocześniejszą w tym czasie armią świata.

kilkanaście lat wcześniej, rozgromiła bolszewików, została rozbita w niecały miesiąc? Armia, o której sile zapewniała rządowa propaganda? (A swoją drogą co propaganda miała robić: straszyć społeczeństwo, że w razie czego nie utrzymamy się nawet przez miesiąc?).

Szukanie winnych jest w takiej sytuacji zrozumiałe. Gen. Sikorski i jego pomagier gen. Modelski nie mieli wątpliwości. Zawiniła sanacja. To wśród sanacyjnych polityków i wojskowych trzeba szukać winnych. I szukali. Powołano specjalną komisję, przesłuchiowano oficerów, weryfikowano ich, internowano, wielu z nich osadzając na oślawionej Wyspie Węzów. Dla kompletności obrazu trzeba by jednak przypomnieć dwa fakty: Sikorski opuścił Polskę 16 września, jeszcze przed wkroczeniem

ski przyczyniły się m.in. brak „znacznie silniejszego lotnictwa”, „brak znacznie liczniejszych jednostek i sprzętu przeciwlotniczego”, „znacznie liczniejszych lotnisk”, „znacznie liczniejszej broni przeciwpancernej” itd. Wszystko to bardzo słuszne. Tylko że wyprodukowanie albo kupno samolotu, artylerii przeciwlotniczej czy przeciwpancernej i zbudowanie lotnisk kosztuje. Polska była biednym krajem i po prostu na lepsze uzbrojenie państwa nie było stać. Polskie siły zbrojne, jakkolwiek pod każdym względem ustępujące Niemcom, należały do najsilniejszych i najnowocześniejszych w ówczesnej Europie. Przyznał to de Gaulle w swoich pamiętnikach. Polskie „przestarzałe” lotnictwo z września 1939 r. to były konstrukcje z początku lat 30. Okazały się w zesta-

w czasie tych 6 lat – ok. 14 mld. Na armię i przygotowania obronne wydano w tymże okresie ponad 6,5 mld; był to w warunkach polskich wysiłek olbrzymi, ale w porównaniu z niemieckim nikły. Rzesza bowiem, wedle słów Hitlera, w ciągu tych 6 lat wydała 90 mld marek, a więc ok. 200 mld zł, czyli niemal 30 razy więcej niż Polska”. Tak. To dziś wydaje się niewiarygodne, ale Polska przeznaczała w latach 30. na obronność ponad 46% wszystkich wydatków budżetowych. Dziś wydaje 2% swojego PKB i jest z tego dumna!

Nie przesadzajmy zatem z krytyką marszałka Rydza-Śmigłego. Przyczyn klęski wrześniowej było wiele, ale „po pierwsze, nie mieliśmy armat”. A po drugie, nie mieliśmy pieniędzy na zakup armat. Reszta jest mniej ważna.

 Anna Fischer

19 stycznia 2005 r. Sąd Rejonowy w Nowym Sączu ogłosił upadłość założonej w roku 1883 gorlickiej Rafinerii Glimar. Szacowano, że zobowiązania spółki sięgały miliarda złotych. Okazało się, że kosztowne, liczone w setkach milionów złotych plany restrukturyzacji tej niegdysiejszej legendy polskiego przemysłu naftowego skończyły się fiaskiem.

Ówczesny prezes Nafty Polskiej Krzysztof Żyndul mimo wszystko zapewniał w wywiadach, że jest nadzieja na powstanie na tej ruinie efektywnie działającej spółki. Owo przekonanie oparte było na fakcie, że na terenie Glimaru budowana była najnowocześniejsza w Polsce instalacja do przerobu ropy naftowej, nazywana potocznie hydrokompleksem. Inwestycję zrealizowano w ponad 80%, a jeśli wierzyć mediom, efektywnym wykorzystaniem majątku gorlickiej rafinerii zainteresowani byli główni wierzyciele – Grupa Lotos, Nafta Polska oraz Bank BPH. Do pracy wzięli się też prokuratorzy szukający odpowiedzi na pytanie, kto winien, oraz wyznaczony przez sąd syndyk masy upadłościowej.

Wydawało się, że nie wszystko stracone. Potencjalnych inwestorów miała przyciągnąć nowoczesna instalacja hydrokompleks, która, jeśli oczywiście wierzyć dziennikarzom, miała służyć do produkcji paliwa dla polskich myśliwców F-16! Nic dziwnego, że syndyk wycenił ją najpierw na 326 mln zł, a potem na 180 mln zł... Szkoda, że zainteresowanie tymi ofertami było nieszczerzone.

Quid pro quo (coś za coś)

Przez trzy lata próbowano „coś zrobić” z Glimarem. Pojawiali się i znikali różni oferenci zainteresowani przejęciem rafinerii. W roku 2007 warszawska spółka Petrolog miała już podpisaną umowę przedwstępną, ale w ostatniej chwili się wycofała. Na horyzoncie błysnęła też ukraiński inwestor Michaił Reszetnik, właściciel zarejestrowanej w słowackim Popradzie spółki Interneftgas Company, który plany miał ambitne, możliwości zaś skromniejsze.

Zniecierpliwiony tym, że wokół rafinerii nic się nie działo, a wysiłki syndyka skończyły się niepowodzeniem,



Głową w mur

Jak najstarsza rafineria w Polsce zmieniła się w nielegalne składowisko niebezpiecznych odpadów i co się stało z akcjami wartymi kilkaset milionów złotych?

wiosną 2008 r. sąd umorzył upadłość Glimaru, którego przyszłością ponownie zajęli się dawni właściciele.

Wyjściem z sytuacji okazała się transakcja z początku grudnia 2008 r. – 9,52 mln akcji, stanowiących 91,54% kapitału rafinerii, kupił od Grupy Lotos Podkarpacki Holding Budowy Dróg Drogbud ze Strzyżowa, firma znana w regionie i ciesząca się dobrą reputacją.

Prezes Drogbudu Grzegorz Wojtaszek chciał dokończyć budowę hydrokompleksu i rozpocząć produkcję asfaltu. Pomysł wydawał się sensowny. W Polsce realizowano wówczas liczne projekty drogowe współfinansowane ze środków unijnych i każda tona asfaltu była na wagę złota. Nowy producent mógł liczyć na szybki zbył i spore zyski.

Jednak rafineria Glimar wymagała restrukturyzacji zobowiązań i inwesty-

cji. Na początek nowy właściciel m.in. wyremontował kotłownię i odbudował instalację do produkcji asfaltu. Łączna wartość zainwestowanych wówczas środków przekroczyła 45 mln zł.

Prezesowi Wojtaszkowi udało się też rozwiązać problemy z dostawami surowca niezbędnego do produkcji. Miał on być sprowadzany z Holandii. Ponadto zaadaptowano kilkanaście zbiorników do przechowywania asfaltu drogowego poprzez wykonanie systemu nagrzewnic i izolacji termicznej zbiorników. Dzięki temu można było zmagazynować 50 tys. ton asfaltu.

Na przełomie lutego i marca 2010 r. w rafinerii Lotos zakupiono ponad 12 tys. ton asfaltu i zmagazynowano go w nowych zbiornikach. Został on potem wykorzystany przy budowie dróg przez Drogbud i spółki zależne. Już samo magazynowanie asfaltu w martwym dla budownictwa



łowcem najstarszej polskiej rafinerii. Istota transakcji polegała na tym, że akcje Glimaru oraz spółki Hydronaft z siedzibą w Gorlicach, których głównym posiadaczem był Grzegorz Wojtaszek, miały zostać przeniesione na cypryjską spółkę Fortionell Limited, której właścicielem była kanadyjska spółka Hudson Oil Corporation Limited kontrolowana przez Wojciecha Janowskiego. Interesy „Cypryjczyków” reprezentował wówczas nad Wisłą znany i ceniony mecenas Robert Nogacki, co dodawało sprawie wiarygodności.

Tak wyglądała budowa Hydrokompleksu Glimar Gorlice..

Obecnie na terenie Rafinerii znajduje się składowisko toksycznych odpadów.



drogowego sezonie dawało znaczące zyski – w tym czasie jego zakup był tańszy o 50%. Prezes Wojtaszek zakładał, że powoli kończą się problemy Glimaru i wkrótce rafineria zacznie przynosić spore zyski. Wtedy nastąpił gwałtowny zwrot akcji.

Na przełomie 2010 i 2011 r. prezes Wojtaszek otrzymał ofertę zakupu Glimaru od ekonomisty, przedsiębiorcy i polskiego konsula honorowego w Monako Wojciecha Janowskiego, który wraz z kilkoma, powiedzmy, współnikami zaproponował mu nietypową – choć, przyznajmy, wyglądającą solidnie – umowę warunkową. Na jej mocy spółka konsula honorowego stałaby się głównym udział-

Z kolei na rachunek maklerski prezesa Wojtaszka miały trafić akcje Hudson Oil Corporation Limited notowane na Toronto Stock Exchange lub – jak zapisano w umowie – „innym renomowanym rynku papierów wartościowych”, a których wartość nie miała być niższa niż 30 mln dol. Dodatkowym zabezpieczeniem transakcji miała być warta 6 mln dol. gwarancja bankowa. W połowie 2011 r. dokumenty transakcji były gotowe, a następnie zostały podpisane.

Niestety, szybko się okazało, że z akcjami kanadyjskiej spółki coś jest nie tak. Nikt też nie słyszał o gwarancji bankowej na 6 mln dol. Jednocześnie polscy przedstawiciele „Cypryjczy-

ków” zadbali o to, by w stosownych urzędowych księgach, dokumentach i rejestrach jako właściciel udziałów Hydronaftu figurowała spółka Fortionell Limited. Co oznaczało, że w rafinerii Glimar pojawili się nowi właściciele. Gdy prezes Wojtaszek zorientował się, w czym rzecz, uznał, że padł ofiarą oszustwa.

Prowincjonalna prokuratura, prowincjonalne sądy

Na początku listopada 2011 r. do Prokuratury Rejonowej Kraków-Śródmieście Wschód trafiło doniesienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez wyżej wspomniane osoby, złożone przez prezesa Grzegorza Wojtaszka. Jednocześnie wszczęte zostały postępowania sądowe, gdyż nowi właściciele Rafinerii Glimar zachowywali się jak u siebie.

Wojtaszek chciał dowiedzieć, że cypryjska spółka Fortionell Limited uzyskała wpis do Krajowego Rejestru Sądowego (jako główny udziałowiec Hydronaftu, a co za tym idzie, Rafinerii Glimar) na podstawie wyłudzonego podpisu. Jednocześnie starał się ustalić, co się stało z prawie 4 mln akcji spółki Hudson Oil Corporation Limited, które trafiły na jego rachunek maklerski prowadzony przez Dom Inwestycyjny BRE Banku.

Z wyjaśnień pracowników owego domu inwestycyjnego wynika, że 3 sierpnia 2011 r. otrzymali drogą mejlową wstępne potwierdzenie, że owe akcje zostaną zaksięgowane na rachunku powierniczym DI BRE w Commerzbank AG. Tak też się stało.

Za to 18 sierpnia 2011 r. Commerzbank WYKSIĘGOWAŁ akcje z rachunku powierniczego DI BRE, „BEZ DYSPOZYCJI ze strony naszej Spółki”, jak napisano w wyjaśnieniach!

Należy podkreślić, że do dziś, mimo wysiłków prokuratury i samego zainteresowanego, nie wiadomo, co i dlaczego stało się w sierpniu 2011 r. z akcjami, które z mocy umowy należały do Grzegorza Wojtaszka. Commerzbank AG dowodzi, że owe walory zostały zaksięgowane na rachunku DI BRE „w wyniku błędu”, w związku z tym zapis został skorygowany.

Obecnie ani mBank (dawniej BRE Bank), ani tym bardziej Commerzbank (będący głównym udziałowcem mBanku) nie poczuwają się do winy i uważają sprawę za zamkniętą.

► Historia ta jest tylko jednym z wielu dramatycznych zwrotów akcji. Prezesowi Drogbudu nie udało się odzyskać pełnej kontroli nad majątkiem Glimaru.

W kolejnych latach Grzegorz Wojtaszek starał się zainteresować swoimi problemami organy ścigania i wymiar sprawiedliwości. Składał doniesienia do prokuratury, stawał przed sądami w sprawach cywilnych, gromadził dowody, wysyłał i odpowiadał na pisma procesowe. A jedyne, co się zmieniało, to spółki dowodzące, że są właścicielami rafinerii Glimar „po linii Hudson Oil Corporation – Fortionell Limited”.

Wykorzystując kruczki prawne, przeciągały one rozstrzygnięcie spraw, a gdy miały już zapasć wyroki, okazywało się, że tak naprawdę właścicielem rafinerii był zupełnie inny podmiot gospodarczy i sprawa musiała rozpoczynać się od nowa. Co gorsza, składniki majątku spółki zmieniały właścicieli, tak że coraz trudniej było ustalić, co do kogo należy.

Kolejne prokuratury, którym przyszło zmierzyć się z postępowaniem wyjaśniającym w tej sprawie, natrafiały na problemy z biegłymi oraz pomocą prawną ze strony Niemiec, Kanady i Cypru. Banki także niezbyt ochoczo odpowiadały na pytania prokuratury i udostępniały dokumenty. Z czasem osłabł również zapał przedstawicieli kompetentnych organów, którzy doszli do wniosku, że sprawa jest trudna, niejasna i nie rokuje nic dobrego, więc może lepiej, by umarła śmiercią naturalną.

Kłopoty nie ominęły samego prezesa Grzegorza Wojtaszka. W roku 2016 został zaatakowany przez nieznanego sprawcę i, jak mu potem powiedzieli lekarze w szpitalu, ledwie uszedł z życiem. Łatwo się domyślić, że i tym razem organom nie udało się wyjaśnić sprawy. Cóż, Nowy Sącz, Gorlice, prowincja... Jedno jest pewne – w tej sprawie działanie zgodne z prawem jest, delikatnie mówiąc, bezsensowne i niebezpieczne dla Wojtaszka.

Smutny koniec konsula honorowego

Smutny koniec spotkał również wspomnianego ekonomistę, przedsiębiorcę oraz polskiego konsula honorowego w Monako Wojciecha tym razem J., który, jak się wydaje, był

główną postacią operacji przejęcia Rafinerii Glimar.

6 maja 2014 r. przed szpitalem w Nicei została postrzelona przez wynajętego zabójcę Héléne Pastor, najbogatsza kobieta w Księstwie Monako, przyjaciółka księżęcej rodziny Grimaldich. Mimo kilku operacji lekarzom nie udało się jej uratować, zmarła 21 maja. Francuska policja początkowo podejrzewała, że za zamachem stoi włoska mafia. Jednak dość szybko ustalono, że zleceniodawcą był znany nam dobrze konsul honorowy w Monako, Wojciech J., prywatnie związany z córką miliarderki Sylwią Pastor. Powodem, jak się okazało w trakcie procesu sądowego w roku 2018, były problemy finansowe naszego bohatera.

Héléne Pastor każdego miesiąca wystawiała córce czek o wartości 500 tys. euro, na życie. Sylvia, mając pełne zaufanie do konkubenta, zgodziła się, by to on zarządzał jej finansami. Po jakimś czasie odkryła, że wytransferował ponad 7 mln euro z jej rachunków na swoje prywatne konta. Ale interesy, które planował i realizował, nie wypaliły i zamiast zysków

19 stycznia 2005 r. Sąd Rejonowy w Nowym Sączu ogłosił upadłość założonej w roku 1883 gorlickiej Rafinerii Glimar.

przyniosły straty. Sylvia zaczęła też podejrzewać, że jego tytuły i dyplom ukończenia studiów w Cambridge nie są prawdziwe.

Wojciech J. obawiał się, że chora na raka Sylvia Pastor umrze wcześniej niż jej matka, a wtedy zostanie on oddalony przez rodzinę monakijskich miliarderów i straci źródło dochodów. Znalazł więc pośrednika, który podjął się wynajęcia strzelca.

W październiku 2018 r. francuski sąd skazał byłego już honorowego konsula RP w Monako na dożywocie.

Składowisko

Konsekwencją wszystkiego, co się stało z Rafinerią Glimar, jest to, że od 2012 r. magazyny i potężne stalowe zbiorniki powoli zamieniały się w składowisko groźnych odpadów. Także dlatego, że odpowiedź na pytania, kto jest właścicielem i kto za co odpowiada, była nieoczywista.

Gorlickie gazety lokalne i portale internetowe pełne są rewelacji na temat potężnej „bomby ekologicznej”, która

znajduje się na tym terenie. Wspomina się o 1,6 tys. ton niebezpiecznych substancji, które grożą skażeniem środowiska. Oczywiście sprawą interesują się prokuratura oraz lokalne władze samorządowe. Obawiam się, że bez szczególnych sukcesów.

W sierpniu 2017 r. na terenie Glimaru doszło do wycieku substancji żrących z jednego ze zbiorników. Zebrał się sztab kryzysowy z udziałem burmistrza oraz władz spółek odpowiedzialnych za te odpady. Prezes jednej z nich, Multibestu, zadeklarował, że na swój koszt do końca sierpnia wywiezie z terenu Gorlic szkodliwe substancje zgromadzone w zbiornikach. Niestety, nie podał, kiedy konkretnie miałyby to nastąpić. W listopadzie 2017 r. „Gazeta Krakowska” doniosła, że w tej sprawie nic się nie zmieniło.

W roku 2018 Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska w Nowym Sączu nałożył pół miliona złotych kary administracyjnej na wspomnianą firmę. Nie sądzę, by kogokolwiek zdziwił fakt, że nie miała ona zezwolenia na gospodarowanie odpadami, które zostały przewiezione do Gorlic, rzecz

jasna, bez wymaganych dokumentów!

Egzekucja zobowiązań i należności będzie trudna, gdyż spółka Multibest nie dysponuje żadnym majątkiem, podobnie jak jej właściciele.

Zamiana rafinerii w składowisko niebezpiecznych odpadów chemicznych zaniepokoiła też posłankę Elżbietę Zielińską z Kukiz'15, która wysłała kilka listów do odpowiednich ministrów, w tym do ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry. Rzecz jasna, bez większych efektów. Można być pewnym, że sprawa ta będzie się ciągnąć latami. Wymiar sprawiedliwości i wszelkie inne kompetentne organy dowiodły, że nie są w stanie wyjaśnić kwestii związanych z Glimarem. Prezes Grzegorz Wojtaszek czeka na sprawiedliwość, a mieszkańcy Gorlic na decyzje, które zlikwidują składowisko niebezpiecznych odpadów na terenie rafinerii. O pociągnięciu do odpowiedzialności osób winnych tej historii nie ma nawet mowy.

Anna Fischer

Rozmawia Anna Walczak

Napisał pan do redakcji „Do Rzeczy” list w sprawie artykułu „Klimatyczny szwindel” Łukasza Warzechy, opublikowanego kilka tygodni temu na łamach tego tygodnika. Dlaczego?

– Zrobiłem to, ponieważ napisano tam bzdury. Koniecznie trzeba się temu przeciwstawiać, nie dopuszczać do takiego ogłupiania ludzi. Chciałem przede wszystkim sprostować zamieszczone w tygodniku kłamstwa na temat portalu Nauka o klimacie oraz IPCC (Intergovernmental Panel on Climate Change, czyli Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu).

Łukasz Warzecha twierdzi, że IPCC to ciało upolitycznione.

– IPCC to zespół ekspertów, którego celem jest dostarczenie rządowi raportów będących syntezą wiedzy naukowej na temat zmian klimatu i ich konsekwencji. Raporty powstają w ten sposób, że grupy robocze, liczące po kilkudziesięciu specjalistów, robią przeglądy literatury naukowej – głównie fachowych czasopism o międzynarodowym zasięgu. Następnie grupy wzajemnie recenzują swoje raporty.

Główny zespół IPCC to ludzie delegowani z takich instytucji jak nasz Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej, ze 195 krajów członkowskich. To oni biorą odpowiedzialność za syntezę raportów przygotowanych przez poszczególne grupy. Mają niewielki wpływ na ostateczną redakcję, dbając o ich polityczną poprawność z punktu widzenia różnych rządów – jednak generalnie raporty IPCC są politycznie neutralne.

Zarzuty klimatycznych negacjonistów, czyli środowisk, które sprzeciwiają się tezie o antropogenicznych zmianach klimatu, są jednak takie, że rządy celowo wyznaczają naukowców pasujących do pewnych założeń. To możliwe?

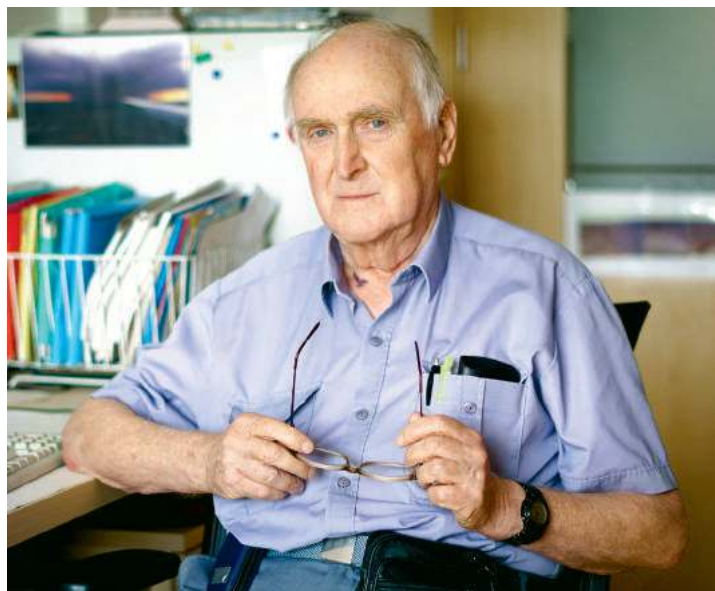
– Mogę powiedzieć, jak jest u nas. Z Polski do grup roboczych IPCC trafili np. prof. Mirosław Miętus, dyrektor Instytutu Geografii Uniwersytetu Gdańskiego, kierownik Katedry Meteorologii i Klimatologii Instytutu Geografii Uniwersytetu Gdańskiego, i prof. Zbigniew Kundzewicz, polski hydrolog i klimatolog, profesor nauk o Ziemi związany z Uniwersytetem Przyrodniczym w Poznaniu. To nie są osoby, które byłyby wybierane „pod

Prawdziwy szwindel klimatyczny

To decydenci od klasycznej energetyki są zainteresowani tym, żeby zielona energia się nie rozwijała

PROF. KRZYSZTOF E. HAMAN

– geofizyk z Uniwersytetu Warszawskiego specjalizujący się w fizyce atmosfery, członek korespondent PAN



jakimś kątem”. Zdecydowały o tym wyłącznie ich kwalifikacje. Z naszej strony nie było więc na pewno żadnych motywów politycznych i nie sądzę, aby tak było w innych krajach, patrząc na nazwiska, które tam się pojawiają. To poważni naukowcy, pracownicy instytucji naukowych, finansowani z grantów. Ci grantodawcy z kolei, przynajmniej w wypadku podstawowych nauk ścisłych i przyrodniczych, są zainteresowani nie konkretnym wynikiem, ale tym, żeby badania i prace naukowców w istotny sposób poszerzały naszą wiedzę i nadawały się do publikacji w poważnych czasopismach. U nas jest to np. Narodowe Centrum Nauki w Krakowie.

Może jednak mogą mieć jakiś interes w popieraniu „klimatystów”?

– Przecież dla rządów to nie jest interes, tylko kłopot! Nie jestem członkiem rządu, ale gdybym nim był, wolałbym, aby tego kłopotu nie było.

Nasz konserwatywny rząd powinien więc teraz wysłać do IPCC naukowców, którzy negują globalne ocieplenie.

– Tylko że takich poważnych naukowców praktycznie nie ma. Tomasz Cukiernik w kolejnym artykule w „Do Rzeczy”, również o klimacie, powołuje się np. na nieżyjącego już prof. Zbigniewa Jaworowskiego. Był on lekarzem specjalizującym się w ochronie radiologicznej, m.in. organizatorem ostony radiologicznej po Czarnobylu. Klimatem zajmował się po amatorsku i również pisał głupoty. Z nim też prowadziłem zresztą polemiki.

Prawicowe media mówią jednak, że to szwindel, który ma służyć zarabianiu pieniędzy, np. na zielonej energii.

– To nieprawda. Ci naukowcy nie są z tym związani. To raczej decydenci od klasycznej energetyki mają kupę pieniędzy i są zainteresowani tym, żeby zielona energia się nie rozwijała. Na nafcie i węgla się zarabia, a na zielonej energii... podobno też, ale to jest jeszcze w powijakach. Nasz rząd broni więc tego węgla rękami i nogami. I rzeczywiście – Europa odpowiada tylko za kilkanaście procent światowej emisji dwutlenku

► węgla. Głównym problemem są takie kraje jak Chiny czy Indie. Ale ktoś musi zacząć coś robić. Działania, które Europa chce podejmować, mimo że jest odpowiedzialna za mały wycinek problemu, zainicjują prędzej czy później, miejmy nadzieję, akcję globalną.

Łukasz Warzecha powołuje się w tekście na to, co mówi prof. Richard Lindzen, fizyk atmosfery.

– Znam profesora od co najmniej pięćdziesięciu kilku lat, do pewnego stopnia się przyjaźniliśmy, choć ta przyjaźń była podtrzymywana głównie na spotkaniach czy konferencjach. Bardzo sympatyczny człowiek. Natomiast nie zgadzam się z jego poglądami.

Czyli?

– Główna jego myśl jest taka, że wiedza, którą w tej chwili dysponujemy, jest niedostatecznie pewna, by uzasadnić kosztowne działania mające zapobiegać globalnemu ociepleniu.

Jak pan odpowiedziałby na argumenty prof. Lindzena?

– Można zgodzić się z nim, że nasza wiedza o mechanizmach funkcjonowania klimatu jest jeszcze wysoce niepełna i być może negacjoniści mają rację, choć liczba teoretycznych i obserwacyjnych argumentów przeciwnych temu pogładowi szybko rośnie. Jeżeli przyjmiemy, że mają oni rację, nasz ewentualny wysiłek włożony w zmianę polityki energetycznej i stylu życia poszedłby na marne, ale i tak pozostałoby pozytywne skutki uboczne w postaci np. czystszej powietrza. Jeżeli jednak negacjoniści się mylą, kontynuacja



Ocieplenie w wysokości 1,5 st. może radykalnie zmienić nasze warunki życiowe.

przestawiać „na zielono”, choć dużym kosztem. Jeżeli zostaną wypracowane odpowiednie technologie, samoloty będzie można napędzać biopaliwem czy wodorem. A pewnie tak się stanie, bo w tej sytuacji trzeba będzie to zrobić.

Negacjoniści twierdzą, że nie ma zgody co do tego, czy ocieplenie klimatu jest antropogeniczne.

– Ten konsensus jest bardzo powszechny. Ponad 90% artykułów w poważnych czasopismach naukowych dotyczących klimatu zawiera dane potwierdzające, że zmiany następują i idą w kierunku przewidywanym w raportach IPCC. Odpowiedź na to pytanie znajdzie pani choćby w opublikowanym niedawno stanowisku Komitetu Geofizyki PAN, gdzie mowa m.in.

Warzecha zarzuca też ludziom stojącym na czele IPCC, że nie są klimatologami.

– Tak, ale IPCC to olbrzymia organizacja, złożona z wybitnych specjalistów atmosferycznych, nie tylko klimatologów. Rajendra Kumar Pachauri (były przewodniczący IPCC – przyp. red.) rzeczywiście jest inżynierem kolejnictwa, a obecny przewodniczący Hoesung Lee – ekonomistą. Ale oni muszą zorganizować i prowadzić olbrzymią międzynarodową grupę badawczą. Nie muszą być klimatologami, powinni natomiast być organizatorami.

Tak jak minister zdrowia nie musi być lekarzem?

– Bardzo dobrze, jeśli nie jest. „Do Rzeczy” nie odniosło się w żaden sposób do pana listu. Zamiast tego – jak już pan wspomniał, w tygodniku ukazał się kolejny artykuł o klimacie, autorstwa Tomasza Cukiernika.

– To, na co powołuje się autor, to dane naukowe, które zostały dawno skontrolowane. Portal Nauka o klimacie rzeczowo na ten tekst odpowiada (w artykule Marcina Popkiewicza – przyp. red.). Przykłady? Cukiernik pisze, że raport IPCC „jest niewiarygodny i ma niewiele wspólnego z rzeczywistością” – bo tak o nim się wypowiadają eksperci z Heartland Institute z Chicago czy z Komitetu na rzecz Konstrukttywnej Przyszłości z Waszyngtonu (CFACT). Autor artykułu wyjaśnia jednak, że owe instytucje to po prostu think tanki finansowane przez koncerny paliw kopalnych. W dalszych punktach

Na nafcie i węgla się zarabia, a na zielonej energii... podobno też, ale to jest jeszcze w powijakach.

obecnej polityki *business as usual* (czyli prowadzimy nasze interesy jak do tej pory – przyp. red.) doprowadzi do nieodwracalnej katastrofy. Rzecz w tym, że ani ja, ani prof. Lindzen, ani prawdopodobnie pan Warzecha nie dożyjemy momentu empirycznego sprawdzenia, kto ma rację. Natomiast 13-letnia Inga, która protestowała w obronie klimatu, zapewne tak, więc słusznie wolałaby, abyśmy nie ryzykowali.

To taki klimatyczny zakład Pascala.

– Tak, bo trzeba przyznać uczciwie, że stuprocentowo nie jesteśmy niczego pewni. Jednak energetykę można

o tym, że nie ma istotnych wątpliwości co do przyczyny globalnego ocieplenia. Jest nią absorpcja promieniowania termicznego Ziemi przez gazy cieplarniane, przy czym stężenie jednego z nich – dwutlenku węgla – wzrosło od czasów sprzed rewolucji przemysłowej o 40%, natomiast stężenie metanu podwoiło się. Nie ma już więc w zasadzie poważniejszych wątpliwości, że żadnym innym znanym procesem niż procesy antropogeniczne nie jesteśmy w stanie wyjaśnić rozmiarów globalnego ocieplenia obserwowanego w ostatnich dekadach.

konstruje inne dawno obalone mity, więc polecam jego lekturę.

Ja też polecam, bo tekst jest kapitalny. Zaczyna się tak: „Zgodnie z żartobliwym prawem Brandoliniego, energia potrzebna do obalenia bzdury jest o rząd wielkości większa niż potrzebna do jej wyprodukowania”. Wróć jednak do Warszawy. Twierdzi on, że prof. Lindzen, będąc na emeryturze, „pozostaje poza zasięgiem naukowych klik, które finansowo zmonopolizowały kwestie klimatyczne”. Czy to rzeczywiście argument?

– Ja również jestem emerytowanym profesorem.

Mamy zatem rozumieć, że nie przyjmuje pan korzyści od „klik” od zielonej energii?

– Nie miałem okazji (śmiejch).

Może Greenpeace pana sponsoruje?

– Wręcz przeciwnie! To ja od czasu do czasu coś im podsyłam, gdy zbierają. Na Avaazie (światowa organizacja obywatelska prowadząca inicjatywy związane m.in. z ekologią – przyp. red.) mam stałą składkę 35 zł miesięcznie. Nie wiem natomiast, w jakiej sytuacji jest prof. Lindzen, ale przypuszczam, że istotnie ma na tyle wysoką emeryturę, by nie musieć korzystać z niczych środków. **Z tego, co czytamy w mediach, wynika, że naukowcy są albo za antropogenicznością zmian klimatycznych, albo przeciw.**

– Przeważnie są za – ponad 90% ten pogląd podziela. Do tego sporu wmieszali się też geolodzy, patrząc na klimat z punktu widzenia paleologii. Wydaje im się, że jeśli klimat kiedyś się wahał, podobnie będzie dalej. Rzecz w tym, że patrzą na to tylko pod kątem historii i jej ekstrapolacji „do przodu”. Sądzą, że skoro przez kilkadziesiąt tysięcy lat występowały kolejne epoki lodowe, będzie tak jeszcze przez dłuższy czas. Tymczasem w układach dynamicznych, takich jak klimat, oscylacje mniej więcej okresowe mogą się pojawiać i następnie nieoczekiwanie zanikać.

Przyjechał niedawno do Polski James Taylor, stojący na czele amerykańskiego think tanku Heartland Institute. NSZZ Solidarność podpisał z nimi deklarację współpracy. W „Tygodniku Solidarność” ukazał się wywiad z Taylorem. Już z okładki mówi do czytelników: „Nie ma naukowych dowodów”.

– Ależ są naukowe dowody! Są, o ile w ogóle można mówić o czymś

takim jak naukowy dowód, bo w naukach przyrodniczych to zawsze dowód empiryczny, obciążony pewną dozą niepewności, w odróżnieniu od dowodu matematycznego. Zawsze można twierdzić, że jeśli coś w pewnych okolicznościach sto razy się zdarzyło, nie mamy pewności, czy zdarzy się za sto pierwszym. Jednak na ogół się zdarza.

Taylor zapewnia w wywiadzie: „Nie ma żadnego zagrożenia światową katastrofą klimatyczną spowodowaną globalnym ociepleniem”.

– Co mogę powiedzieć? Że niestety się myli. Każdy jednak może powiedzieć, co chce, w wolnym kraju.

Ale ludzie w to wierzą.

– Na szczęście niektórzy nie.

Dalej mówi: „Tempo wzrostu temperatur na świecie jest więcej niż o połowę niższe od przewidywanego w modelach klimatycznych ONZ”.

Ma rację?

– Modele klimatyczne, nie tyle ONZ, ile IPCC, są wariantowe. To kilkadziesiąt wariantów, a nie jedna prognoza. Są robione różnymi metodami, które – gdyby je przedstawić na wykresie – dawałyby nie jedną linię,

Jeżeli zostaną wypracowane odpowiednie technologie, samoloty będzie można napędzać biopaliwem czy wodorem.

ale pęk linii. Czyli to, co mówi ten człowiek, jest oczywistą manipulacją. Można bowiem znaleźć taki model klimatyczny w raportach IPCC, który daje dwa razy mniejszy lub dwa razy większy wzrost temperatury w granicach dopuszczalnego błędu.

I oskarżyć ONZ, że się myliła.

– To samo zrobił prof. Lindzen, który pokazuje, że prognozy załodzenia Arktyki się nie sprawdziły. Wskazał akurat te parametry, które są trudne do prognozowania, jako demonstrację, że to wszystko jest bardzo niepewne. Natomiast wzrosty temperatury – te średnie – akurat dobrze się prognozuje. Podobnie jak wzrost stężenia dwutlenku węgla.

Taylor wytyka też: „Ostatecznie wzrost (globalnych temperatur) jest znacznie niższy, niż podał IPCC. Wynosi bowiem nie 2,5 st., lecz 1,5 st.”.

– Znów nieprawda. Ten wzrost wynosi ok. 0,8 st., a liczby 1,5 i 2,5 dotyczą prognozowanych wartości na rok 2100, w różnych scenariuszach emisji dwutlenku węgla. Albo zatem

dziennikarz nie rozumiał, co Taylor powiedział, albo on sam gada głupstwa. Cała wojna toczy się bowiem o to, by nie zrealizować któregoś z wielu scenariuszy, dającego więcej niż 1,5 st. Ta wartość uważana jest jeszcze za bezpieczną. Co jest niebezpieczne w układzie klimatycznym? Tzw. punkty równowagi chwiejnej. Konkretnie zagrożeniem są tu chociażby tzw. klatraty metanu w oceanach, czyli metan związany w chłodnej wodzie, na dużych głębokościach. **One są w lodzie?**

– Czymś w rodzaju lodu. Była nawet hipoteza, że w rejonie Trójkąta Bermudzkiego ciepłe prądy powodują uwalnianie klatratów metanu i z tego metanu robi się jakby woda sodowa o mniejszej gęstości – dlatego okręty toną. To oczywiście fantastyczna hipoteza, ale w pewnym sensie ilustruje zagrożenie dla naszego klimatu. Wzrost temperatury wody może doprowadzić do uwolnienia dużych ilości metanu. Podobnie w Arktyce może dojść do uwolnienia dwutlenku węgla związanego w zmarzlinie. Lekkie „trącenie” przez nas równowagi uruchomi proces, który gwałtownie

wzmocni wzrost temperatur. I wtedy może być bardzo niedobrze.

Negacjoniści mówią również, że emisja dwutlenku węgla zależy tylko w kilku procentach od człowieka, więc nie ma to znaczenia dla globalnego ocieplenia.

– Oczywiście, że ma. Rzeczywiście naturalna cyrkulacja dwutlenku węgla obejmuje znacznie większe ilości, tyle że jest ona w równowadze. My dodajemy swoją porcję, spalając paliwa kopalne, gromadzone w procesach naturalnych kilkadziesiąt milionów lat temu.

Czyli nawet jeśli to kilka procent...

– ...jest to kilka procent za dużo. Tak samo jak z ociepleniem – 1,5 st. może zmieniać nasze warunki życiowe radykalnie. To jak z jeziorem i temperaturą ok. 0 st. Jeżeli ona trochę spadnie, na jeziorze robi się lód, co kompletnie zmienia właściwości tego jeziora z punktu widzenia użytkownika (bo ryby mu pozdychają), mimo że zmiana temperatury będzie minimalna.

Anna Walczak

Pożary w Amazonii: mięso i polityka

Tak duże zniszczenia nie byłyby możliwe bez udziału człowieka



Istnieją obawy, że wylesiane tereny wschodu Boliwii staną się gruntem pod nowe uprawy koki.

Wojciech Ganczarek Korespondencja z Ameryki Południowej

Od miesiąca Amazonia stoi w ogniu. Obrazy satelitarne pokazują chmury dymu zasnuwające kontynent, na zdjęciach oglądamy szare kikuty drzew sterczące wśród popiołów. I chociaż – jak przekonują niektórzy – pożary lasów w regionie nie są niczym nowym, ich liczba wzrosła niemal dwukrotnie w porównaniu z rokiem ubiegłym. Tak duże zniszczenia nie byłyby możliwe bez udziału człowieka. Światowy wzrost popytu na mięso oraz projekty polityczne prezydentów Boliwii i Brazylii mają w tym swój udział.

Boliwia: kolonizacja wewnętrzna

Roboré to jedno z większych miasteczek na wschodnim, słabo zaludnionym krańcu Boliwii, wchodzącym w skład departamentu Santa Cruz. Z komisariatu policji na rogu rynku

zostały tylko ściany. Reszta spłonęła w ciągu nocy.

– Przyjeżdżają osadnicy, którzy nie znają realiów regionu, i potem dochodzi do tego typu sytuacji – mówi strażniczka rezerwatu Tucabaca.

Jedno z osiedli miało powstać właśnie na terenie rezerwatu Tucabaca na podstawie decyzji rządu centralnego. W listopadzie 2018 r. mieszkańcy okolic Roboré wyszli na główną drogę w proteście przeciw niszczeniu terenów chronionych i zostali spacyfikowani przez policję. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać, to właśnie wtedy – a nie podczas obecnych pożarów – spłonął komisariat.

– Chodzimy do osadników, tłumaczymy – ciągnie strażniczka – że w czasie silnych wiatrów wypalanie jest kategorycznie zabronione. I co odpowiadają? To nasza ziemia, prezydent nam dał i nikt nam tu nie będzie rozkazywać!

Ze wzgórza nad doliną Tucabaca wyraźnie widać wielki na kilkadziesiąt hektarów prostokąt wykarczowanego lasu. Prezydent Evo

Morales utrzymuje, że chodzi o małych producentów, ubogich chłopów, o „pół hektara na poletko kukurydzy”, tymczasem przeprowadzenie wylesiania w takiej skali, tak szybko i z taką precyzją jak tutaj wiąże się z wykorzystaniem ciężkiego sprzętu i niemałymi kosztami.

Gdy strażniczka parku mówi o osadnikach, używa słowa *colono*, kolonizator, tego samego, którym określa się np. Niemców i Polaków, którzy na początku XX w. osiedlali się w sąsiednim Paragwaju. W Boliwii mówimy o kolonizacji wewnętrznej – chodzi o mieszkańców pustynnego Altiplano, nazywanych *collas*, którym przyznaje się ziemie na wilgotnym wschodzie kraju. Zarówno przyjezdni, jak i miejscowi mają paszporty boliwijskie, ale tylko ci pierwsi często porozumiewają się w keczua czy ajmara, a na wschodzie są postrzegani jako obcy, nieproszeni i niepożądani przybysze.

Interesujące, że osadnicy środkowo-europejscy zyskali w Paragwaju podobną sławę co *collas* we wschodniej Boliwii – jednym i drugim

przypięto łatkę niedbających o higienę i przesadnie oszczędnych. Miejscowych irytuje jednak przede wszystkim wyjątkowa przychylność władz centralnych, jaką cieszą się przyjezdni. Dlaczego rozdaje się tu tejsze ziemie ludziom z innych regionów – pytają – gdy my sami nie mamy takich przywilejów?

W dodatku beneficjenci często nie są aż tak potrzebujący, jak się ich przedstawia, za to, owszem, należą do ludu Ajmara, tak jak głowa państwa. Proces kolonizacji odbywa się w atmosferze polaryzacji etnicznej; dyskurs partii rządzącej dzieli Boliwię na dobrych – tych z Altiplano, i złych – tych z Santa Cruz. Opozycja wytyka, że w grę wchodzi także wynik wyborczy. *Collas*, tradycyjni sprzymierzeńcy Evo Moralesa, są osiedlani w departamentach, w których ubiegający się o czwartą z rzędu kadencję prezydent kraju notuje najniższe poparcie.

gruntem pod nowe uprawy koki. W sąsiednim regionie Chapare luksusowe samochody i domy o przesadnych rozmiarach w ubogich z pozoru wioszczkach wskazują wyraźnie, że zielone listki są nie tylko sprzedawane do bezpośredniego spożycia, ale także przetwarzane na kokainę. Evo

Nie po to podkłada się w lesie ogień, by potem czekać, aż drzewa odrosną.

Morales doszedł do władzy właśnie jako młody przywódca *cocaleros* i niedawno otworzył drogę rozwojowi plantacji koki w parku narodowym TIPNIS (Territorio Indígena y Parque Nacional Isiboro-Secure). Koka to niejedyny biznes regionu. Boliwia wylesia się z myślą o nowych pastwiskach, plantacjach transgenicznej soi na eksport, a także trzciny cukrowej i kukurydzy do produkcji biopaliw

mieszkaniec globu zjadał rocznie nieco ponad 20 kg mięsa, dzisiaj mówimy o 40 kg.

Rzecz jasna, ktoś taki jak przeciętny mieszkaniec nie istnieje; podane wyżej średnie wartości ukrywają gigantyczne różnice między państwami. Podczas gdy w Kanadzie czy Brazylii

zjada się niemal 100 kg rocznie na osobę, Nigerczycy czy Etiopczycy konsumują 10, a Hindusi 20 razy mniej. Średnia dla Polski waha się w okolicach 80 kg.

Przypadkiem szczególnym są Chiny. Azjatycki gigant notuje w ostatnim półwieczu prawdziwy skok w spożyciu produktów pochodzenia zwierzęcego – dzisiejsze 60 kg na rok brzmi wręcz niewiarygodnie w stosunku do 5 kg z lat 60. Nie jest to wprawdzie 120 kg jak w Stanach Zjednoczonych, ale fakt, że jedna piąta populacji świata je obecnie 12 razy (!) więcej mięsa niż 50 lat temu, ma gigantyczny wpływ na globalny rynek żywnościowy.

Problem z mięsem jest taki, że chodzi o żywność bardzo mało efektywną z produkcyjnego punktu widzenia. Aby otrzymać kilogram proteiny zwierzęcej, należy poświęcić 10 (w przypadku wieprzowiny) do 20 kg (w przypadku wołowiny) protein roślinnych zawartych w paszach, produkowanych współcześnie przede wszystkim na bazie soi. Ta ostatnia natomiast równie dobrze mogłaby zostać bezpośrednio spożyta przez człowieka z efektem podobnym do spożycia mięsa, w obu przypadkach mówimy bowiem o jakichś 20% zawartości protein. Innymi słowy, zawsze gdy gdzieś na świecie spożywa się wołowinę, zamiast 20 osób je jedna. Efektywność produkcji zwierzęcej na pastwiskach jest jeszcze niższa.

Nie jest prawdą – jak głoszą niektórzy – że dynamiczne wylesianie powoduje troska międzynarodowych korporacji rolniczych o złagodzenie głodu na świecie. Świat produkuje wystarczające ilości pożywienia, by wykarcić wszystkich swoich mieszkańców. Problemem jest, po pierwsze, nierówność w dostępie do tego, co się produkuje. Fakt, że na każdą z miliarda osób niedożywionych przypadają dwie osoby otyłe ▶



Suszenie liści koki w regionie Chapare.

To również dla tych departamentów – Santa Cruz i Beni – 9 lipca br. wydany został dekret zezwalający na kontrolowane wypalanie lasów. Miesiąc później ogień wymknął się spod kontroli. Evo Morales drwił z manifestantów domagających się dopuszczenia pomocy z zagranicy: „Teraz protestujecie, a potem zamawiacie jedzenie w styropianowych pudełkach, na tym dopiero cierpi natura!”. Władze zareagowały dopiero po przeszło dwóch tygodniach pożarów – rząd opłacił usługi samolotu gaśniczego Supertanker, do akcji wkroczyli strażacy i helikoptery. Szacuje się, że w tragedii spłonęło milion hektarów lasu. To obszar odpowiadający powierzchni województwa opolskiego.

Istnieją obawy, że wylesiane tereny wschodu Boliwii staną się

w nowo otwartym zakładzie w Pailón. Tylko w 2017 r. kraj stracił przeszło 250 tys. ha puszczy.

Wielec białka

Nie ma wątpliwości, że współczesne wylesianie jest w znacznej mierze bezpośrednią konsekwencją rekordowego popytu na mięso. W ostatnim półwieczu produkcja i konsumpcja mięsa wzrosła niemal pięciokrotnie. Według danych Organizacji Narodów Zjednoczonych mówimy o skoku z 70 mln ton rocznie w latach 60. do współczesnych 330 mln ton. W tym samym okresie populacja planety „jedynie” się podwoiła. Oznacza to, że jemy więcej mięsa nie tylko dlatego, że jest nas więcej. Jeśli w latach 60. przeciętny

► lub z nadwagą, może nie wyjaśnia wszystkiego, ale mówi wiele. Po drugie, mamy mięsne zachcianki – bardziej smakuje nam befszyk niż sojowe kotleciki lub fasolowa. Powtórzę: zawsze gdy gdzieś na świecie spożywa się wołowinę, zamiast 20 osób je jedna. A jeśli pozostałe 19 osób również ma ochotę na mięso, musimy wyciąć 20 razy więcej lasów.

Szacuje się, że ok. 80% wykarczowanych lasów amazońskich służy dziś hodowli bydła. Pozostałe 20% przeznaczone jest przede wszystkim pod uprawę soi. Latem w sąsiedniej Argentynie przeszło 60% pól obsianych jest soją, w Paragwaju ten odsetek rośnie do 80%. Brazylijska uprawa soi zajmuje ok. 35 mln ha, to obszar nieco większy od Polski. W Boliwii mówimy o liczbach znacznie mniejszych, ale

– przypada w udziale świniom. Rzucamy perły przed wieprze i nazywamy to rozwojem.

Brazylia: tropikalna wersja Trumpa

Jair Bolsonaro w przeciwieństwie do Evo Moralesa nie udaje, że jest obrońcą środowiska i Matki Ziemi. Ultrapravicowy prezydent Brazylii jeszcze na długo przed pożarami zapowiadał, że będzie chciał przekuć zasoby Amazonii w rozwój ekonomiczny kraju. Bolsonaro, były wojskowy, zyskał rozgłos przede wszystkim za sprawą poniżania kobiet, pochwały dla tortur, rasizmu i absolutnej nietolerancji wobec mniejszości. Niecały rok od wyborów prezydenckich nadal pytamy, w jaki sposób prezydentem

Mechaniczna, jak sam o sobie mówi – zwolnił Ricarda Galvão, dyrektora Instytutu Badań Przestrzennych INPE, po tym jak ten poinformował o nasileniu deforestacji w Brazylii o 88% w porównaniu z rokiem przedwyborczym. „Mam wrażenie, że te dane nie są prawdziwe – miał powiedzieć prezydent. – Można wręcz sądzić, że [Ricardo Galvão] jest na usługach jakiejś organizacji pozarządowej”.

Organizacje pozarządowe to w oczach Bolsonaro coś w rodzaju ósmej plagi egipskiej. Także one znalazły się w ogniu prezydenckich oskarżeń – ich działacze mieli podpalać dżunglę, by przedstawić w złym świetle prezydenta Brazylii. Widząc może, że niczym niepoparte oskarżenia nie wywierają wpływu na społeczeństwo, które wyszło na ulice, by

domagać się od rządu interwencji w sprawie pożarów, Bolsonaro zaczyna grać na patriotycznej nutce, chętnie wykorzy-

stywanej przez latynoamerykańskich populistów zarówno z prawej, jak i z lewej strony sceny politycznej. „Nie jesteśmy niczyją kolonią, żeby ktoś miał tu przychodzić i nas ratować!”, grzmiał brazylijski prezydent w odpowiedzi na ofertę pomocy międzynarodowej, wystosowaną przez Emmanuela Macrona.

Tymczasem dżungla płonie. Dopiero po trzech tygodniach rząd w Brasili zareagował, wysyłając tam oddziały wojska.

Dżungla raczej nie wróci

To prawda, że lasy mają zdolność do naturalnej regeneracji; ocenia się, że w ciągu 20-40 lat do zniszczonych obszarów Amazonii mogłoby wrócić życie. Mogłoby, gdyby na to pozwolić, ale nie po to podkłada się w lesie ogień, by potem czekać, aż drzewa odrosną. Amazoński las stopniowo traci powierzchnię na rzecz pól i pastwisk, powodując zmiany klimatyczne w regionie. Według prof. Davida Wrighta z uniwersytetu w Seulu rozszerzająca się hodowla bydła już doprowadziła do zmniejszenia się średnich opadów w regionach najbardziej dotkniętych deforestacją. Polska również uczestniczy w tym procederze, pomagając w utrzymaniu wysokiego popytu na mięso i importując soję.

Wojciech Ganczarek

Około 80% wykarczowanych lasów amazońskich służy hodowli bydła. Pozostałe 20% przeznaczone jest głównie pod uprawę soi.

systematycznie rosnących: między 2006 a 2016 r. produkcja podwoiła się, w Urugwaju – potroiła. Brazylia, Argentyna, Paragwaj, Boliwia i Urugwaj – wspólnie i w takiej właśnie kolejności – odpowiadają za ponad połowę światowej produkcji soi.

W skali globalnej 72% ziem produkcyjnych przeznaczają się na hodowlę zwierząt. Z pozostałych 28% wykorzystywanych przez rolnictwo jedną trzecią przeznaczają się na pasze i tzw. biopaliwa. Około 80% światowej produkcji soi zjadają zwierzęta. Bogactwo Amazonii nagromadzone w jej czerwonych ziemiach – nawadnianych przez tropikalne deszcze i karmionych niespotykaną bioróżnorodnością

Brazylii mógł zostać człowiek, którego znakiem rozpoznawczym są dłonie ułożone jak do strzału – głowa państwa chce się rozprawiać z ubóstwem za pomocą kul.

Krótko po objęciu władzy przez Bolsonaro zredukowane w ostatnich latach wylesianie Amazonii zaczyna nabierać tempa. Zachęcenie poglądami prezydenta eksporterzy rolni i latyfundiści znów zabierają się do wycinania puszczy. Podobnie jak w Boliwii wykarczowane tereny podpala się w ramach przygotowania ich do użytku jako pastwisk lub pól uprawnych. W pierwszych dniach sierpnia, czyli krótko przed masowymi pożarami, Bolsonaro – Kapitan Piła



sklep.tygodnikprzeglad.pl

**Nie bój żaby...
kup e-prenumeratę**

Przegląd

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Kościołowi odebrać Polskę

Jak można się dowiedzieć z sierpniowego raportu Stowarzyszenia SOISH, omówionego przez OKO.press, Kościołowi katolickiemu niemal udało się od roku 1992 nabyć Polskę gratis, bezterminowo. W tym czasie KK na „tzw. Ziemiach Zachodnich nieodpłatnie otrzymał od państwa – reprezentowanego przez wojewodów – 76 244 ha ziemi rolnej. To niemal tyle samo, ile zwróciła niestawna Komisja Majątkowa dla Kościoła katolickiego (1989-2011). Otrzymał na własność ziemią jednostki Kościoła mogą swobodnie operować, niektóre z nich ziemię sprzedają i występują o kolejne działki. Zwłaszcza że Kościołowi i związków wyznaniowych nie obowiązują ograniczenia w obrocie ziemi opisane w ustawie z 2016 r.”.

Raport autorstwa Tomasza Reslera i Agnieszki Filak pokazuje podstawy prawne procedury i niechlubną rolę Trybunału Konstytucyjnego, który uprzywilejowaną pozycję KK utwierdził i zakonserwował w wyroku z 2011 r. Kościół pozyskaną ziemię mógł bez ograniczeń sprzedawać i po zbyciu ponownie ubiegać się o nieodpłatne, bezterminowe przekazanie kolejnych setek hektarów. Z tych możliwości ochoczo korzystał, przejmując gigantyczne arealy.

Cała ta łamigłówkowa procedura prawna, której zgodność z konstytucją zatwierdził Trybunał Konstytucyjny pod prezesurą Andrzeja Rzeplińskiego (nagrodzonego w 2015 r. medalem Pro Ecclesia et Pontifice, nadanym przez papieża Franciszka za zasługi dla Kościoła katolickiego i systemu prawnego w Polsce), odbywała się niezależnie od działań uwłaszczeniowych prowadzonych w ramach tzw. Komisji Majątkowej, która przekazywała przez ponad dwie dekady inny majątek KK, a zlikwidowana w 2011 r. uniknęła jakiegokolwiek rozliczenia i odpowiedzialności prawnej. W ręce KK przeszły wielomiliardowe dobra. Bardzo często oddawano instytucji kościelnej nieruchomości, które nigdy wcześniej nie były w żaden sposób w jej posiadaniu czy władaniu.

Kiedy patrzymy na obecną rolę KK w Polsce, często ideologiczny aspekt jego obecności aż nazbyt skutecznie przysłania nam potężny wymiar jego działań – niewyobrażalną i nieporównywalną z żadną inną instytucją skalę gromadzenia i przejmowania majątku państwa. Nie wspominaliśmy jeszcze o dotacjach unijnych, a to właśnie KK jest ich największym instytucjonalnym beneficjentem, co absolutnie nie wpływa na dominujący przekaz ambonalny o „złej Unii”.

Może trzeba sobie jasno powiedzieć, że musi nadejść czas absolutnego spublicznienia (dawnego terminu

nacjonalizacja nie używam celowo) tego majątku, nie ma powszechnej zgody na wyprzedaż Polski Kościołowi. Kościołowi być może należy zostawić kościoły – co wcale nie jest takie oczywiste, kiedy się patrzy na rozwiązania francuskie, gdzie KK „zarządza” budynkami kościelnymi, ale nie jest ich właścicielem. Nie ma żadnej racji, żeby po stuleciach dziesięciny i feudalizmu, pozostawał on najpotężniejszym posiadaczem ziemskim. Trzeba się zdecydować – uprawa roli albo polskich duszyczek.

Proces spublicznienia musi być nieodwracalny, skuteczny i sprawny. 30 lat pasienia się na majątku publicznym musi zostać przerwane jak najszybciej, a jego skutki odwrócone.

Jeśli mówimy o zjawisku kastowości i wyjęciu spod prawa instytucji czy środowisk, to akurat hierarchiczna społeczność kleru w Polsce nie może być nawet porównywana z jakimkolwiek innym światem. Mówimy zatem o wstrząsającej koincydencji braku odpowiedzialności za ciężkie przestępstwa wobec dzieci, wyjęcia poza sys-

Kościołowi katolickiemu niemal udało się od 1992 r. nabyć Polskę nieodpłatnie i bezterminowo.

tem wszelkich rozliczeń i kontroli finansów, lawinowego wzrostu wpływów ideologicznych w formie obecności tzw. lekcji religii w systemie edukacji, ukapelanowania całych, w tym siłowych, instytucji państwa i gratyfikowania jednej instytucji w skali niespotykanej w innych krajach europejskich.

Walka toczy się zatem nie tyle o dusze, ile o dudki, jak powiedzieliby górale, gdyby w tej sprawie potrafili. „Złoto i dolary, oto wielka tajemnica wiary”. Ten sojusz rządzących z Kościołem oparty jest na horrendalnym uwłaszczeniu się KK w ostatnich trzech dekadach. Polska nie ma żadnego interesu w robieniu takiego interesu (a nawet jakiegokolwiek) z KK. Polska ma interes, żeby z tego złego interesu się wyplątać i wyjść na swoje, czyli nasze, a nie „ich”. W tej kwestii możemy liczyć tylko na nową lewicę. I na szczęście na rosnącą w olbrzymim tempie, najszybszym w Europie, laicyzację młodego pokolenia. Spublicznienie majątku KK nie rozwiąże wszystkich polskich problemów, ale przynajmniej zbliżymy się do pożegnania z patologią nagradzania kasty za sianie nienawiści i bogacenia się kosztem żywych i martwych. Bez amen.

Dorota Bartosiewicz

Turyści z piekła rodem

Na tarasie nie ma klimatyzacji, w samolocie jest przeciąg i ani razu nie było schabowego...
Polacy skarżą się na wakacjach

Pierwszy telefon rezydent Maciej Sielańczyk odbierze jeszcze przed północą. „Wyspy Kanaryjskie, Fuerteventura. Wieczorny przylot z Polski, klienci po godz. 22 kwatrowani są w pokojach. Hotel 4*, całkiem dobry”, zapamięta, a potem opisze na branżowym forum.

– Dobry wieczór, proszę pana, ja w tym pokoju nie będę spał, bo jest za mało miejsca na wózek dla dziecka, żeby podjechać! – usłyszy najpierw w słuchawce.

– To w takim razie zadzwonię na recepcję, zobaczymy, czy są inne wolne pokoje.

Po pokazaniu innego pokoju klienci stwierdzają jednak, że „śmierdzi i nic już nie chcą”.

Godz. 1.30.

– Wie pan co? Ta historia znajdzie się jutro w TVN, a ja zostaję z żoną i dzieckiem na recepcji i tu będziemy spać!

– Hm, to państwa decyzja. Ja chciałbym się z panem umówić jutro przy recepcji z samego rana.

– Póki co jestem jedynym mieszkańcem recepcji, więc nie musi się

eksponatach leży kurz, w restauracji za dużo Arabów, Niemców, Rosjan (niepotrzebne skreślić). Do plaży daleko, nie ma wszystkich animacji, do hotelu pod górkę. Jest prysznic, a miał być szklany parawan, są dwa połączone materace, a nie łóżko małżeńskie. Brakuje nocnika. O, albo firanek. „Jak zasłonię zasłony, to jest za ciemno, a jak odsłonię, to wszystko widać, co robię z żoną...”.

Turystów nie sposób zadowolić. – Pojadą na wycieczkę, to okazuje się, że pogryzły ich komary. A nikt ich przecież przed nimi nie ostrzegł, kiedy decydowali się na wakacje, będą przy tym dowodzić – Malwina Głębocka przypomina sobie kolejne przykłady.

A gdy wrócą z kilkudniowej wycieczki fakultatywnej, to napiszą: „Musiałam wycierać twarz 0,75 ręcznika, bo duży był mokry”. Albo będą

Monika Skrzypek: „Austria. Postój na toaletę. Starszy pan: To my im Wiedeń uratowaliśmy w 1683, a oni nam za kibel każą płacić!”.

Zdaniem dr hab. Karoliny Buczkowskiej-Gołąbek, specjalistki ds. turystyki kulturowej (i kulinarnej), taka zapanowała moda: – Trzeba ponarzekać na biuro podróży, złożyć zażalenie, a już na pewno poszukać dziury w całym, bo przecież wszyscy tak robią. Dziwne, żebyśmy trafili na wycieczkę, która jest idealna i wszystko nam na niej podpasowało. Skoro narzekali sąsiedzi i rodzina, to i my coś znajdziemy – z takiego założenia wychodzimy. Sport narodowy z tego się zrobił.

Nie schną mi kąpielówki

Monika Witkowska, przewodniczka i pilotka wycieczek od ponad 30 lat, potwierdza, że z sezonu na sezon jest coraz gorzej. – Czerwona lampka mi się zapala, jak tylko widzę 25-, 30-latków, a wycieczka, na którą jadą, jest stosunkowo droga. Najgorsi są karierowicze z korporacji. Niestety, bywają bardzo roszczeniowi, nie twierdzą, że wszyscy. Uważają, że wszystko im się należy. Z nikim się nie liczą. Wszystkiego chcą na już. Wszystko jedno, czy mają rację, czy nie. Są w stanie przepić najdroższą whisky w barze, ale jak mają kupić papier toaletowy, którego im zabrakło, to robią awanturę. W myśl zasady: „Zapłacone, to musi być!” – wyjaśnia i dodaje: – Chodzi też o formę zgłaszania uwag. Pal sześć, w końcu ja jestem w pracy, ale oni bardzo często są niegrzeczni wobec obsługi czy współpasażerów. W 30-osobowym autokarze pewnie znajdą się ze dwie, trzy takie osoby. Najgorzej, że jak się spotkają, zaczynają się nakręcać.

Wówczas potrafią mieć pretensje nawet o to, że w kraju islamskim nie można kupić alkoholu. Że trzeba zdejmować buty przy zwiedzaniu meczetów i świątyń hinduistycznych. Że na safari nie ma zwierząt, które sobie

Pracownicy biura nie poinformowali mnie, że Egipt nie należy do UE i wymagany jest paszport zamiast dowodu.

pan ze mną umawiać, proszę mnie ewentualnie obudzić... – Maciej Sielańczyk usłyszy jeszcze na koniec.

Skargami, prośbami i żądaniami Polacy zasypują rezydentów i pilotów całą dobę. Godzina nie ma znaczenia, podobnie jak temat.

Wszystko widać, co robię z żoną

– Już w autokarze albo na lotnisku proszą o formularz. Jeszcze nic się wydarzyło, ale oni i tak wiedzą, że za chwilę będzie im potrzebny – opowiada Malwina Głębocka, pilotka wycieczek zagranicznych. – Potrafią narzekać nawet na to, że trzykilometrowa podróż im się dłużyła.

Kiedy tylko dotrą do hotelu, wypunktują: a to, że inni mają lepsze pokoje, a to, że basen jest zatłoczony, morze szumi za głośno, a nocą nie widać go z balkonu. Wiatr wieje od Atlantyku, słońce świeci za mocno. Piasek jest za gruby, na muzealnych

pytać: „Czy aby zmienić ustawienia klimatyzacji, muszę połączyć się z internetem?”.

Biura podróży mają mnóstwo takich historii. „Podczas spotkania z rezydentem w jednym z hoteli jeden z PAX-ów (inne określenie turysty – przyp. red.) zrobił rezydentce (miej, kompetentnej dziewczynie) awanturę, dlaczego w łazience nie ma suszarki do włosów, choć w ofercie hotelowej była wymieniona. (...) Rzeźbiony pan był tysi jak kolano (i marudził o wszystko przez cały pobyt)”, wspomina Joanna Szczepankiewicz-Battek. A Weronika Myszkowska dodaje: „Tak tu fajnie, sympatycznie, woda ciepła, czysta, piękne krajobrazy itd. Ale, wie pani, ta plaża to nie bardzo dla Polaków. (...) Nie ma jak rozłożyć parawanu”. „Przecież tu w ogóle plaży nie ma! Gdyby w tym waszym biurze mi powiedzieli, że na Dżerbie są takie wąskie plaże, tobym sobie nad Bałtyk pojechał!”, usłyszała Edyta Szott.



wymarzyli. W programie napisano przecież: możliwość oglądania flamingów. A tu ptaki już odleciały. Wtedy mówią: „Jak to?! Na co innego się umawialiśmy!”.

– Opowiadał mi miejscowy przewodnik, że kiedyś przyjechali do niego turyści i zażądali, żeby im pokazać tygrysa. To niemożliwe, bo w Afryce ich nie ma – wspomina Monika Witkowska.

Elżbieta Romanowska, była już pilotka wycieczek, pamięta jeszcze czasy po 1989 r., kiedy większość skarg dotyczyła stanu autokarów. Trudno zresztą się dziwić – co chwila się psuły. Teraz, kiedy pojazdy są lepsze, przybyło innych powodów do narzekań, bardziej wyszukanych. – To

Na safari za mocno kurzyło.

już nie jest kwestia bieżnika, który ma o 1 mm mniej, niż powinien, ale tego, że „upał jest niemożliwy do zniesienia; proszę coś z tym zrobić”. Poza tym: „Na balkonie do południa jest cień i nie schną mi kąpielówki”, „Na tarasie nie ma klimatyzacji” – wylicza Romanowska.

Przykłady można mnożyć: „Na plażach w Kenii jest dużo handlujących czarnoskórych mężczyzn; w Polsce nie ma z tym problemu”, „Meczet jest złośliwie umiejscowiony

w pobliżu hotelu w celu indoktrynacji religijnej za pomocą kocich wrzasków o 5 rano” czy „Podczas pobytu we Włoszech napotkaliśmy leniwych sprzedawców, którzy codziennie w południe zamykali swoje sklepy i urządzali sobie sjęstę zamiast

Rezydentka nie uciszyła psów za płotem.

obsługiwać klientów. Skandal!”. – Polacy zachowują się tak, jakby zjedli wszystkie rozumy. A tymczasem ich wiedza o obcej kulturze, zwyczajach, geografii, ba, nawet lokalnej kuchni jest nikła – dodaje Elżbieta Romanowska. Do tego stopnia, że w Japonii często mają pretensje, że sushi im nie smakuje („Kucharze powinni przyjechać do Polski na naukę!”) i na koniec każą się wieźć do popularnej sieci *fast food*. Czytaj: Polak chce mieć egzotykę, ale pod warunkiem, że będzie jak w domu.

Bo w morzu były ryby

– Takiego sezonu już dawno nie było. Turyści potrafią się skarżyć nawet na to, że przez cały tydzień w Grecji była sałatka grecka, a w Egipcie ani razu nie podano schabowego – odpowiada przedstawiciel jednego z systemów rezerwacyjnych proszący o zachowanie anonimowości. – Zdarzyła

się reklamacja, że na wyspie były chłodne wieczory, a klient nie wziął bluzy, bo nikt mu nie powiedział.

W Polsce nikt nie badał najbardziej absurdalnych skarg turystów. Za granicą to co innego. Brytyjskie agencje turystyczne Thomas Cook i ABTA

publikują całe ich listy. Aktualne zestawienie najbardziej oryginalnych utyskiwań otwie-

ra turysta, któremu nie podobały się zbyt piaszczyste plaże (byli i tacy, którzy uznawali, że „piasek był za gruby” albo „nie był jak ten w waszej broszurze. Tutaj biały, u was żółty”). Innym z kolei nie w smak były pływające w morzu... ryby.

Do legendy przeszły już skargi na pływające w basenie plemniki („Córka może od nich zająć w ciążę”) czy wezwanie do rekompensaty za poczęcie dziecka na urlopie z powodu spania z narzeczonym w jednym łóżku zamiast w dwóch („Pociągam państwa do odpowiedzialności za ciążę, w którą zaszłam, a której by nie było, gdybyśmy otrzymali to, o co prosiiliśmy”).

Choć na wakacjach problematyczny może się okazać też metraż pokojów („Zostałem oszukany, bo dokładnie zmierzyłem i okazało się, że zamiast 25 m kw. było tylko 23,5 m kw.”) czy rozmiar łóżka („Zapłaciłem tyle samo co inni. Żądam zwrotu połowy ceny, bo moje łóżko

► było o połowę węższe, a do tego wystawały mi nogi”).

Do tego to jedzenie. Nawet w opcji *all inclusive* pozostawia wiele do życzenia: „Wyżywienie w tym hotelu było monotonne. Pierwszego dnia spróbowaliśmy wszystkich potraw, które były dostępne. W kolejnych dniach posiłki się powtarzały”.

Poza tym samoloty: „Przeziębłam się podczas podróży, bo w trakcie lotu ktoś zostawił uchylone okno i przez 3,5 godziny siedziałem w przeciągu. Cały urlop zmarnowany!”.

Najgorzej jednak, kiedy turyści nie wezmą paszportów – jak klientka, która zażądała zwrotu pieniędzy za niewykorzystaną wycieczkę. „Uważam, że wina leży po stronie pracowników biura, którzy nie poinformowali mnie, że Egipt nie należy do Unii Europejskiej i wymagany jest paszport zamiast dowodu osobistego”, napisała w uzasadnieniu. Choć byli i tacy, którzy nie opłacili wyjazdu, a i tak stawiali się na lotnisku. Potem się odgrzażyli: „Dlaczego nie ma mnie na liście pasażerów?!” (tak, to też autentyk!).

Nie mogła wstać od stolika w restauracji

Ze statystyki wynika, że w tym roku Polacy idą na rekord. Do tej pory do UOKiK wpłynęło ok. 140 skarg na branżę turystyczną. Głównie na zakwaterowanie w innym hotelu, niż wskazano w umowie, brudne i zniszczone pokoje, brak klimatyzacji czy zmianę godziny wylotu. Wiele do życzenia pozostawiały też nieprawidłowe dane o całkowitej cenie wyjazdu czy dostępności wycieczki dla osób niepełnosprawnych. Ale nie tylko.

– Właśnie wpadła nam w ręce jeszcze jedna interesująca skarga, w której pani opisuje swój największy wakacyjny koszmar – ptaki! Nie mogła wstać od stolika w restauracji, bo siadały na nim i zjadały jej jedzenie – mówi Agnieszka Majchrzak z biura prasowego UOKiK.

Skąd w nas ten pęd do wynajdowania na wakacjach powodów do niezadowolenia? Dr Tomasz Sobierajski, socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego, tłumaczy: – Dzieje się tak głównie dlatego, że przez ostatnie 30 lat nauczyliśmy się być konsumentami. Daliśmy sobie prawo wymagać i domagamy się odpowiedniej obsługi. Tym bardziej że nierzadko sporo za takie wyjazdy płacimy (średnio 3,4 tys. zł, czyli o 670 zł więcej niż przed rokiem – przyp. red.). A im więcej wydajemy, tym nasze oczekiwania są wyższe. Do tego stopnia, że sięgają granic absurdu!

Innymi słowy, wyjazd traktujemy jak każdy inny towar. Wydaje się nam, że możemy wymagać, by spełniał wszelkie nadzieje. – Inna sprawa, że wakacje to z reguły dwa tygodnie w roku i kiedy już się nam przydarzają, chcemy, by były wyjątkowe, idealne, nieskazitelne – mówi Tomasz Sobierajski. – Tyle że w tym myśleniu nie uwzględniamy pogody, innych osób czy „okoliczności przyrody”. W głowie układamy sobie, że wszystko będzie takie jak w folderze. A to droga donikąd.

Pies na kilogramy

Największy dotychczasowy szok – Turystka, która zadzwoniła z pretensjami do właściciela obiektu, że na tarasie ze szklanych dachem jest za gorąco – wskazuje Aleksandra Markowska, specjalista ds. marketingu

AVENGERS
KONIEC GRY

JUŻ NA
BLU-RAY 3D,
BLU-RAY™
I DVD!

znajdziesz w **empik** salony/online/aplikacja

jednego z serwisów rezerwacyjnych. W ramach obowiązków odpowiada na skargi podróżnych. Jej zdaniem coraz więcej jest skrajnych przypadków, a goście potrafią zgłaszać, co im ślina na język przyniesie. Zdarzają się więc tacy, którzy dzwonią ze skargą, że wersalka jest niewygodna albo sedes niestabilny. Aleksandra Markowska: – Pewnego razu reklamację złożył pan, który wybrał się na urlop z dwójką małych dzieci i chciał gotować dla nich mleko w... czajniku elektrycznym.

Ale dziś turyści mają nierealistyczne oczekiwania także dlatego, że nakręcają ich obowiązujące trendy. Na przykład chcą, żeby łazienka była czyszczona tylko wodą i octem (tłumaczy to ekologią i chęcią ochrony przyrody), a dania nie zawierały konserwantów, sztucznych barwników i miały niski indeks glikemiczny. Zwierzęta zaś traktują jak najbliższych członków rodziny.

– Jedna pani zarezerwowała pokój w hotelu i nie spodziewała się, że pies nie będzie miał równie eleganckiego postania co ona. Złożyła reklamację na standard obiektu po tym, jak obsługa nie pozwoliła, by pies spał z nią w łóżku – przypomnia sobie Aleksandra Markowska.

Turysta, który wybrał się na wczasy ze swoim „yorczkiem”, narzekał, że musi za niego dopłacić, mimo że „jest

że trafimy właśnie na jeden z nich. Tymczasem zamiast widoku na morze mamy widok na pomieszczenia gospodarcze.

Badania przeprowadzone przez firmę International Service Check (ponad 40 biur podróży w sześciu krajach Europy Środkowej) pokazały, że Polacy, choć krytyczni wobec branży, są jednocześnie bardzo naiwni. Kiedy decydują się na wycieczkę w biurze

To my im Wiedeń uratowaliśmy w 1683, a oni nam za kibel każą płacić!

podróży, pod uwagę biorą pierwsze wrażenie, uprzejmość i wiedzę agentów o ofercie oraz... porządek na biurkach.

Suchy Wierch, ale mokry

– Jesteśmy malkontentami pełni mi kompleksów i nadal wielu z nas znajduje przyjemność w tym, żeby na kimś się wyżyć. Zepsuć wakacje nie tylko sobie, ale też innym. Najlepiej współtowarzyszom podróży, a co?! – tym jeszcze tłumaczy zachowanie turystów z piekła rodem Monika Witkowska. Do tego dochodzi ogromne napięcie i frustracja, bo nagle się okazuje, że nie wiemy, co robić z wolnym czasem, wszędzie tłum i ścisk, a na miejscu wszystko drogie.

Ale nie dotyczy to tylko wyjazdów zagranicznych. W połowie wakacji

zadzwoił po tamtejszą policję, ta jednak nie chciała przetransportować grupy do samochodów. Odwiozła za to pod hotel, w którym nocleg dla sześciu osób kosztował łącznie 1,8 tys. zł. Nie licząc taksówki i parkingu przed wejściem na trasę do Morskiego Oka. W sumie 2,9 tys. zł.

Awanturować się czy odpuścić – analizują teraz eksperci. I wskazują, że skargi i żądania to też nierzadko

pokłosie dawnych praktyk biur podróży, które dla świętego spokoju wołały turystom wypłacać rekompensaty. W ten sposób zaczęły wychowywać sobie klientów, którzy zamiast się relaksować, z lubością wynajdywali wady i drobne niedociągnięcia. W nadziei, że agent lub rezydent odda im część pieniędzy, proponuje wycieczkę fakultatywną. Albo chociaż da zniżkę na kolejny wyjazd.

Dr hab. Karolina Buczkowska-Gołębek aferę z pomyleniem szlaków tłumaczy jednak chęcią zrzucenia odpowiedzialności i pozbycia się poczucia winy. – Badania, które prowadziłam, pokazują jasno: im silniejsze przekonanie, że to my sami organizujemy wyjazd, tym mniejsza jest w nas w ogóle skłonność do narzekania. Dokąd jedziemy, co będziemy robić, gdzie spać, czym podróżować – jeśli porządnie się przyłożyliśmy do odpowiedzi na te pytania, z reguły wracamy z wakacji bardziej zadowoleni. Przecież jeśli coś pójdzie nie tak, pretensje musimy mieć przede wszystkim do siebie – wyjaśnia. Co innego, kiedy decydujemy się na wyjazd zorganizowany. – Wtedy przerzucamy odpowiedzialność na drugą stronę, biuro podróży lub rezydenta, pilota, stewardesę – w zależności od tego, kogo mamy akurat pod ręką. I dajemy sobie większe prawo do marudzenia. Był kaowiec, nie było kaowca, za mało atrakcji w hotelu, za duży ścisk na plaży...

I tak bez końca. Bo przecież „rezydentka nie uciszyła psów za płotem”, „na safari za mocno kurzyło”, no i „nie można było zrobić dobrych zdjęć, co chwila ktoś wchodził w obiektyw”...

Dorota Bartosiewicz

Zostałem oszukany, bo dokładnie zmierzyłem i okazało się, że zamiast 25 m kw. było tylko 23,5 m kw.

ułożonym, czystym i niesypiącym się pieskiem”.

Obiekty noclegowe nie zawsze przyjmują psy, a jeśli już, to najczęściej za zwierzę należy dopłacić. Standardem jest, że właściciele zamiast rasy podają wagę psa. W tej sytuacji nic dziwnego, że biura podróży przed podpisaniem dokumentów radzą dokładnie przeczytać umowę.

– Co tam jakoś hotelu. Gorzej, że często Polacy nie oglądają dokładnie zdjęć, nie czytają opisu obiektu ani informacji na temat rezerwacji – mówi Aleksandra Markowska, a Monika Witkowska podsumowuje: – Katalogi też przekartkowujemy, a potem zakładamy, że wszystkie pokoje mają wysoki standard, choć z reguły jest ich tylko kilka. Ba, spodziewamy się,

w sieci zawrzało, po tym gdy jeden z turystów umieścił na FB ogłoszenie: „Szukam instytucji albo kogoś, kto pomoże mi w odzyskaniu pieniędzy od TPN”. O ile jedni deklarowali, że mogą się przyłączyć („Pojechalśmy do Morskiego Oka, ale okazało się, że nie jest ono nad morzem, tylko w górach. A potem jeszcze poszliśmy na Suchy Wierch, ale on był mokry, a nie suchy, jak jego nazwa wskazuje”), o tyle drudzy wytykali błędy organizacyjne („Znaleźć się na szczycie o godz. 19 to też porażka! A gdzie planowanie trasy? Czasu dotarcia i zejścia... Masakra i amatorka!”). Turysta tymczasem wyjaśniał: na górze nie było żadnych oznaczeń, że schodzi się na Słowację, a i pogoda szybko zaczęła się psuć. Mężczyzna

*Niektóre imiona i nazwiska rozmówców na ich wyraźną prośbę zostały zmienione

Mateusz Mazzini

Dowód na istnienie

Na świecie jest ponad miliard ludzi, którzy nie mogą udowodnić swojej tożsamości

Historia 21-letniego dziś Lucasa Veleya była w ubiegłym roku jedną z najszerzej komentowanych w kanadyjskich mediach. Chłopak, niemający większych problemów zdrowotnych, żyjący z rodzicami w niewielkiej osadzie Bellrock, w połowie drogi między Ottawą a Toronto, według kanadyjskiego rządu... nigdy nie istniał. Choć był leczony u państwowych lekarzy, uczęszczał do publicznych szkół, funkcjonował w społeczeństwie jak inni obywatele, formalnie nigdy obywatelem nie został. Veley nie urodził się bowiem w szpitalu ani w innym punkcie opieki zdrowotnej, ale w domu. Z tego względu rodzice musieli zgłosić jego narodziny kore-

w życiu kontakt z rządem federalnym w Ottawie. Próbuąc złożyć wniosek o kartę potwierdzającą ubezpieczenie zdrowotne, dowiedział się, że nie figuruje w spisie obywateli.

Sprawa Lucasa Veleya została jednak nagłośniona przez media, szybko trafiła też na biurka parlamentarzystów. Niedopatrzenia kanadyjskiej poczty i innych instytucji publicznych zostały naprawione, chłopak stał się pełnoprawnym obywatelem. Jego szczęście w nieszczęściu polegało na

biedniejszych państw na świecie. Bank Światowy szacuje, że w tej niechlubnej statystyce nierejestrowania obywateli przodują Etiopia, Nigeria, Tanzania, Uganda, Indonezja i Afganistan.

Problem nieposiadania formalnego aktu urodzenia czy jakiegokolwiek dokumentu tożsamości zdecydowanie częściej niż mężczyzn dotyczy kobiety. W Afganistanie, Pakistanie i Beninie nawet 45% kobiet może nie mieć żadnego urzędowego dowodu na istnienie, podczas gdy w „najgorszych” krajach w tym zestawieniu wykluczenie mężczyzn nie przekracza 15%. W wielu przypadkach ta dysproporcja uwarunkowana jest kulturowo. Przygotowany przez UNICEF raport na temat płciowych aspektów wykluczenia społecznego wskazuje jako regiony szczególnie problematyczne dla kobiet, co łatwo przewidzieć, głównie Bliski Wschód. Ponieważ w krajach zdominowanych przez radykalne odmąy islamu, takich jak Arabia Saudyjska i Iran, kobiety i tak tradycyjnie pozostają poza życiem społecznym, często po prostu nie są rejestrowane. Bo i po co miałyby być, skoro w ślad za takim formalnym uznaniem nie słyby żadne prawa.

W innych częściach globu dziewczynki się nie rejestruje, bo ich przyjsie na świat jest dla rodziny wstydem. Kobiety nie mogą bowiem – formalnie bądź nie – dziedziczyć majątku, decydować o losie gospodarstwa, prowadzić własnej działalności gospodarczej. Ich niebyt jest w takich przypadkach decyzją rodziców, a nie wynikiem nieudolności czy nawet nieistnienia państwa w pewnych częściach kraju. Chowanie dziewczynki przed światem powodowane wstydem czy ich nieprzydatnością jest niestety bardzo rozpowszechnione w Afryce Subsaharyjskiej. Najgorzej pod tym względem, jak donosi UNICEF, wygląda sytuacja w Somalii, gdzie szanse chłopca na zarejestrowanie jego narodzin są statystycznie aż o 18% większe.

Portal Equal Times wskazuje też inny bardzo często występujący

Najbardziej tracą na braku dokumentów kobiety, których aktywizacja zawodowa często jest wtedy niemożliwa.

spondencyjnie. Tą samą drogą złożyli wnioski o akt urodzenia i przestali dokumenty niezbędne do zarejestrowania syna w rządowych systemach.

Dokumenty jednak nigdy nie dotarły na miejsce. Zgubiły się najpewniej po drodze, a rodzice Lucasa uznali to za naturalny bieg spraw. Urzędowe dane nie były im zresztą potrzebne w codziennym życiu na prowincji. Nieistnienie Lucasa dla kanadyjskiego państwa wyszło na jaw, dopiero gdy skończył 16 lat i wszedł w pierwszy

tym, że urodził się w Kanadzie, w której z uwagi na ogromne przestrzenie dzielące duże ośrodki miejskie i odcięcie wielu mieszkańców od rządowego nadzoru obiegi dokumentów rzeczywiście jest utrudniony, ale jednocześnie będącym krajem rozwiniętym, bogatym, gdzie takie błędy błyskawicznie mogą zostać naprawione.

O podobnym komforcie może jedynie pomarzyć większość z ponad miliarda ludzi, którzy przez większość życia nie są w stanie formalnie udowodnić swojej tożsamości. Oznacza to w praktyce, że są na stałe wykluczeni z niemal wszystkich procesów cywilizacyjnych. Nie mogą wziąć kredytu, zarejestrować samochodu, kupić telefonu komórkowego na abonament, często też głosować w wyborach. Od urodzenia do śmierci najpierw nie istnieją w oczach państwowej administracji, potem co najwyżej stają się numerem w statystyce zgonów czy na liście ofiar konfliktów zbrojnych.

Zdecydowana większość nieidentyfikowalnych osób mieszka na co dzień w najuboższych rejonach świata. Według badań przeprowadzonych w 2018 r. przez grupę analityków Banku Światowego ponad połowa z miliarda ludzi bez legalnego dowodu istnienia żyje w Afryce. 81% to mieszkańcy krajów Afryki Subsaharyjskiej i Azji Południowo-Wschodniej, a aż 40% pochodzi z jednego z 21 naj-



problem z rejestracją dzieci – brak urzędów, w których można by to zrobić. Nawet jeśli rodzice są zdeterminowani zgłosić noworodka, nierzadko od najbliższego punktu administracyjnego dzielą ich całe tygodnie drogi. Zgłoszenie pocztowe, jak w przypadku Lucasa Veleya, nie jest możliwe, bo poczta w najuboższych krajach świata rzadko kiedy istnieje poza dużymi miastami. Dlatego dzieci, jeśli już są rejestrowane, to prawie zawsze z ogromnym poślizgiem. Znów najdobitniej ilustruje to przykład Somalii, gdzie – zgodnie z danymi z raportu UNICEF – bezpośrednio po porodzie

zgłoszenia narodzin dziecka stanowią równowartość 31 dol. Tak wysoka cena wejścia do formalnego obiegu społecznego ma drastyczne konsekwencje. Ubiegłoroczny raport Banku Światowego o „stanie identyfikacji populacji w Afryce” wskazuje, że w krajach takich jak Namibia i Kamerun brak środków i możliwości dotarcia do najbliższego urzędu jest bezpośrednią przyczyną braku rejestracji dzieci aż w jednej trzeciej przypadków.

W statystyce nierejestrowania obywateli przodują Etiopia, Nigeria, Tanzania, Uganda, Indonezja i Afganistan.

celów Agendy 2030, mającej prowadzić do niwelowania nierówności ekonomicznych między Północą a globalnym Południem.

W grze o dowody tożsamości jest też jednak stawka wyższa niż pieniądze. Nierzadko dokument ten decyduje o szansach na przeżycie. Dotyczy to zwłaszcza mieszkańców krajów ogarniętych konfliktami zbrojnymi i wojnami domowymi. Uciekający z tych obszarów mają większe szanse



W biedniejszych krajach dzieci często nie są rejestrowane ze względu na koszt wydania dokumentów.

do rządowych rejestrów trafia tylko 3% noworodków.

Ta wylizanka powodów nieistnienia miliarda ludzi nie byłaby jednak kompletna, gdyby nie uwzględniono w niej aspektów ekonomicznych. Na całym świecie ludzie nie zgłaszają narodzin dzieci, bo zwyczajnie ich na to nie stać. Podróż do urzędu i przede wszystkim wyrobienie dokumentów to dla nich koszty nie do przeskoczenia. I nic dziwnego – wystarczy porównać liczby. W Demokratycznej Republice Konga, gdzie PKB na mieszkańca wynosi 457 dol., łączne koszty urzędowe

Ludzie bez formalnego dowodu tożsamości czy aktu urodzenia mogą nigdy nie stać się pełnoprawnymi uczestnikami swoich społeczeństw. Oficjalne nieistnienie to jedna z głównych barier postępu ekonomicznego w krajach rozwijających się. Znów – najbardziej tracą na tym kobiety, których aktywizacja zawodowa bez dokumentów jest często niemożliwa. Choć brakuje dotyczących tego szacunków finansowych, UNDP, agenda Narodów Zjednoczonych ds. rozwoju, wpisała wyposażenie kobiet w dokumenty jako jeden z najważniejszych

na przekroczenie granicy z sąsiednim państwem, jeśli mogą się wylegitymować jakimkolwiek dokumentem. W przeciwnym razie albo w ogóle nie zostaną przepuszczeni, albo trafią do tymczasowych obozów, z których rzadko kiedy mogą legalnie przedostać się dalej. Z drugiej strony większość identyfikowalnych migrantów przy próbie dostania się do Europy wyrzuca po drodze dokumenty. Na tym etapie papiery przeszkadzają, bo mogą ułatwić europejskim rządów deportację. Zanim jednak komuś takiemu przyjdzie się zmierzyć z tym ryzykiem, musi uciec przed bezpośrednim zagrożeniem życia. A to bez dowodu tożsamości często jest niemożliwe.

Oczywiście problemy z identyfikacją swoich obywateli mają nie tylko biedne państwa Afryki i Azji. Wiele dużo bogatszych krajów nigdy nie ujednoliciło dokumentów wydawanych przez władze lokalne, co w wielu przypadkach ogranicza prawa obywatelskie lub wręcz uniemożliwia korzystanie z nich w całości. Liderem są tu Stany Zjednoczone, gdzie kwestia dowodów tożsamości nigdy nie została rozwiązana na dobre. Osobne dokumenty wydają tam władze stanowe i miejskie, jeszcze inną formą identyfikacji są dowody ubezpieczenia społecznego czy różne wersje prawa jazdy. Co ciekawe, jedyny dokument wydawany przez władze federalne, czyli paszport, nierzadko uznawany jest w Stanach za niewystarczający nawet przez policję i organy ścigania, co widać chociażby przy zatrzymaniu amerykańskich obywateli przez służbę celną przy granicy z Meksykiem. Dla systemu administracyjnego często żaden dowód na istnienie nie jest wystarczający. ■

Browar i pub
w opuszczonym
kościółie
w Haarlemie.



Wojciech Osiński

Kraj pustych kościołów

Nigdzie w Europie dechrystianizacja
nie przebiegała tak szybko jak w Holandii

Dziennikarze katolickiego tygodnika „The Tablet” ustalili, że w Holandii przeciętnie co tydzień są zamykane dwa kościoły. Kraj plasuje się na pierwszym miejscu w Europie, jeśli chodzi o sekularyzację. – Corocznie zamyka się u nas 100 kościołów, czyli w ostatnich 10 latach zlikwidowano ok. 1 tys. świątyń – martwi się kard. Willem Jacobus Eijk, arcybiskup Utrechtu i prymas Holandii.

Pustych obiektów sakralnych jest dziś mnóstwo i nie zawsze wiadomo, co z nimi zrobić. Znaczna część wyposażenia, w tym relikwie, została przeniesiona do funkcjonujących jeszcze świątyń w kraju bądź wywie-

Na sprzedaż

Po II wojnie światowej społeczeństwo holenderskie opierało się przez długi czas na trzech filarach – protestantyzmie, katolicyzmie i laicyzmie. Katolik rodził się w katolickim szpitalu, chodził do katolickiej szkoły, czytywał katolickie gazety (np. „De Volkskrant”) i słuchał katolickiego radia (RKK), wybierał katolickie partie. Po 1945 r. Holandia uchodziła jeszcze za kraj nie-

wowych, wspierając się argumentem nieuchronnych cięć budżetowych. Na początku Rutte obawiał się, że część jego wyborców ruszy na barykady, ale wkrótce zauważył, że brak religii w szkołach właściwie nikomu nie przeszkadza. – Oszczędzać trzeba tam, gdzie najmniej boli – cieszył się szef holenderskiego rządu.

W granicach Holandii znajduje się 7 tys. obiektów sakralnych, z których ok. 4 tys. podlega prawu o ochronie zabytków. Z pozostałymi 3 tys. nie zawsze wiadomo, co zrobić. Te budynki, które nie zostają zburzone, albo stoją puste, albo zmieniają przeznaczenie. Tylko w latach 1970-2008 zburzono ponad 200 katolickich kościołów, a ok. 150 zdesakralizowano, zmieniono w księgarnie, restauracje, mieszkania czy hale sportowe lub oddano do użytku muzułmanom, którzy po odpowiednich modyfikacjach korzystają z nich w celach religijnych. – Protestantkie i katolickie parafie, które nie przeszły jeszcze desakralizacji, liczą maksymalnie po 100 osób. Im mniej wiernych, tym większe pustki w kościołach. W końcu znikną także te ostatnie – przewiduje Jan Stuyt.

W Holandii przeciętnie co tydzień zamykane są dwa kościoły.

ziona za granicę. Dziś holenderskie akcesoria religijne można odnaleźć w kościołach na całym świecie: w Dominikanie, w Kongu, w Indonezji, na Filipinach czy na Ukrainie. Wraz z postępującą sekularyzacją Holandia została więc także liderem w eksporcie przedmiotów sakralnych. „Po raz pierwszy od wieków desakralizacja stanowi część gospodarki holenderskiej”, zauważa „The Tablet”. Jak doszło do tego, że Holandia w stosunkowo krótkim czasie stała się europejskim cmentarzem kościołów?

zwykle religijny, przy czym niektóre jej rejonu, choćby obszar tzw. pasa biblijnego (Bijbelgordel), wciąż pozostają pod silnym wpływem kalwinizmu lub katolicyzmu. Mimo to z roku na rok staje się coraz bardziej świecka. – Stosunkowo niedawno katolickie parafie w Holandii cieszyły się największą liczbą wiernych w Europie, ok. 90%. Dzisiaj do kościoła chodzi tylko 10% – tłumaczy jezuita Jan Stuyt z Nijmegen.

W 2013 r. rząd premiera Marka Ruttego postanowił znieść obowiązkowe lekcje religii w szkołach podsta-

Ci, których na to stać, mogą nabyć taki pusty budynek. Niektórzy holenderscy handlarze nieruchomości skupili się dziś wyłącznie na intratnym obrocie kościołami i klasztorami. Owe obiekty, określane przez holenderskie media mianem umarłych kościołów, można kupować m.in. na popularnych stronach www.redres.nl albo www.reliplan.nl.

Rewolucja Schillebeeckxa

Historia holenderskiego chrześcijaństwa to pasmo cezur, rewolucji oraz sprzeczności. Pierwsze objawy kłopotów tamtejszego Kościoła katolickiego w XX w. można umiejscowić w czasach, gdy spora część wierzących znalazła się w kręgu silnego oddziaływania teologa Edwarda Schillebeeckxa. Podczas Soboru Watykańskiego II w połowie lat 60. ten belgijski dominikanin zwrócił na siebie uwagę jako rzecznik La Nouvelle Théologie, która zakwestionowała wiele założeń firmowanych przez Rzym. Schillebeeckx zaskarbił sobie wtedy sympatię licznych katolików. Mieć na pieńku z Watykanem było wówczas przejawem pewnej mody, zwłaszcza gdy słowa krytyki padały z ust zasłużonych czesto katolików. Dziś już mało kto w Holandii lub Belgii przypomniał sobie to nazwisko, być może dlatego, że coraz mniej obywateli interesuje się religią, porzucając wraz z wiarą lekturę pism teologa z Antwerpii. A jego katolicy krytycy nie kryją zadowolenia, bo w latach 60. ostrzegali, że odbiorcy tekstów zamiast zreformować katolicyzm, pogrążą się w ateizm.

Głosicielem nowej teologii na sesjach soborowych w Watykanie był wówczas także ówczesny arcybiskup Utrechtu kard. Bernard Jan Alfrink, obok Schillebeeckxa i Pieta Schoonenberga jeden z głównych autorów tzw. katechizmu holenderskiego, poruszającego również kwestie feminizmu i marksizmu. Holenderscy biskupi otworzyli się w nim na kontrowersyjne tematy, takie jak homoseksualizm, aborcja i zniesienie celibatu. Ale na tym nie koniec – katechizm podał w wątpliwość właściwie wszystkie najistotniejsze dogmaty Kościoła katolickiego, choćby grzech pierworodny (zdaniem holenderskich biskupów nabyty dopiero poprzez

życie w społeczności) czy niepokalane poczęcie Maryi. Członkowie Kongregacji Nauki Wiary nie kryli oburzenia. Natomiast Holendrzy dostrzegli w ostrej reakcji Watykanu tylko potwierdzenie tezy o autorytarnych zapędach Stolicy Apostolskiej i nie zamierzali się wycofać z wcześniejszych sformułowań. W Amsterdamie padły wtedy nawet tak ciężkie słowa jak faszyzm watykański.

Ostrość konfliktu między Alfrinkiem a kard. Alfredem Ottavianim, w latach 60. prefektem Kongregacji Nauki Wiary, jeszcze dzisiaj bije ze stron ówczesnych gazet. Jednak nie wszyscy holenderscy duchowni stanęli murem za Alfrinkiem, co doprowadziło także do konfliktu w tamtejszym Kościele katolickim. Mimo to w 1970 r. holenderska Rada Pastoralna w większości poparła projekt zniesienia celibatu. Papież Paweł VI uznał to za afront, gdyż zaledwie dwa lata wcześniej w encyklice sam podkreślał jego znaczenie.

Religijne wojny domowe

W latach 60. XX w. w rzymskich świątyniach znów zaczęły krążyć ponure anegdoty o holenderskiej schizmie i holenderskich rozłamowcach. Tamtejsi duchowni byli bowiem za-

w holenderskim wydaniu to dzisiaj „przedziwny konglomerat różnych wyznań i religii, doprawiony sporą dawką agnostycyzmu i ezoteryki”. – Katolicyzm u nas też się otworzył na tego rodzaju synkretyzmy – przekonuje naukowiec. Toteż np. we wschodnim Nijmegen zaistniało nawet coś w rodzaju Kościoła demokratycznego, w którym nieznoszący się niegdyś kalwiniści i katolicy odprawiają wspólne nabożeństwa.

Co paradoksalne, niektórzy historycy dostrzegają przyczyny dzisiejszej dechrystianizacji w Holandii właśnie w owym konflikcie kalwinistów i katolików. W pierwszej połowie XVI w. cesarz Karol V z dynastii Habsburgów próbował zdusić protestantyzm w zarodku, m.in. poprzez palenie pism Lutra i powołanie Inkwizycji w 1522 r. Na północy Europy kalwinizm znajdował jednak coraz więcej wyznawców, podczas gdy np. Belgia pozostawała w znacznej mierze katolicka. Ponieważ Karol V był także królem Hiszpanii, Niderlandy znalazły się pod hiszpańskim berłem. W 1568 r. niderlandzcy kalwiniści powstali przeciwko hiszpańskiej hegemonii, żądając tych samych praw, które przyznano luteranom w innych krajach. Protestancko-katolicki konflikt zakończył się dopiero w połowie XVII w., a gdy Holandia

Holenderskie akcesoria religijne można znaleźć w kościołach na całym świecie. Kraj został liderem w eksporcie przedmiotów sakralnych.

wsze nieco bardziej liberalni niż ich odpowiednicy w innych krajach. Według ustaleń amsterdamskiego dziennika „Trouw” obecnie co szósty protestantki ksiądz w Holandii jest ateistą albo agnostykiem. Głównym wyrazicielem linii tego „nowego świeckiego kleru” był zmarły w 2018 r. reformowany pastor Klaas Hendrikse, który w 2007 r. zyskał sławę stwierdzeniem, że „trudno wierzyć w Boga, który nie istnieje”. – Bóg nie jest istotą, ale pojęciem na określenie pewnej relacji – oświadczył, ściągając na siebie falę krytyki wielu protestantów. Hendrikse odrzucał również pojęcie „życia po życiu” i zmartwychwstanie Jezusa. Mimo to nigdy nie zamierzał rozstać się z Kościołem.

Socjolog religii Hijme Stoffels z Wolnego Uniwersytetu w Amsterdamie tłumaczy, że chrześcijaństwo

została wkrótce niepodległym państwem, kalwiniści poculi żądę zemsty, prześladowując otdąd katolików. Antykatolicyzm trwał właściwie aż do końca XIX w., więc trudno się dziwić, że w XX w. ludzie mieli już dość religijnych wojen domowych.

Na względne wyparcie Kościoła z ich życia wpłynęły w minionym wieku także zmiany w społeczeństwie. Holandia pozostaje jednym z największych krajów migracyjnych, w którym obok 17 mln Holendrów żyje niemal 1 mln muzułmanów. W samym Amsterdamie znajduje się jakieś 30 meczetów.

Przyszłość Boga

Po wydaniu w 1966 r. holenderskiego katechizmu zaczęła też spadać liczba chętnych do podjęcia zawodu księdza lub pastora. W 1968 r. tylko ▶

► jedna osoba przyjęła święcenia kapłańskie. Już wtedy ławki w seminariach były puste. Z ustaleń dziennika „Trouw” wynika, że w latach 1960-2010 liczba absolwentów seminariów duchownych spadła o prawie 50%.

Dechrystianizacja w Holandii dotknęła przede wszystkim Kościoł katolicki, choć większość w kraju stanowiili protestanci. Zresztą niepodległość Holandii wynikała w sporej mierze właśnie z przewagi wyznawców kalwinizmu. W 1830 r. było jeszcze ok. 35% katolików i 65% protestantów. Do 1958 r. liczba katolików wzrosła

stylu od wspólnej modlitwy, mimo że nie są ani katolikami, ani ewangelikami. „Holendrzy są kreatywni, tworząc namiastki życia religijnego w postaci duchowych grup i prywatnych kościołów”, pisze Ouweneel.

Zainicjowana przez Alfrinka i Schillebeeckxa rewolucja w holenderskim Kościele katolickim osiągnęła symboliczne apogeum podczas podróży apostołskiej Jana Pawła II w maju 1985 r. Gdy papież przejeżdżał papiasem ulicami Utrechtu, uchodzącego za katolicką stolicę Holandii, powitała go garstka wiernych. Znacznie więcej okrzyków wznosili wtedy jego

Vught funkcjonuje od 2018 r. jako nowoczesna biblioteka. Pomysł umieszczania w świątyniach czytelników lub księgarni jest ostatnio dość modny, bo nie ingeruje w ich architekturę. Wnętrze nadal wygląda jak klasyczny kościół, choć dobudowano oczywiście kilka ułatwień dla klientów. Czytając książki, można jednak nadal podziwiać oryginalne freski i obrazy. Zauważalne jest jedno – architekci i projektanci z reguły decydują się na lekkie tylko modyfikacje, nie naruszając historycznych aranżacji. Tak jakby nowa funkcja budynku była chwilowa i pozwalała w razie potrzeby wrócić do jego pierwotnej funkcji.

Popularne są też zamiany nieużywanych obiektów sakralnych w hotele, mieszkania, sklepy i restauracje, ale w tym przypadku furtek do powrotu do minionych czasów jest już znacznie mniej. W Amsterdamie można się wybrać do kościoła na imprezę. Przekształcanie budynków sakralnych w bary i kluby Watykan wielokrotnie potępiał, ale znacznie łagodniej podchodzi do umieszczania w nich muzeów, bibliotek i księgarni, które niekiedy faktycznie przeistaczają się w godne swojej nazwy świątynie umysłu. W Zwolle w XVI-wiecznym kościele powstała księgarnia Waanders In de Broeren, a w Maastricht sakralnym urokiem uwodzi jedna z najpiękniejszych księgarni na świecie – Selexyz Dominicanen. Z kolei w kościele św. Józefa w Arnheim znajduje się skate park. Nawa główna wypełniona jest rampami, po których młodzi ludzie jeżdżą na deskorolkach.

Problem pustych kościołów dotyczy nie tylko Holandii, lecz również innych krajów, choćby Polski, nadal uporczywie zwanej przedmurzem chrześcijaństwa. W Świnoujściu w budynku sakralnym mieści się kawiarnia. Z kolei już w latach 90. w mediach pojawiła się nikomu nieznaną nazwą wsi Wieldzadz, nieopodal Wąbrzeźna na Kujawach. A to za sprawą popularnej dyskoteki, która działała tu przez wiele lat. Miejsce otarza i ambony zajął DJ, na chórze powstał bar, a zakrystia zamieniła się w szatnię. A jednak próby desakralizacji Kujaw niebawem dobiegły końca. Od jakiegoś czasu ewangelicki kościół pod Wąbrzeźnem ponoć znów stoi pusty i czeka na nabywcę.

Wojciech Osiński



Kościół przekształcony w księgarnię w mieście Zwolle.

do 42%. Tyle że petzającej dechrystianizacji ulegli najpierw liczni protestanci, którzy dziś często nie czują już przynależności do żadnej konfessji, dlatego statystyki podają obecnie większą liczbę katolików. Oficjalnie w Holandii mieszka ok. 25% katolików i tylko 15% protestantów. Co roku Kościół protestancki traci 60 tys. wiernych. „Jeśli ten trend się utrzyma, w 2050 r. wspólnota ewangelicka będzie się ograniczała do małych grup kalwinistów, osiadłych w południowym pasie biblijnym”, pisze „Trouw”. Najliczniejszą grupę tworzą aktualnie *buitenkerkelijk*, czyli bezwyznaniowci, zamieszkujący nawet tradycyjnie katolickie okolice, np. Limburgię.

Zagadnienia związane z religią nie zniknęły jednak całkowicie z holenderskich głów, choć przeszły z czasem niepostrzeżenie w nurt alternatywny. W wydanej w 2013 r. książce „De Toekomst van God” („Przyszłość Boga”) niderlandzki teolog Willem Ouweneel pisze m.in. o holenderskich firmach, których pracownicy rozpoczynają pracę w amerykańskim

W Maastricht sakralnym urokiem uwodzi jedna z najpiękniejszych księgarni na świecie.

krytycy, którzy oprotestowywali papiasą wizytę. „W 2030 r. liczba katolików w Holandii będzie już wynosiła zaledwie kilka procent”, przewiduje Ouweneel.

Nowe treści

Jan Paweł II starał się powstrzymać falę sekularyzacji, np. poprzez wysłanie do holenderskich klasztorów duchownych mających tchnąć w nie nowe życie – nadaremnie. Ówczesny trend raczej przybrał na sile, pozostawiając coraz więcej pustych kościołów, które należałoby wypełnić nowymi treściami.

A trzeba przyznać, że Holendrzy wykazali się tu niemałą kreatywnością. Kościół św. Piotra w miejscowości

Sherry Brandy



Ludwik Stomma

Na pochybel Timmermansowi

„Polska Winkelriedem narodów!”, zachwycał się Juliusz Słowacki. Tak było i tak pozostało. Bohaterska ofiarność wśród Lechitów nie zanika. Tak jak dzielny Szwajcar ze Stans w kantonie Unterwald wbił sobie w pierś austriackie lance, by zrobić wyłom we wrażliwych liniach bojowych, tak Beata Szydło rodem z Oświęcimia zgodziła się na kompromitujące porażki wyborcze w Brukseli, byle tylko rzucić klody pod nogi polakożercy Franciscusowi Cornelisowi Gerardusowi Marii Timmermansowi. Różnica między nimi taka, że o ile czyn Arnolda Winkelrieda przyczynił się do zwycięstwa Szwajcarów w bitwie pod Sempach (9 lipca 1386 r.), o tyle hart ducha Beaty Szydło nie zdał się na razie na wiele. Niełatwo jest bowiem walczyć z demonami.

Sondaże wykazują, że ponad połowa Polaków wierzy w horoskopy. Tej zdrowej części społeczeństwa chciałbym uprzytomnić, że Timmermans urodził się w Maastricht tego samego dnia roku (6 maja), co w Arras przyszedł na świat Maksymilian Franciszek Maria Izidor Robespierre. Zauważmy też od razu, że mają dwa wspólne imiona (Franciszek i Maria), a Maastricht zawiera wszystkie litery (a, r, s) konieczne do utworzenia nazwy miejsca urodzin jakobina. Robespierre’a nazywano nie bez przyczyny Nieprzekupnym, Timmermans nie zamiótł pod dywan polskiego łamania konstytucji, mimo że polski rząd uczynił go oficerem Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Rodzi się więc niezwykle istotne pytanie: czy władze nowogrodzkie nie dysponują przypadkiem wiarygodnymi dokumentami wskazującymi, że czworga imion Timmermans jest po prostu nowym wcieleniem Robespierre’a? To na pewno wiele by wyjaśniało.

Jak wiadomo, Nieprzekupny był nie tylko jednym z przywódców rewolucji, ale także twórcą nowej religii – kultu Istoty Najwyższej. „Niech księża nie liczą na odzyskanie dawnych wpływów, swoje widowiska i podsycanie fanatyzmu. Cóż zresztą księżom do Boga? Są oni dla moralności tym, czym szarlatani dla medycyny. Zapomnijmy więc księży i zwróćmy się do Boga”. Bóg bowiem podług Robespierre’a istnieje. W przemówieniu wygłoszonym 7 maja 1794 r. potępia on surowo ateistów i materialistów i domaga się dekretu, oczywiście natychmiast skwapliwie uchwalonego, że lud francuski uznaje istnienie Istoty Najwyższej, nieśmiertelności duszy, a prawdę i rozum bierze za najwyższe cnoty („Wszystkie wymysły nikną wobec prawdy, a szaleństwa w obliczu rozumu”). Taki dekret sam w sobie polskiemu episkopatowi na pewno by się spodobał. Religia podług pismaka z Arras ma być jednak antyklerykalna, czyli antypolska („Nieważne, czy Polska będzie bogata, czy biedna – ważne, żeby była katolicka!”, Henryk Goryszewski *dixit*), ma głosić prawdę i opierać się na rozumie, a to są

już najgorsze herezje. Poświęcając się w walce z Timmerpierre’em (Robemansem), Beata Szydło broni więc przed lewactwem polskości i Maryi w Okopach Świętej Trójcy wykopanych na przedmurzu. W tym sensie moralnie zbliża się do Winkelrieda.

Istnieje jednak druga możliwość: Timmermans wcieleniem Robespierre’a nie jest. Odwrotnie – stanowi przykład nudnego wręcz w swojej przewidywalności urzędasza. Uczciwy pedant bez wyobraźni. Odległy od patosów Somosierry czy zwycięstwa pod Kircholmem. Bliższy już Horodniczego, trzeźwo podsumowującego porywy nauczyciela historii: „Aleksander Macedoński był niewątpliwie, ale po co od razu łamać krzesła”. Ani polakofil, ani polakożerca. Siedzi taki nad zakurzonymi papierzyskami i tylko mu prawda i prawo w głowie. Jest głęboko przekonany, że łamanie, naciąganie prawa, jak i jego nieznamość są szkodliwe dla społeczeństw i narodów, a więc – jak to głosił już 22 wieki temu Marek Tulliusz Ciceron – należy walczyć w obronie w prawa (*Convenit dimicare pro legibus*), gdziekolwiek jest ono deptane: w Polsce, Gwatemali czy na

Timmermans nie zamiótł pod dywan polskiego łamania konstytucji.

Tahiti, i nie ma w tym żadnego antytahitanizmu, reguła jest powszechna. Niestety, będąc urzędnikiem europejskim, troszczy się przede wszystkim o problemy tego kontynentu, co powoduje, że Polska bliższa jest mu niż Tahiti, za co zresztą, zważywszy na niekłamane uroki egzotycznej wyspy (przypomnijmy sobie Gauguina), powinniśmy mu być raczej wdzięczni. Nie tworzy własnych religii, powątpiewa również, czy rzeczywiście anioł Moroni przyniósł na wzgórze Cumorah Josephowi Smithowi spis praw na złotych płytkach. Raczej byłby skłonny postrzegać europejski system prawny jako twór rozumu. I tutaj znowu spotyka się z Beatą Szydło, przerażoną tym, że „Widmo krąży po Europie – widmo rozumu”. Rozum jest bowiem wymysłem oświeceniowym, a oświecenie, jak być może troszeczkę upraszcza bp Dec, to: LGBT, obowiązkowy onanizm dzieci w żłobkach i krzywa mordą Robespierre’a. Wracamy więc do punktu wyjścia. Wcielenie czy nie wcielenie, nie kijem go, to pałką. A rozum to po prostu polakożerstwo.

I wtedy zrywa się do czynu Beata Szydło, bębny warczą, działa grzmia, szczekają salwy, a ona wbija bohatersko w swoje niewinne piersi wraże lance, otwierając drogę do wielkiej reewangelizacji. Może przesadził Słowacki, że Polska to Winkelried narodów. Za to Beata Szydło Winkelriedem Europy jest na pewno. Drżycie, demony!

Rozmawia Barbara Jagas

Czy odżywiamy się zdrowo, panie profesorze?

– Odżywiamy się teraz skandalicznie. Nie dość, że mamy nietolerancję różnych produktów i musimy unikać np. laktozy, glutenu, fruktozy, a to prowadzi do niedoborów, to jeszcze zjadamy wiele produktów, które zawierają syrop glukozowo-fruktozowy, który po prostu szkodzi naszemu zdrowiu.

Podobno jest ok. 800 produktów zawierających ten syrop.

– Najwięcej jest go w słodczych, dlatego lepiej nie kupować ciast, tylko samemu je piec. Ale syrop glukozowo-fruktozowy jest dodawany i do innych produktów. Nie wiem, czy do 800, jak podają niektóre publikacje, ale do kilkuset na pewno.

Znakiem naszych czasów jest jedzenie, którego smak i wygląd muszą być perfekcyjne. Tylko że niekoniecznie jest to dla nas zdrowe.

– Obliczono, że na około tony pożywienia zjadanego przez nas w ciągu roku, kilka kilogramów stanowią takie substancje jak barwniki, ulepszacze smaku itp. To jak mamy być zdrowi?! **No właśnie.**

– A dodajmy do tego pośpiech i spożywanie wielu produktów przetworzonych. Niezdrowe są tłuszcze trans i fruktoza, które nasilają zapalenie w jelicie, co wpływa na jego przepuszczalność, a w konsekwencji powoduje insulinoporność. Okazuje się, że przyczyna cukrzycy tkwi w przewodzie pokarmowym.

Wiemy, że do cukrzycy prowadzi otyłość.

– Tak, bo otyłość brzuszna prowadzi do insulinoporności, a wtedy chociaż insuliny jest za dużo, ona nie

Na około tony jedzenia, które zjadamy w ciągu roku, kilka kilogramów stanowią barwniki, ulepszacze smaku itp.

działa tam, gdzie powinna. W efekcie powstaje cukrzyca. A otyłość jest dzisiaj bardzo powszechna i jest wynikiem obżarstwa, spożywania przetworzonej i skażonej żywności oraz braku ruchu. Jak ten brak aktywności fizycznej prowadzi do otyłości? Sprawa jest prosta. Kiedy zjadamy posiłek, insulina stara się wprowadzić glukozę z krwi do tkanek, m.in. do wątroby i do mięśni. A jeśli tam

Oszczędzamy trzustkę

Najzdrowsze jest jedzenie niezjedzone



PROF. WALDEMAR KARNAFEL

– diabetolog i specjalista chorób wewnętrznych, empatyczny i wnikliwy lekarz

nie ma miejsca, wprowadza do tkanki tłuszczowej.

A kiedy jesteście aktywni fizycznie?

– Jeżeli poruszamy się, robimy miejsce dla glukozy w mięśniach i wówczas insulina może tam wtłoczyć glukozę, zmienić ją w glikogen i dzięki temu nadmiar glukozy nie zamienia się w tłuszcz.

Jakie jest najzdrowsze jedzenie?

– Niezjedzone... A tak naprawdę wszystko trzeba jeść, ale z umiarem i nie za słono ani nie za słodko. Nie wolno połykać niepgryzionego jedzenia, bo niestrawione resztki w jelitach stwarzają doskonałe warunki do

opornością, a także zaburzeniem osi inkretynowej, czyli równoległego stymulowania wydzielania insuliny przez trzustkę poprzez inkretyny – hormony w jelicie. Wiedzę na ten temat zdobyliśmy w ostatnich latach. Wydzielanie insuliny u chorego cały czas się pogarsza, aż w pewnym momencie jej brakuje. I trzeba wówczas podać leki, które stymulują wydzielanie tego hormonu, aby glukoza z pożywienia mogła przeniknąć do komórek i dać energię. Jednocześnie obniża się wtedy poziom cukru w organizmie, a był wcześniej za wysoki z uwagi na brak insuliny.

Są nowe leki na cukrzycę...

– Mamy dwie duże grupy nowych leków – są to inkretyny i flozyny. Inkretyny wpływają na poprawę osi inkretynowej, a także zmniejszają poziom cukru i pobudzają produkcję insuliny, ale w inny sposób – działają na wysepki trzustkowe, ale nie bezpośrednio, omijają je i oszczędzają dzięki temu. Jest to zupełnie nowy mechanizm działania. Leki inkretynowe to: agoniści receptora GLP1 i inhibitory dipeptydylopeptydazy IV. Ich skład uwzględnia wiedzę na temat faktycznej przyczyny cukrzycy, którą jest zaburzenie pracy hormonu inkre-

rozwoju bakterii. A one z kolei mogą wywoływać przewlekłe zapalenie jelit, następnie mieć wpływ na rozwój cukrzycy.

Cukrzyca, zwłaszcza typu 2, jest bardzo powszechną chorobą. Na czym właściwie polega?

– Cukrzyca typu 2 jest związana z postępującym zaburzeniem wydzielania insuliny przez komórki B wysepek trzustkowych oraz insulino-

tynowego, stymulującego wydzielanie insuliny w trzustce, ale działając na nią poprzez komórki w jelicie.

Czym te leki różnią się od dotychczas stosowanych?

– Podanie leku powodującego wydzielanie hormonu inkretynowego, tzw. GLP1, który prowadzi do wydzielania insuliny przez trzustkę, nie działa niszcząco na wyspy trzustkowe. A jest to mankament leków klasycznych, które po dłuższym stosowaniu po prostu wyczerpują trzustkę. Trzeba też dodać, że agoniści receptora GLP1 wpływają

Dlaczego cukrzyca uszkadza serce?

– Hiperglikemia występująca u cukrzyków, czyli za wysoki poziom cukru, powoduje powikłania mikronaczyniowe, co prowadzi m.in. do uszkodzenia wzroku, ale także niszczy duże naczynia, czego skutkiem jest m.in. miażdżycy tętnic wieńcowych, a stąd już niedaleko do chorób mięśnia sercowego.

Wiem, że jako konsultant wojewódzki w dziedzinie diabetologii prowadził pan badania nad cukrzycą. Jakie były efekty tych badań?

Nie wolno połykać niepogryzionego jedzenia, bo niestrawione resztki w jelitach dają doskonałe warunki do rozwoju bakterii.

na zmniejszenie masy ciała. Inna ważna rzecz, jaką zauważono, to fakt, że niektóre leki inkretynowe wykazują działanie ochronne na serce. A cukrzyca niszczy serce, powodując zawały i niewydolność mięśnia sercowego. U chorych na cukrzycę znacznie zwiększa się ryzyko chorób sercowo-naczyniowych, które są przyczyną 80% zgonów w tej grupie chorych. Natomiast ryzyko rozwoju choroby niedokrwiennej serca jest od dwóch do czterech razy wyższe niż u osób bez cukrzycy. A przecież choroba niedokrwiennej serca jest najczęstszą przyczyną zgonów. I jeszcze jedna wiadomość: w ciągu 10 lat od rozpoznania cukrzycy typu 2 u co siódmego chorego występuje zawał serca.

Skąd wiadomo, że leki inkretynowe korzystnie działają na serce?

– Zawsze kiedy robi się badania nowych leków na cukrzycę pod kątem wpływu na choroby sercowo-naczyniowe, sprawdza się, czy nie oddziałują one negatywnie. I w przypadku niektórych leków inkretynowych okazało się, że osłaniają one serce, oszczędzają je.

A co z floczynami, jakie jest ich działanie?

– Jest to druga grupa leków, które mają dobry wpływ na układ krążenia, poza tym oczywiście, że obniżają cukier. Zmniejszają one występowanie niewydolności serca i zawałów. Tutaj mamy inny mechanizm działania – floczyny odwadniają organizm, odciągają cukier, odchudzają i zmniejszają ciśnienie. Ich korzystne działanie na serce zostało udowodnione, ale nie znamy jeszcze dokładnie jego mechanizmów.

– Badania, które przeprowadziliśmy razem z NFZ w 2012 r., wykazały, że wśród wszystkich osób z niewydolnością serca jedna trzecia miała cukrzycę, mężczyźni diabetycy chorowali siedem razy częściej niż inni ludzie, kobiety z cukrzycą – sześć razy częściej. Z kolei zawał serca wystąpił pięć razy częściej u takich mężczyzn, u kobiet – sześć i pół razy. Na udar mózgu chorowano pięciokrotnie częściej. A wśród ponad 200 tys. osób, które zmarły w 2012 r.

Listy

Leki za 5 złotych

Adrian Zandberg zgłosił 24 sierpnia na konwencji programowej Lewicy m.in. propozycję leków za 5 zł. Koncepcję taką sygnalizowałem na łamach „Trybuny” już kilkanaście lat temu. Niestety, ówczesni ministrowie zdrowia nie zainteresowali się tą ewidentnie lewicową ideą.

Sprawa dotyczyć może tylko leków wydawanych na recepty, bo inne leki, paraleki, kosmetyki i suplementy diety oczywiście powinny pozostać w obrocie wolnorynkowym. Leki recepturowe przeznaczone są dla konkretnych chorych, na ich indywidualne schorzenia. Nikt chory na serce nie będzie kupował (i magazynował) leków na nerki. Każdy chory ma swoje schorzenie i w ramach solidaryzmu społecznego powinien otrzymać w podobnej cenie leki leczące jego chorobę. Nikt nie wybiera sobie choroby, to los o tym decyduje, nie powinno zatem też być gigantycznych niekiedy różnic w kosztach leczenia poszczególnych schorzeń. Skoro akceptujemy solidaryzm społeczny, wspólnie finansując składki zdrowotne NFZ, to kontynuacją tej zasady powinno być sprawiedliwe dzielenie się kosztami nabywanych leków.

Moja koncepcja, odświeżona przez Adriana Zandberga, zakładała uśrednienie odpłatności za leki wydawane w aptekach na recepty. W ten sposób np. chory na nadciśnienie tętnicze dzieliłby się kosztami z chorym na nowotwór prostaty. Pomysł nie wymaga dodatkowego dofinansowywania z budżetu państwa, sumaryczna wartość dofinansowania leków przez NFZ pozostałaby na tym samym poziomie. Obawiam się jedynie, że przy dzisiejszych cenach moje obliczenia raczej tę uśrednioną kwotę przesuną bliżej 10 zł niż wyliczonej wtedy równowartości 1 euro. Po wprowadzeniu w życie powyższej propozycji każdy chory będzie wiedział, że za opakowanie leku zapłaci sztywną kwotę. W ten sposób trwale zlikwidujemy stresy przy aptecznych kasach.

Dr n. med. Zbigniew Kulak

Krwawa awantura w Cyrku Staniewskich

Wiec, pomyślany jako pokaz siły Falangi, zapamiętany został jako wielka bijatyka

Przemysław Kmiecik

Idealizowany dzisiaj często okres II Rzeczypospolitej to czas bezwzględnej walki politycznej, naznaczonej przemocą i przelaną krwią. Uliczne zamieszki, napady, pobicia, używanie broni palnej, a nawet ładunków wybuchowych to brutalna codzienność tamtych lat. Po przemoc sięgały różne strony politycznego sporu.

Szczególnie burzliwy przebieg miał konflikt pomiędzy socjalistami a narodowymi radykałami spod znaku ONR. Wzrost siły organizacji nacjonalistycznych, które zarówno w ideologii i symbolice, jak i w metodach działania obficie czerpały z najgorszych wzorców faszystowskich i nazistowskich, odbierano w środowisku Polskiej Partii Socjalistycznej jako podstawowe zagrożenie. „Jesteśmy przeciwnikami gwałtu, ale jeśli ktoś ma być bity, to my będziemy tymi, którzy biją, a nie odwrotnie”, mówił Kazimierz Pużak, sekretarz generalny PPS, przekonując swoich towarzyszy do powołania Akcji Socjalistycznej – partyjnej milicji. Głównym zadaniem AS było zabezpieczenie wieców i zebrań, a także chronienie kolportażu prasy i ulotek. Pepeesowcy nie zamierzali jednak wyłącznie się bronić. Czasami to oni podejmowali akcje ofensywne przeciwko poczynaniom faszyzującej prawicy.

Zgromadzenie Falangi w Cyrku Staniewskich w Warszawie 28 listopada 1937 r. zorganizowane było na wzór wieców hitlerowskich.

Najbardziej spektakularnym epizodem tego konfliktu były zamieszki, do których doszło podczas wiecu w Cyrku Staniewskich w Warszawie 28 listopada 1937 r.

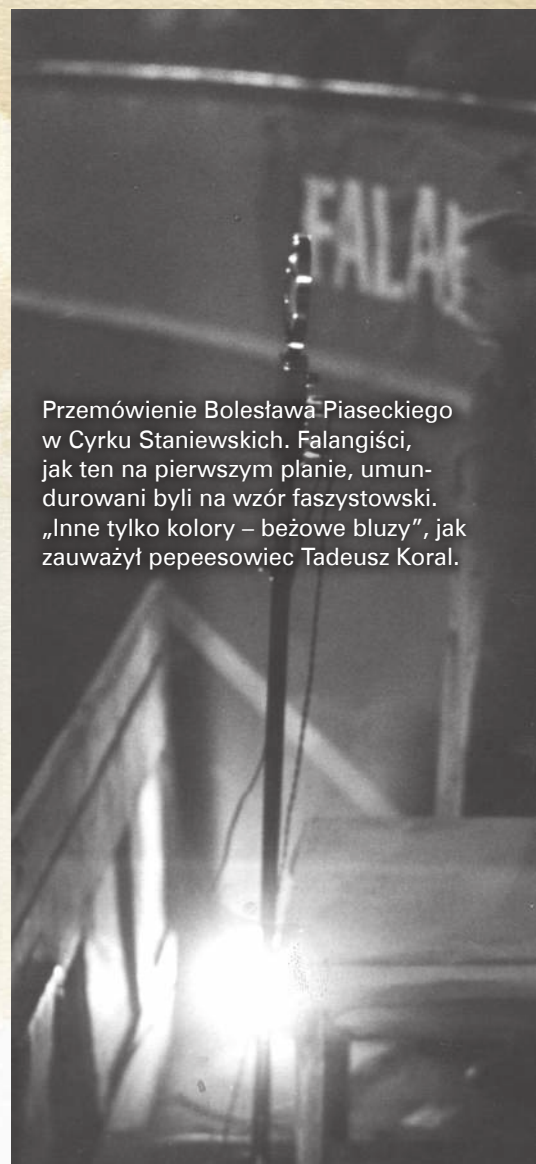
Wiec ten, zorganizowany przez odłam młodzieży narodowo-radykalnej grupującej się wokół tygodnika

„Falanga”, był pierwszym tak dużym publicznym zgromadzeniem, na które władze sanacyjne zezwołyły oenerowcom od czasu delegalizacji tej organizacji w roku 1934. Był to efekt przyjaznych kontaktów nawiązanych niedawno pomiędzy przedstawicielami obu środowisk. Rzecznikiem porozumienia między władzą a skrajną prawicą był sam Adam Koc, przywódca sanacyjnego Obozu Zjednoczenia Narodowego. Coraz częściej pojawiały się pogłoski o możliwej legalizacji ONR, a fakt, że zezwolono na przeprowadzenie wiecu w Cyrku Staniewskich, zdawał się te podejrzenia potwierdzać.

Nowa Hitleria

Osoby, które rankiem 28 listopada 1937 r. zjawyły się na ulicy Ordynackiej w Warszawie, były świadkami świetnie wyreżyserowanego spektaklu. Zgromadzenie rozpoczęte o godz. 11.30 zorganizowane było na wzór wieców hitlerowskich, od dawna budzących podziw w środowiskach narodowo-radykalnych. Przybyło na nie ok. 2 tys. osób, głównie młodzieży. Arenę cyrku zdobił olbrzymi napis: „Życie i śmierć dla Narodu”, a także symbol Falangi – ramię z mieczem. Zebrani dumnie pozdrawiali się gestem wyciągniętej prawej dłoni, wpatrzeni w wybijającą się z półmroku zieleń trybuny, oczekując z niecierpliwością na wystąpienia

kolejnych mówców, a szczególnie Bolesława Piaseckiego – wodza organizacji. Wyczekiwanie umilali sobie złowieszczymi hasłami w stylu: „Już ostatnie w Polsce sygnały, żeby wszystkie żydy na latarniach wisiały!”. Nie wszystko jednak odbyło się tak, jak sobie falangiści zaplanowali.



Przemówienie Bolesława Piaseckiego w Cyrku Staniewskich. Falangiści, jak ten na pierwszym planie, umundurowani byli na wzór faszystowski. „Inne tylko kolory – beżowe bluzy”, jak zauważył pepeesowiec Tadeusz Koral.

Wieść o mającym się odbyć zgromadzeniu wzbudziła bowiem wielkie oburzenie w szeregach Polskiej Partii Socjalistycznej. W dzień wiecu kierownictwo PPS opublikowało odezwę, w której pisano m.in.: „Faszystowskie elementy reakcji polskiej usiłują wypłynąć na wierzch, terroryzować obywateli pałką, nożem i bombą, torując sobie drogę do zagarnięcia Polski w swe łapy i zamienienia jej w nową Hitlerię”.

Nie były to bezpodstawne oskarżenia. Falangiści od dawna znani byli ze stosowania brutalnej przemocy. A pepeesowcy mieli z nimi świeże rachunki do wyrównania. Ledwie dwa miesiące wcześniej bojówka Falangi dokonała zamachu bombowego na pochod młodzieży socjalistycznej



w Warszawie, w wyniku którego rannych zostało 20 osób.

Potajemnie rozpoczęto przygotowania do rozbicia wiecu. Jak wspominał pepeesowiec Stanisław Sankowski, „na wszystkich dzielnicach warszawskich przeprowadzono mobilizację AS-u i poszczególnymi dzielnicami, po kilkadziesiąt osób, udaliśmy się do cyrku”. Dostać się do środka nie było jednak łatwo. Przewidując możliwość zamieszek, patrole pieszej i konnej policji od rana przemierzały Ordynacką i Nowy Świat. Wstępu do samego cyrku broniły za to bojówki Falangi, karne i umundurowane na wzór faszystowski. „Inne tylko kolory – beżowe bluzy”, jak zauważył pepeesowiec Tadeusz Koral. Socjaliści wkradali się więc do cyrku pojedynczo, często

udając zagorzałych zwolenników Falangi. „ONR-owcy bardziej aktywnych członków naszej organizacji znali i po prostu nie wpuszczali ich. Osobiście trzy razy usiłowałem wejść, lecz dopiero mi się to udało za czwartym podejściem. Trzymałem w ręku »Sztafetę« – pismo oenerowskie, która częściowo przykrywała mi twarz. Wszedłem do cyrku i po pewnym czasie udało mi się dotrzeć do większego zgrupowania naszych towarzyszy, których było tam około 200 na kilka tysięcy zebranych tam oenerowców”, kontynuował relację Sankowski.

Pałki, laski i krzesła

Hasło wiecu ONR brzmi: „Fołksfront – wrogiem Przełomu”. Fołksfront, czyli front ludowy, to określenie porozumień organizacji lewicowych, które w latach 30. XX w. formowały się przeciwko rosnącej w siłę skrajnej prawicy. Pod mglistym mianem Przełomu kryło się za to marzenie fałangistów o przewrocie, który miałby im dać pełnię władzy. Takim jak choćby marsz na Rzym, który 15 lat wcześniej dał faszystom Mussoliniego panowanie nad Włochami.

Na wiecu wykrzykiwano hasła: „Już ostatnie w Polsce sygnały, żeby wszystkie żydy na latarniach wisiły!”.

Wiec rozpoczyna się od przemówienia Olgierda Szpakowskiego. Jak relacjonuje pismo „Falanga”, „Szpakowski wita zebranych podniesieniem ręki i zaczyna głębokim, urywanym głosem: Polska stoi w przededniu Przełomu! Słowa rozpalają salę. Coraz więcej okrzyków, coraz silniejsze brawa. Kiedy mówca zaczyna o fołksfroncie, o komunie, o żydach, sala jeży się, przelatują hasła i jedno potężne, ze wszystkich piersi słowo – precz!”. Cytując pepeesowca Stefana Kobrzyńskiego, wszystko jest jak żywcem przeniesione z mitingów organizowanych przez Goebbelsa w III Rzeszy.

Następnie głos zabiera Wojciech Kwasiebski, który występuje z ostrym potępieniem demokracji i idei powszechnych wyborów. Wtedy z sali słychać niespodziewany okrzyk: „Niech żyją wybory!”. Część zebranych odpowiada: „Niech żyją!”. Na sali podnosi się wrzawa. Z miejsc

zajmowanych przez pepeesowców dochodzą coraz głośniejsze okrzyki: „Niech żyje wolność! Niech żyje demokracja!”. Fałangiści orientują się, że wśród obecnych znajduje się pokaźna grupa ich przeciwników. Ponieważ pepeesowców nie udaje się przekrzyknąć, Bolesław Piasecki wzywa oenerowską bojówkę do usunięcia ich z cyrku.

Wedle relacji obecnej na sali Marty Wańkowicz, córki pisarza Melchiora, „na arenę wbiega kilkanaście zielonych opasek, z krzesel wyskakują głosy ryczące »Niech żyje!«. Krzesła wyrwane, pałki, białe szczątki rozdeptanego godła, wgniecione tupiącymi stopami w brudne grudki piasku. Wrzask, wrzask, wrzask. Z dumnego napisu pozostało teraz: »Ży... ś... rć... nar...«. Piasecki krzyczy: »Proszę o spokój! Proszę o spokój! Spokojnie! Spokojnie!«. W trwającej kilkanaście minut bójce bierze udział kilkaset osób. W ruch idą pałki, laski i krzesła. „Poszliśmy tam narobić trochę protestu, ale nas było mniej, a tam zgromadziła się cała chuliganeria oenerowska, te wyrzutki i męty społeczne, tak jak ich zresztą faszyzm zawsze używa dla swoich celów”, jak wspominał pepeesowiec Władysław

Jagiełło. W końcu on i jego towarzysze ulegają przeważającym tłumom i zostają wyrzuceni z cyrku.

W zdemolowanej sali walają się potłuczone krzesła, porwane ulotki i poszarpane resztki wielkiego emblematu Falangi. Mimo to oenerowcy decydują się dokończyć wiec. Wódz fałangistów Bolesław Piasecki przemawia już jednak otoczony przez uzbrojonych w rewolwery kolegów.

Rozruchy przeniosły się tymczasem na ulicę. Mimo policyjnej blokady na Ordynacką przedarła się kolejna setka socjalistów, wznosząc okrzyki przeciwko fałangistom. Energetyczna interwencja służb mundurowych rozproszyła jednak szybko tę manifestację. Pepeesowcy wycofali się w kierunku redakcji „Robotnika” na ulicy Wareckiej.

Przybyłe na miejsce zamieszek pogotowie zabrało do szpitala tylko cztery osoby. Rannych było oczywiście o wiele więcej, ale

► zdecydowana większość, zahartowana już w tego rodzaju walkach, postanowiła nie korzystać z pomocy medycznej. Na przykład Stanisław Sankowski relacjonował: „Miałem trochę poharataną głowę i po plecach spływało mi trochę krwi, ale byłem mocnym chłopakiem i nie zrobiło to na mnie wielkiego wrażenia”. Wśród najczęściej poszkodowanych był za to Jan Krasicki, 18-letni działacz PPS z warszawskiej Pragi, który z trzema głębokimi ranami głowy wylądował w Szpitalu Dzieciątka Jezus. To ten sam Krasicki, który niedługo potem zerwie z ruchem socjalistycznym i zostanie jednym z liderów podziemia komunistycznego podczas wojny, a ostatecznie zginie

Na Wareckiej były już zgromadzone grupy towarzyszy z AS, głównie starszych, a wśród nich towarzysze z Rzeźni Miejskiej, tramwajarze, strażacy. Brama »Robotnika« była zatarasowana belami papieru, tworząc pewnego rodzaju barykadę. W ul. Warecką wchodził tłum. Wtedy coś mnie poderwało i niemal samotnie rzuciłem się na szeregi. Wyskoczył za mną Janek Szaniawski, który mi pomógł, a za nim jeszcze kilku towarzyszy. Na tej stosunkowo wąskiej ulicy na chwilę powstrzymaliśmy marsz oenerowców”. Starcie na Wareckiej przerwała zaraz potem interwencja policji konnej, która skutecznie zablokowała falangistom dalszą drogę. To ostatni akcent

Warto zwrócić uwagę na euforyczny ton, w jakim opisano w „Falandze” wiecowe wystąpienie Bolesława Piaseckiego: „Odkrywają się głowy, otwarte dłonie nad głowami i spontaniczne, ogromne, jedyne słowo: Wódz! Trzy tysiące obozowców manifestuje na cześć kierownika. Trzy tysiące ramion wita Go pozdrowieniem organizacyjnym. Owacja trwa długo, ale serca nie mogą pozbyć się radości, nie mogą wyładować uwielbienia: Niech żyje Bolesław Piasecki! Piasecki każdym zdaniem uzasadnia swoje wodzostwo. Nie demagogią zwrotów, lecz rzucając zapowiedzi, które po tym realizuje, nie literackimi splotami wyrazów, a mocą przeświadczenia, z jaką wypowiada



Po bijatyce z wielkiego emblematu Falangi zostały poszarpane resztki. Mimo to oenerowcy dokończyli wiec.

z rąk hitlerowskiego okupanta. Walczący po drugiej stronie barykady Andrzej Świątlicki, 22-letni lider warszawskich falangistów, stracił tego dnia kilka zębów. To ten sam Świątlicki, który wkrótce po wybuchu wojny podejmie kolaborację z hitlerowcami, a jednak ostatecznie i on zginie rozstrzelany przez Niemców.

Wielka bijatyka

Gdy o godz. 14 oenerowcy zakończyli swój wiec w cyrku, postanowili zrewanżować się socjalistom i zaatakować lokal PPS. Sankowski wspominał: „Udałem się do redakcji »Robotnika« na Warecką, ponieważ ONR-owcy z rozbitego wiecu zaczęli się organizować w pochód i słyszałem, jak mówili, że idą pod redakcję »Robotnika«, aby ją rozbić.

chaotycznych rozruchów z 28 listopada 1937 r.

Wiec w Cyrku Staniewskich, pomysły jako pokaz siły Falangi, zapamiętany został jako wielka bijatyka, w którą w pewnym momencie się przerodził. „Krwawa awantura na wiecu Falangi” czy „Burzliwy wiec w Cyrku” – to tytuły, które pojawiły się w prasie następnego dnia. Bardzo zwięźle skomentował zamieszki pepeesowski „Robotnik”, tradycyjnie nienawykły do przesadnego ekspozowania wyczynów swoich partyjnych bojówek.

Wielki sukces otępiła za to Falanga. Zirytowana krytycznymi relacjami w prasie zarówno lewicowej, jak i prawicowej, groźnie ostrzegała, że i „żydo-marksści, i konserwa wspólnie zostaną zniszczeni w dobie Rewolucji Narodowo-Radykalnej”.

sądy i wysuwa koncepcje. Kiedy Piasecki mówi: »ja«, to brzmi to tak nieśtychanie naturalnie, tak oczywiście, że nikt nie może wobec tego stwierdzenia pozostać obojętny. Każdy musi się podporządkować albo nienawidzić. Nie ma innego stosunku do Piaseckiego, jak te dwa”.

„Jest jeszcze trzeci stosunek do Wodza – odpowiadał „Falandze” pepeesowski „Dziennik Ludowy”. – Można po prostu się z niego śmiać. Śmiać z operetkowych wyczynów małego fuchrera, śmiać się z nieudolnie wzorowanych na imprezach faszystowskich wyczynów naszych rodzimych faszystek. Wykpiwać megalomanię skretyniałych fuchrerków, którym uderzyły do głowy nieartykułowane wrzaski kilkuset niedowarzonych studentów”.

Przemysław Kmiecik

✉ Roosevelt sprytnie podsycił sny o potęgę

Z tekstu w PRZEGLĄDZIE nr 32 wynika, że Roosevelt nie tyle oszukiwał Sikorskiego, ile sprytnie podsycił jego butę i marzenia o potęgę. A Sikorski wierzył, bo chciał wierzyć, i jeszcze budował na tym swoją pozycję w rządzie emigracyjnym. Sikorski, oficer armii, której siły lotnicze pozostawały w tyle za światem o co najmniej dekadę, snuł jakieś fantasmagorie o desantach lotniczych. Przecież to po prostu żałosne.



I tak się snują przez pokolenia te polskie omamy, prowadząc naród polski na bagienne topiele. Ta śmieszna wiara, że Amerykanie wprost marzyli o tym, żeby pomnożyć przez trzy swoje straty wojenne, walcząc o polską nędzę, która kojarzyła im się jedynie z polskimi emigrantami analfabetami. I jeszcze to polskie przekonanie, że gdyby nie Stalin, Polska zostałaby wręcz utopiona w amerykańskich dolarach z Planu Marshalla. Bo przecież

powszechnie wiadomo, że Amerykanie to naród największych na świecie altruistów, którzy uwielbiają topić kapitał w bezradziejnych przedsięwzięciach. I ciągną się te polskie mity jak – nie przymierzając – smród za wojskiem.

Amerykanie zaś po prostu dobrze liczą. W latach 80. zainwestowali w tzw. demokratyczną opozycję w Polsce jakieś 100 mln dol. Po 1989 r. same tylko kontrakty lotnicze i zbrojeniowe przyniosły im dziesiątki miliardów dolarów, a kolejne miliardy w kontraktach zbrojeniowych i gazowych już czekają w kolejce, by zapełnić amerykańskie konta.

A co mają Polacy? Wiarę w swoją potęgę. Przyjedzie w końcu Trump, znowu coś powie o „wielkim polskim narodzie” i nad Wisłą znowu zapanuje ekstaza. Szkoda tylko, że jakoś umyka polskiej uwadze fakt, że hasłem wyborczym Trumpa było uczynienie wielką Ameryki, a nie Polski. Choćby przez wykorzystywanie państw klienckich, takich jak Polska zmieniona przez elity postsolidarnościowe.

Radosław

✉ Kłamstwa cyników o powstaniu

W połowie sierpnia 1944 r. nikt już chyba nie miał wątpliwości co do klęski powstania warszawskiego. Moja babcia, mama z trzyletnim synkiem i jej dwie siostry zostały wygnane przez Niemców z piwnicy tydzień wcześniej. Przyjęły to z ulgą, bo nie było już jedzenia i wody, a każdej godzinie towarzyszył strach przed pogrzebaniem żywcem. Wiedziały, że to koniec. Miały szczęście, bo Niemcy wystali ich na roboty do Niemiec i nikomu nic się nie stało po drodze. Zakwaterowano ich niedaleko francuskiej granicy, w górach, w pobliżu fabryki broni. Warunki były znośne. Matka z siostrami pracowały w fabryce, babcia sprzątała baraki wachmanów i mogła nawet wychodzić z wnukiem do miasteczka. Była zaskoczona, kiedy Niemki wyglądające przez okno przywoływały dziecko i dawały mu posmarowane kromki chleba.



Po zakończeniu wojny wszyscy wrócili do Polski, ale nie mieli do czego – dom był zburzony, brak środków do życia. Wyjechali więc do Wałbrzycha, bo tam było dużo opuszczonych mieszkań oraz praca w szpitalu (ciotka była

położną, mama pielęgniarką). Zanim życie względnie się unormowało, moi najbliżsi borykali się z niestychaną nędzą. A przyjęciu do pracy towarzyszyły komentarze typu: „Zachciało się wam powstania, to macie” i pytania o przynależność do AK. W zasadzie każdy warszawiak był o to podejrzewany mniej lub bardziej otwarcie.

Przemilcza się przykry fakt, że natychmiast po wyjściu Rosjan ruszyli na Warszawę szabrownicy oraz mieszkańcy okolicznych miejscowości zajmujący ocalałe mieszkania. Często się zdarzało, że powracający warszawiacy byli wyrzucani na ulicę ze swoich mieszkań przez zadowolonych tam nowych lokatorów.

W dobie restytucji kamienic oraz dóbr zabużańskich nikt z wielkich warszawskich patriotów nie pomyślał, aby tym, którzy przeżyli powstanie – a jest ich coraz mniej – za to, co utracili i przeszli po wojnie, przyznać skromny dodatek do emerytury – na leki lub odrobinę lepsze życie, zwłaszcza że są pieniądze na kolejne muzea wojny i pomniki.

O tym, że pamięć o wojnie staje się wybiórcza, świadczy fakt, że w telewizji, i to po zarządowej, prawie się nie mówiło o rocznicy wybuchów atomowych nad Hiroszimą i Nagasaki, w których zginęły setki tysięcy niewinnych ludzi, a od tych wydarzeń świat utracił na zawsze względne poczucie bezpieczeństwa. Ale nie chcemy robić przykrości sojusznikowi za oceanem.

Jolanta Heiselbetz, Zabrze

✉ Do „obrońców wiary”

Dość intrygująca jest dla mnie дума „obrońców wiary” ze swojego rzekomo idealnego dopasowania do biblijnego wzorca człowieka. Ponoć mają to zawdzięczać głównie własnym ciągłom heteroseksualnym. A także – jak można się domyślić – znajomości świętych ksiąg.

Wydawałoby się, że wciąż najważniejszy jest zawarty w księgach fundament chrześcijanina – dziesięcioro przykazań. Z tych 10 pewna część spotyka się ze szczególną niechęcią. Także wśród katolików. Niemile jest np. widzianny zakaz cudzołożenia. Również pożądania żony bliźniego swego czy wystawiania fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu. Oficjalnie prawie wszyscy są za tymi zakazami, ale z wypełnianiem czy wytrwaniem większość ma problem. (...) Nie jest też tajemnicą, że bardzo różnie u nas bywa zarówno z czczą dla ojca i matki, jak i z przestrzeganiem zakazu kradzieży. (...)

Jędraszewski, Duda albo Piontkowski (kolejność nieprzypadkowa) bronią i wspierają „obrońców wiary”, a nawet siebie wzajemnie przed domniemaną agresją tęczowej zarazy. Uświadomili mi tym samym, jak ważne jest biblijne przesłanie „aby wasza mowa znaczyła tak-tak, nie-nie”. W takich okolicznościach wydaje się nieunikniona dalsza katechizacja środowisk LGBT i ich sympatyków. Jeśli komuś oberwie się w twarz (tak jak w Białymstoku), to biblijna instrukcja brzmi: nie wzywaj policji, tylko „nadstaw drugi policzek”. I nie domagaj się mściwie oka za oko. Jeśli jesteście zbulwersowani działaniami „obrońców wiary”, sami powinniście przywołać się do porządku słowami: „Nie potępiajcie, nie będziecie potępiani, nie osądzajcie, nie będziecie osądzeni”. A dla pewności jeszcze wykuć na blachę: „Ktokolwiek z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem”. Bo przecież „bliźniego swego należy kochać jak siebie samego”.

Maciej Stępień

Rozmawia Dawid Dróżdż

Na plakacie waszego filmu widnieje hasło: „Ten film nie jest dla ciebie”. Sądziś, że wielu widzów wyjdzie z kina rozczarowanych?

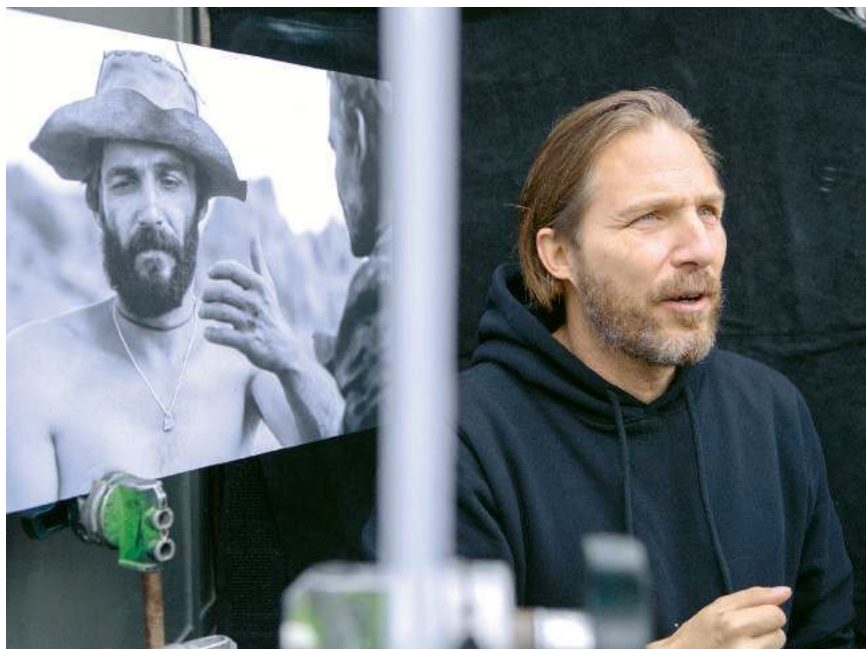
– Myślę, że aby ten film odpowiednio przyjąć i rozczuć, należy mieć pewien kod kulturowy. Na pokazie przedpremierowym podczas MFF Nowe Horyzonty wielu widzów zareagowało bardzo pozytywnie. Zaparli się i do końca pozostali w skupieniu, także na spotkaniu po seansie. „Mowa ptaków” jest jednak filmem intelektualnym, dotyczy polskich paradoksów, mówi też o zderzeniu fikcji i rzeczywistości w umyśle twórców czy w ogóle w obrębie medium filmowego. Ponadto prowadzimy narrację w niemodny sposób, takiego kina już się nie robi, w związku z czym dla współczesnego widza nasz film może być trudny w odbiorze.

Nie robi się, bo widzownia nie czuje zapotrzebowania na takie kino?

– Zapotrzebowania na takie kino nie czują przede wszystkim producenci, dystrybutorzy i stacje telewizyjne. Filmy artystyczne są spychane do nisz, nazywa się je offowymi, podziemnymi, przeznaczonymi dla nerdów. Główny nurt opiera się natomiast na systemie dążącym do spieniężenia dzieła. Tworzenie filmu artystycznego jest objęte o wiele większym ryzykiem, ponieważ podczas jego realizacji nie można myśleć o tym, dla kogo jest przeznaczony i jak dużą widzownię

Stary dziś się cieszy

To już nie jest film mojego ojca, ja podejmuję ryzyko i to ja będę wystawiał się na ewentualne cięgi



– Nowe Horyzonty to jedyny festiwal, którego organizatorzy bez zastrzeżeń wzięli nasz film. Obecnie w Polsce realizacja stoi na coraz wyższym poziomie, ale zaczyna brakować filmów wnoszących kulturę do sali kinowej, wywołujących wewnętrzny dialog. Myślę, że ludzie po „Mowie ptaków” wychodzą wzbogaceni,

XAWERY ŻUŁAWSKI

– reżyser filmu „Mowa ptaków”

konwencjom formalnym. Nie boisz się, że ta rewolucja obróci się przeciw tobie?

– Że będę skazany na milczeniu? Mam nadzieję, że nie. Pracuję także na rynku telewizyjnym, staram się wychodzić naprzeciw wymaganiom systemu. Nie uważam, że wszystkie filmy na świecie powinny być artystyczne, bo też uwielbiam odpalać Netflixa i oglądać „The Walking Dead”. W tym systemie każdy może znaleźć coś dla siebie. Mam nadzieję, że trzy filmy, które dotychczas zrobiłem, nie skreślają mnie jako reżysera, ale sprawiają, że dysponuję szerokim wachlarzem umiejętności. Poza tym mam poczucie, że

Będę skazany na milczeniu? Mam nadzieję, że nie.

przyciągnie do kin. Najważniejsze jest przełożenie na ekran wewnętrznej intuicji. Z kolei w filmach, które mają osiągnąć jak największy zarobek, najważniejsza jest komunikatywność. Reżyserzy opowiadają historie, które zaczynają być do siebie podobne, bo muszą być zrozumiałe i dostępne dla wszystkich. Przeczuwałem, że nie dostaniemy się do konkursu w Gdyni, ponieważ my w ten klucz się nie wpasowujemy, zrobiliśmy film nieprzewidywalny.

Wymykający się schematom konkursu w Gdyni, który mimo że jest festiwalem kina artystycznego, coraz częściej promuje bezpieczne „kino środka”.

muszą przemyśleć to, co zobaczyli, mają poczucie, że dużo od nas dostali. Jeśli film został zrealizowany z sercem, zaangażowaniem i wewnętrzną prawdą, spotyka się z fajnym przyjęciem.

Podobnie jak ojciec robisz kino rewolucyjne, nawołujące do buntu i wymykające się wszelkim

Xawery Żuławski – absolwent Wydziału Reżyserii PWSFTviT w Łodzi. Laureat Złotego Lwa za najlepszy debiut na FPFF w Gdyni i Wielkiego Jantara na Festiwalu Młodzi i Film za „Chaos” (2006) oraz Srebrnego Lwa za „Wojnę polsko-ruską” (2009). Jego trzeci film fabularny, „Mowa ptaków”, powstał na podstawie scenariusza ojca, Andrzeja Żuławskiego. Na 44. FPFF w Gdyni film weźmie udział w Konkursie Głównym.

realizowanie filmu fabularnego to unikatowy proces, coś ulotnego i jedynego w swoim rodzaju, przygoda, do której nie da się wrócić. Żaden z moich filmów nie powstał bez powodu. W przypadku „Mowy ptaków” miałem poczucie domknięcia pewnego etapu, artystycznego rozliczenia się z twórczością ojca. To ma być

ponieważ wymuszał na nas określony sposób opowiadania, prowadzenia kamery czy gry aktorskiej. Andrzej Jaroszewicz często na planie, pokazując palcem w niebo, mówił: „Stary dziś się cieszy”, albo zasmucał się: „Andrzej by się wkurwił”. Zastanawiałem się wtedy, co powinniśmy poprawić, ale ostatecznie

W szkołach młodym ludziom sący się do głowy, że Polska jest w stałym niebezpieczeństwie i wszyscy czyhają na naszą dopiero co wywalczoną wolność.

hołd i oddanie szacunku osobie, która wrzuciła mnie na drogę filmową.

Kolejne moje filmy być może jednak nie będą już czymś, jak mówisz, rewolucyjnym. Mam zresztą problem z tym określeniem. Wydaje mi się, że moje kino to po prostu filmy głęboko indywidualne, wychodzące z serca, a nie robione z premedytacją. Być może są wewnętrznym buntem, próbą innego spojrzenia na świat, poszukiwaniem wolności za pośrednictwem kina.

Co powiedziałby twój ojciec, gdyby zobaczył „Mowę ptaków”?

– Nie wiem. Realizowałem ją ze stałymi współpracownikami ojca – operatorem Andrzejem Jaroszewiczem i kompozytorem muzyki Andrzejem Korzyńskim. Prywatnie obaj byli jego przyjaciółmi. Miałem pewność, że dadzą mi sygnał, kiedy będę – mówiąc językiem Żuławskich – w mylnym błędzie, że zobaczę w ich oczach, jeśli coś będzie nie tak. Tekst mojego ojca był bardzo wymagający,

często mówiłem „nie”. Uznawałem, że to już nie jest film ojca, ja podejmuję ryzyko i to ja będę wystawiał się na ewentualne cięgi.

Asertywności chyba też nauczył cię ojciec, który mawiał, że kluczem do wolności jest właśnie słowo „nie”.

– To powiedzenie może wywołać śmiech, ale jak dobrze nad tym się zastanowimy, to mówienie „nie” jest bardzo oczyszczające. Bo „nie” daje ci czas na przemyślenie sprawy. Nie włożysz ręki do ognia, powiesz „nie”, zastanowisz się, czy jest ci to do czegoś potrzebne, i dopiero podejmiesz decyzję. To czas, kiedy jesteś wolny.

Nie bałeś się, że staniesz się zakładnikiem tekstu ojca i zabraknie ci odwagi na powiedzenie „nie”?

Chwała bohaterom, pamięć poległym, ale musimy iść dalej i się rozwijać.

– Najwięcej obaw miałem w momencie, gdy w ogóle powstał pomysł, żebym zrealizował ten film. Myślę, że dlatego zaprosiłem do współpracy Piotra Kielara, Jacka Borcucha i Jana Komasę. Wtedy pomyślałem, że to powinien być wielogłos, mowa ptaków, a więc mowa artystów. Teraz sądzę, że zaprosi-

łem ich, ponieważ nie byłem w stanie rozczytać scenariusza obiektywnie, poszczególne

sceny migotały mi wewnętrznymi sprawami rodzinnymi. Dzięki świeżemu spojrzeniu osób z zewnątrz postacie wyszły trochę z rodzinnego kręgu.

Ostatecznie dostali swoje filmy i nie wyreżyserowali swojej części, ale jestem im bardzo wdzięczny, ponieważ ich wkład dał mi siłę do zrealizowania „Mowy ptaków”. Piotr Kielar był ponadto przez cały proces twórczy ogromnym wsparciem, zrealizował kilka pierwszych dni zdjęciowych. Wykazał się ogromną odwagą, dał wszystkim wiarę, że to może się udać. Było to o tyle ważne, że początkowo mieliśmy obawy, czy nie popadniemy w śmieszność, błędnie przekładając na ekran specyficzny tekst ojca, czerpiący z Gombrowicza czy Witkacego.

Scenariusz Andrzeja Żuławskiego jest także ciekawą diagnozą społeczeństwa. W jednej z pierwszych scen filmu uczniowie nakładają na głowę nauczyciela kosz, bo oburza ich jego wykład o chrzcie Polski. Historia jest dzisiaj jednym z głównych zapalników konfliktów politycznych?

– Polityka historyczna ma bardzo duży wpływ na młodych ludzi, którym łatwo przekazać mylne informacje. Ale czy polityka historyczna powinna w ogóle być dziś tematem? Media, edukacja, także kino, krążą wokół historii, a dzisiaj powinniśmy uświadamiać społeczeństwo, jakie zagrożenia pojawiają się wraz ze zmianami klimatycznymi czy innymi globalnymi przemianami. Nie przygotowujemy młodych pokoleń na prawdziwe wyzwania, zastanawiając się zamiast tego, czy AK walczyła z „komuchami”, czy z faszystami. Chwała bohaterom, pamięć poległym, ale musimy iść dalej i się rozwijać.



Sebastian Fabjański w „Mowie ptaków”.

► W szkołach młodym ludziom sęczy się do głowy, że Polska jest w stałym niebezpieczeństwie i wszyscy czyhają na naszą dopiero co wywalczoną wolność. Jeśli po szkole taka osoba nie przeczyta odpowiednich książek, nie zastanowi się nad tym, co zostało jej przekazane, może się czuć zagrożona i tkwić w takiej narracji. Wtedy młody człowiek sięga po autorytety i ideologie, które gwarantują mu poczucie bezpieczeństwa.

A ty czujesz się wolny od ideologii?

– Nie chciałem dać się zatruć jakąkolwiek ideologią. Cały czas

chciałbym pozostać świadomy tego, co się dzieje. Burza ideologiczna, która wokół nas się toczy, trawi mój umysł. Chciałbym, aby rządzący zwolnili nas z tej burzy, ale oni napędzają propagowane przez siebie ideologie działaniami ludzi, którzy zaczy-

Dlaczego słowo patriotyzm musi dziś tak groźnie brzmieć?

nają w nie wierzyć. Nawet gdybym bardzo chciał myśleć o ratowaniu przyrody, część mojego umysłu zajmuje myślenie o nawrocie faszyzmu i nacjonalizmu w Polsce. Dlaczego

słowo patriotyzm musi dziś tak groźnie brzmieć? Dla mnie zawsze patriotyzm sprowadzał się do przysłowia „Gość w dom, Bóg w dom”, a więc do bycia człowiekiem tolerancyjnym, otwartym, akceptującym inności. Myślę, że na nowo musimy się nauczyć

akceptować ludzi różnie postrzegających rzeczywistość. Moja mama, buddystka, mówiła: „Jedność w różnorodności”. Jeżeli potrafimy akceptować różnorodność, możemy w tym być jednością.

Ludzie nie są świadomi zagrożeń współczesności, tkwiąc w przeszłości i fiksacji ideologicznej. Jak powinniśmy przeciwdziałać tym prawdziwym zagrożeniom, a więc przede wszystkim zmianom klimatycznym?

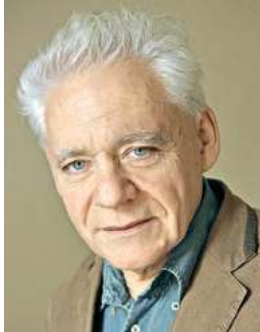
– Rewolucja nie może wychodzić od jednostek. Mark Zuckerberg czy założyciele Google’a pstryknięciem palców mogliby uratować nasz świat, zjednoczyć wokół siebie milionowe rzesze ludzi. Zamiast tego na razie Facebook czy Google przyczyniły się do upadku rządów demokratycznych. Twórcy tych platform dali nam narzędzia i pozwolili robić, co nam się podoba. Korzystają na tym służby specjalne różnych krajów, które przejmują nasze urządzenia i robią nam pranie mózgu. Powinniśmy masowo zażądać od nich, żeby się opodatkowali i ujawnili. Tak jak wiemy, kto zasiada w Sejmie, powinniśmy też wiedzieć, kim są ludzie, którzy tworzą programy i algorytmy. O wprowadzaniu nowych rozwiązań powinniśmy decydować w normalnych wyborach. Niestety, wszystko odbywa się poza naszą wiedzą i kontrolą.

Potrzebna jest zmiana podejścia, bo model wyzyskiwania ludzi przekroczył wszelkie granice. Kapitalizm w swojej okrutnej formie dąży do spieniężenia wszystkiego, a cierpi na tym natura. Wszystkie lodowce topnieją, Arktyka, Syberia i tajga stoją w ogniu. Jeden z moich bohaterów mówi: „Żeby było po prostu, musi wydarzyć się cud”. W naszym przypadku cud to kataklizm; zaleje nas woda, ludzie zaczną żyć „po prostu” i będą od nowa budowali nasz świat.

Dawid Dróżdż

Wywiad przeprowadzony podczas 19. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Nowe Horyzonty

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Pocztówka z Grecji

Kefalonia, grecka wyspa pogrążona w upale i błęki- cie. Na grzbietach wysokich gór stoją wiatraki. Jak można było tak okaleczyć krajobraz? Plaża blisko hotelu, piasek w kolorze cynamonu, gdy pójdzie się kil- kaset metrów w bok, robi się coraz węższa, ludzi coraz mniej, a za plecami rosną wysokie klify z glinki w ko- lorze grafitowym. Osobliwość przyrodnicza. Plażowicze smarują się tą glinką od stóp do głów, bo podobno od- mładza. Biedni, nie wiedzą, że nic im nie pomoże. Plaża jest pełna dowodów na to, że czas nikogo nie oszczędzi. W walce o młodość, o lepszy wygląd ludzie są wzru- szająco niekonsekwentni. Smarują się cudowną glinką niewiasty tak opasłe, że ledwie chodzą, i faceci niosą- cy przed sobą wielkie brzuchy. Posmarować się o wiele łatwiej, niż schudnąć. Jak trudno schudnąć, dowiaduję się codziennie, odchudzając się od jutra. W hotelu z *all inclusive* odchudzanie się byłoby udręką. Jak zawsze przeraża mnie w takich miejscach marnotrawstwo jedze- nia i te jednorazowe kubki, talerze, rurki – tony plastiku idą do śmieci. Teraz robi się o tym głośno, drobinki pla- stiku wypełniają oceany. Ale czy nie jest już za późno? Nasza planeta zmienia się w wysypisko śmieci. Ja też korzystam z tych jednorazówek, chociaż czuję się tak, jakbym uczestniczył w przestępstwie.

Od kilku lat chrapię. Zawsze uważałem, że to obrzydliwe. Dźwięk niehumaniczny, żalosny, udręka dla tych, którzy śpią z chrapaczem. Opaski nakładane na głowę nie działają, inhalatory nic niewarte. Pewna kobieta dała żonie dobrą radę: „Jest tylko jedno lekarstwo – rozwiść się. Ja to zrobiłam i mam spokój”.

Do tej pory udawało nam się wynajmować w czasie wyjazdów dwa pokoje, więc byłem izolowany. Teraz ma- my tylko jeden. Kolejny środek, który po raz pierwszy tu testuję, to specjalne plastry, którymi okleja się okolice ust. Chrapałem w nich podobno ciszej, ale i tak byłem budzony. W desperacji zajrzałem do toalety, by spraw- dzić, czy da się tam spać. Ujrzałem na białej jak śnieg podłodze robaka, który w biegu zadrwił ze mnie i zapy- tał: chcesz spać ze mną? Wróciłem przegrany do łóżka. Sen nadal nie przychodził, więc powlokłem się na taras. Nasz pokój przyziemny, taras poniżej trawnika zdawał się z ziemią oddychać. Hotel spał, ludzie śnili sny w wielu językach. Co jakiś czas z małego hotelowego wesołego miasteczka dobiegały melodyjki z mechanicznych urzą- dzeń do zabawy. Rozbrzmiewały w nocnej ciszy, jakby urządzenia gadały przez sen. Nagle na murku tarasu

ujrzałem polną mysz; biegła tam i z powrotem, zatrzy- mała się, popatrzyła na mnie i powiedziała, że są większe nieszczęścia niż chrapanie i bezsenność. Po czym zniknę- ła w gęstym futrze trawy. Gwiazdy świeciły blado, tylko planeta Venus jaśniała pełnym blaskiem.

Przejechaliśmy Kefalonię wzdłuż i wszerz, to nie są wielkie odległości, ale podróż spowalniają górskie drogi. Mało tu zabytków i starych domów, bo wyspę nawiedza- ły trzęsienia ziemi, ostatnie wielkie w roku 1953. Może dobrze, że mało tu zabytków. Coraz bardziej męczy mnie oglądanie ruin, strzępków, ułamków dawnych cywilizacji. A zrezygnować z tego nie potrafię. Na Itakę płynie się z Kefalonii promem pół godziny. Wyspa o wiele mniej- sza, cała z gór, kojarzy się z Odyseuszem, który był tam królem w eposie stworzonym przez Homera. Odeszły w niebyt cywilizacje, a ta opowieść ciągle żywa. Pene- lopa, wierna żona, czekała na męża 20 lat, opędzając się od zalotników.

W walce o młodość, o lepszy wygląd ludzie są wzruszająco niekonsekwentni.

W miasteczku Vathi stoi pomnik Penelopy, pochodzi już z naszych czasów, kiedy sztuka stawiania pomników zupełnie podupadła, więc doprawdy dziw bierze, że Odys chciał do niej wracać, a zalotnicy byli tak wytrwali w awansach. Wyspa ma zaledwie 3 tys. mieszkańców, a turyści jeszcze jej nie zdeptali.

Pytam Greków o krach finansowy sprzed kilku lat, to powinno nas żywo obchodzić, bo wielu ekonomistów uważa, że Polska kroczy teraz drogą Grecji. Jest podob- no trochę lepiej, ale sporo ludzi bieduje. Średnia pensja wynosi 700 euro, a koszty życia są wyższe niż u nas. Młodzi kończą studia, by emigrować. W latach 90. była duża emigracja z Polski do Grecji, ludzie szukali tu pracy. Teraz wielu Greków jedzie do Polski w tym samym celu.

W małej tawernie widzę czterech siwych wścazy, myślę: greccy wieśniacy celebrytują sjęstę. Ze zdumie- niem słyszę, że mówią po polsku. Turyistów z Polski na Wyspach Jońskich pełno, są wszędzie, chyba najwięcej ich ze wszystkich nacji.

Debiutanci i nobliści

Widz i teatr czekają na dobre teksty,
które dotyczą ważnych spraw naszych czasów

20 NOWOŚCI NA AFISZU

Tomasz Miłkowski

Miniony sezon teatralny obfitował w prapremiery polskich i obcych dramatów, a także nowe adaptacje dawnych i całkiem nowych utworów. Spośród dobrej setki takich wydarzeń – a pominąłem monodramy, spektakle muzyczne i dla dzieci – wybrałem 20, które budzą apetyt na powtórkę w innych teatrach.

Zresztą tak już się dzieje – np. „Tchnienie” wystawiono w trzech teatrach: poza Narodowym w Tarnowie i w Gliwicach. To potwierdzenie, że widz i teatr czekają na nowe teksty, które, tak jak te wybrane przeze mnie, dotyczą ważnych spraw naszych czasów.

#CHYBANIEJA, scenariusz Artur Pałyga, reżyseria i muzyka Paweł Passini, Teatr Maska w Rzeszowie, Studio 2 Polskiego Radia, spektakl przedpremierowy 9 marca 2019.

Przypadki pedofilii uprawianej i tuszowanej w Kościele doprowadzają jednego z bohaterów, młodego wikarego, do porzucenia stanu duchownego. To stało się powodem próby zablokowania premiery w rzeszowskim Teatrze Maska. Zaprotestowało liczne grono twórców kultury, a patronującemu Festiwalowi Nowe Epifanie Centrum Myśli im. Jana Pawła II ani przez myśl nie przeszło, aby przedstawienie wykreślać z programu. Spektakl zagrany na otwarcie festiwalu przyjęty został niemal owacyjnie, choć z należytą powagą. Czy ktoś inny odważy się na jego wystawienie?

DAWID JEDZIE DO IZRAELA, reżyseria Jędrzej Piaskowski, dramaturgia Hubert Sulima, TR Warszawa, spektakle grane w Muzeum Polin, premiera 8 września 2018.

Trudny temat relacji polsko-żydowskich Piaskowski ukazuje w innej perspektywie – mówi językiem groteski. Oswaja temat „obcego w domu” przez wykrzywienie, odwrócenie, przeinaczenie i wyśmianie. Aktorzy TR Warszawa imitują zwiedzanie wystawy, która z okazji rocznicy Marca '68 została otwarta w Muzeum Polin, a spektakl jest grany w audytorium muzeum, piętro wyżej nad salą wystawową.

DEPRAWATOR Macieja Wojtyłki w reżyserii autora, Scena Kameralna Teatru Polskiego w Warszawie, prapremiera 28 września 2018.

Trzeba niezwykłego talentu i umiejętności rozkładania akcentów, aby nie stroniąc od słabostek wielkich artystów, kabotyństwa Gombrowicza (wielka rola Andrzeja Seweryna) i skłonności do butelki Miłosza, ukazać ich zawiłą przyjaźń. Nie tylko dowcipnie, ale także z należytą uwagą dla intelektualistów, którzy potrafili mierzyć się z prawdą o własnym narodzie. Na ich tle irytująco pre-

zentuje się Herbert, wtedy poeta młody, ale już świetny, mający jednak problem z dystansem do narodowej tromtadacji.

DZIECI KSIĘŻY według Marty Abramowicz, adaptacja Elżbieta Chowaniec, reżyseria Daria Kopiec, Scena na Woli im. Tadeusza Łomnickiego, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, premiera 17 maja 2019.

Moment wejścia spektaklu na afisz nie mógł być lepiej dobrany. Po pojawieniu się w sieci filmu braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu” widz został szczególnie uczulony na to wszystko, co zasłonięte w Kościele katolickim. Tak jak pedofilia, również ten temat – dzieci księży, którzy żyją w nieformalnych związkach z kobietami, uważany był długo za tabu. Od czasu do czasu tylko pojawiał się w reportażach, publikacjach socjologicznych albo filmach (jeden z wątków „Kleru”).



FANTAZJA POLSKA Macieja Wojtyłki, opracowanie tekstu i reżyseria Andrzej Strzelecki, Teatr Ateneum, prapremiera polska 17 listopada 2018.

Wojtyłko przekornie dowodzi, że przypadek rządzi światem. Jego komedia nie jest utworem historycznym, to fantazja właśnie, także fantazja Paderewskiego (w tej roli Krzysztof Tyniec, przypominający Janusza Olejniczaka grającego Chopina w filmie Andrzeja Żuławskiego „Błękitna nuta”), który odegrał ważną rolę w skłonieniu prezydenta Wilsona do wsparcia sprawy polskiej. Napisane to zostało lekko, choć zawiera też (fikcyjne) akcenty poważne. Sztukę wystawiono na stulecie niepodległości, spuszczając nieco powietrza z towarzyszącego tej rocznicy pompierstwa, rozładując napięcie nadętych obchodów.

FATALISTA Tadeusza Słobodzianka, reżyseria Wojciech Urbański, Scena im. Haliny Mikołajskiej, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, premiera 15 lutego 2019.

Autor nazwał tę słodko-gorzką sztukę nawiązującą do opowiadania Singera „historią romantyczną w IV scenach”. Smaku przydaje jej sceneria: odniesienia do ży-

dowskiej dzielnicy międzywojennej Warszawy (przez okno widać kamienice przy Krochmalnej – ukożanej ulicy Singera), starannie odtwarzane tradycje szabasowe, centralnie usytuowany stół, na którym znajduje się świąteczny złocisty rosół. Przedstawienie toczy się w rytmie komedii konwersacyjnej, która może wciąż przykuwać uwagę, jak to się dzieje w tym koncertowym duecie o miłości, zdradzie i przywiązaniu.

INNI LUDZIE Doroty Maślowskiej, reżyseria, adaptacja i scenografia Grzegorz Jarzyna, sala ATM, TR Warszawa, premiera 15 marca 2019.

Hip-hopowy poemat-musical o Warszawie końca drugiej dekady XXI w. w okowach neokapitalizmu, smogu i zatrzymującej umysł ksenofobii przyobłął kształt przeżającego trafnością diagnoz widowiska. Jarzyna, eksponując żywioł języka, który u Maślowskiej zawsze jest probierzem i jądrem rzeczywistości, zaprzęga do maszyny teatralnej zsynchronizowane z akcją sceniczną: muzykę, chóry, projekcje wideo i całą armię współpracowników. Nagrania wideo ukazują pulsujące miasto, wpisanych w greenboxy aktorów, którzy co chwila wyłaniają się z nich na plan żywego teatru, sugestywną animację. Wędrowka Kamila Janika (Yacine Zmit), drobnego kombinatora z blokowiska, niespełnionego autora rapowej płyty, który niczym anty-Odys krąży po Warszawie w poszukiwaniu jakiejś szansy, odśladania świat skarlałych pragnień, zwichniętych relacji i pogorzelska idei.

IRONBOUND. ZA TORAMI, ZA MOSTEM

Martyny Majok, tłumaczenie Szymon Wróblewski, reżyseria Grzegorz Chrapkiewicz, Scena Studio, Teatr Narodowy, premiera 30 marca 2019.

Ironbound to nazwa dzielnicy Newark, gdzie Daria (przejmująca rola Ewy Konstancji Bułhak) dorabia jako sprzątaczką. Świetny tekst, rozegrany w napięciu, w sugestywnie skomponowanej przestrzeni, gęstej atmosferze. Poruszający jak dramaty brutalistów, ale wzmocniony silnym akcentem wykluczenia społecznego imigrantów. Młoda pisarka polskiego pochodzenia oswaja w tej sztuce dramat swojej matki, wzbudzając rosnący zachwyt Amerykanów (Nagroda Pulitzera za dramat „Koszt życia”). Teraz otwiera sobie drogę na polskie sceny poruszającym spektaklem Grzegorza Chrapkiewicza. Prawdziwe odkrycie sezonu.

I ŻE CIĘ NIE OPUSZCZĘ Gérarda Watkina, tłumaczenie Aleksandra Stelmach, reżyseria Aldona Figura, Scena Przedownik, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, premiera 16 marca 2019.

Dramat dowodzący, że związek, w którym pojawia się przemoc, staje się niebezpieczny dla obu stron. Dla tego, który sięga po przemoc, i dla tej, która przemocy ulega. Sesje terapeutyczne, w których jako widzowie uczestniczymy, nie zdołają tej przepaści między ludźmi zasypać. Aldona Figura do ukazania tych chorych relacji obrała formę „studzącą”, wprowadzając niemal rapsodyczne reguły gry i minimalną dekorację. Przemoc łączy się przecież w słowach.

JAK BYĆ KOCHANĄ Kazimierza Brandysa, reżyseria Lena Frankiewicz, adaptacja Małgorzata Anna Maciejewska, Scena przy Wierzbowej, Teatr Narodowy, premiera 2 lutego 2019.

Opowiadanie Brandysa, zapamiętane dzięki ekranizacji Wojciecha Hasa z Barbarą Krafftówną w roli Felicji (1963), na scenie objawia swoją uniwersalność. Felicja, kobieta

z obumarłym sercem, finezyjnie grana przez Gabrielę Muskałą, ogląda samą siebie we wciąż powracającym koszmarze okupacji hitlerowskiej niemal jak kogoś obcego. Lena Frankiewicz maluje życie Felicji niemal w minimalistycznej konwencji, ascetycznie i przekonująco.

JAK OCALIĆ ŚWIAT NA MAŁEJ SCENIE?, reżyseria

Paweł Łysak, tekst Paweł Łysak i Paweł Sztarbowski, Mała Scena, Teatr Powszechny, premiera 9 listopada 2018.

Coraz mniej takich, którzy pokpiwają sobie z nadciągającej katastrofy ekologicznej. Spektakl Łysaka przekonuje, że pora wreszcie coś z tym zrobić i radykalnie zapobiec nieszczęściu. Opowieści bohaterów o losach ich ojców (trzech mężczyzn z Afryki, Polski i Ukrainy) mają siłę wiarygodności, bo wywiedzione zostały z ich osobistych doświadczeń. Przedstawienie wpisuje się w misję przekraczania barier kulturowych i wzajemnego zrozumienia ludzi (nie tylko artystów).



DAWID JEDZIE DO IZRAELA

ŁOWCA Dawn King, tłumaczenie Kamila Jansen, reżyseria Wojciech Urbański, Scena 61, Teatr Ateneum, premiera 11 maja 2019.

Debiutancka sztuka Dawn King nawiązuje do antyutopii w duchu Orwella. Ukazuje świat bezwzględnie kontrolowany i regulowany strachem. Trzymająca w napięciu opowieść, z wyrazistymi rolami i sugestywną ilustracją muzyczną, buduje atmosferę thrillera będącego przestrożą przed światem w rękach fanatyków, którzy posługują się manipulacją i represjami.

MIASTO BIAŁYCH KART José Saramago, tłumaczenie Wojciech Charchalis, adaptacja i reżyseria Ewa Rucińska, Teatr-Galeria Studio, premiera 9 marca 2019.

Trzech przedstawicieli obozów politycznych: prawicy, centrum i lewicy, toczy grę o władzę, której ofiarą jest Kobieta, reprezentująca inwigilowanych obywateli. Linia emocjonalna adaptacji biegnie od atmosfery niezobowiązującego kabaretu aż po parabolę zniewolenia – w duchu powieści noblisty, celnie wygrana na lokalnych i uniwersalnych klawiszach.

MIŁOŚĆ OD OSTATNIEGO WEJRZENIA Vedrana Rudan, tłumaczenie Marta Dobrowolska-Kieryt, reżyseria Iwona Kempa, Scena im. Haliny Mikołajskiej, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, premiera 9 listopada 2018.

Rzecz o przemocy uprawianej przez mężczyzn. Zaczyna się to już w latach dzieciństwa, kiedy dziewczynka spotyka się z brutalnością ojca, poniżaniem, biciem, lek-

► ceważeniem, wyzweśkami, zakazami. Biernie przygląda się tej tresurze zastraszona matka. Potem przychodzi kolej na wyśnionego księcia z bajki, który okazuje się despotą, żądającym od kobiety całkowitego podporządkowania. W roli poniewieranej Matki wstrząsająca Małgorzata Niemirska.

NAJMRÓDZKI, CZYLI DAWNO TEMU W GLIWICACH Michała Siegoczyńskiego, reżyseria autora, Teatr Miejski w Gliwicach, premiera 30 listopada 2018.

Jeśli mierzyć sukces teatru liczbą nagród, jakie otrzymał w konkursie na wystawienie nowego dramatu polskiego, ten pozostawił konkurencję daleko w polu. Jacek Sieradzki nazwał to przedstawienie balladą łotrzykowską, której siłą jest zespół aktorski z Mariuszem Ostrowskim w roli tytułowej. Wprawdzie zauważył dłużyzny i powtórzenia, ale publiczność odpowiedziała zachwytem – na niemal czterogodzinne przedstawienie trudno w Gliwicach o bilety. Nastroj zwycięstwa psuje niezrozumiała decyzja dyrektora teatru, który nie przedłużył kontraktu ze swoim zastępcą ds. artystycznych Łukaszem Czujem, niewątpliwym współautorem sukcesu młodej sceny.

NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN według Ericha Marii Remarque'a, scenariusz i reżyseria Karolina Kirsz, Teatr WARSawy, premiera 27 czerwca 2019.

Włączając do scenariusza osnutego wokół powieści Remarque'a sceny ilustrujące przygotowania do patriotycznej zabawy rekonstrukcyjnej, Karolina Kirsz obnaża niezbyt wzniosłe intencje takich działań i ich edukacyjną mialkość. Konfrontacja gier rekonstrukcyjnych z prawdziwym polem walki wypada dla tych gier nader negatywnie. Inteligentny dialog z klasyką na tematy aktualne.

PAN EIN I PROBLEMY OCHRONY PRZECIWPOŻAROWEJ Wiktora Szenderowicza, tłumaczenie Jerzy Czech, reżyseria Wojciech Adamczyk, Teatr Współczesny w Warszawie, prapremiera światowa w kwietniu 2019.

Komedia Szenderowicza nawiązuje do dramatu „Biedermann i podpalacze” Maxa Frischa. Podobieństwo polega przede wszystkim na tym, że w domu bogatego przedsiębiorcy osiedlają się podpalacze. U Frischa to zwykła szajka rzekomych ofiar pożarów szalejących w mieście, u Szenderowicza elita władzy. Zabieg, jakim posłużył się pisarz, polega więc na utożsamieniu władzy z przestępcami. W dramacie ta „dobra zmiana” następuje niemal aksamitnie, w atmosferze komediowej, podkreślanej przez aktorów, wśród których (i w sztuce, i na scenie) rej wodzi Mer Miasta w niemal farsowym ujęciu Andrzeja Zielińskiego. Sama też inscenizacja wydobywa wisielczy pożarniczy humor.

RECHNITZ. OPERA – ANIOŁ ZAGŁADY według dramatu Elfriede Jelinek, tłumaczenie, adaptacja i dramaturgia Monika Muskała, reżyseria Katarzyna Kalwat, muzyka Wojtek Blecharz, TR Warszawa, premiera 7 lutego 2019.

Zdarzyło się to na pograniczu austriacko-węgierskim. Na zamku Rechnitz pod sam koniec wojny hitlerowcy, goście baronowej Margit von Batthyány wymordowali niemal 200 jeńców – robotników przymusowych. Ten ukrywany wstydlivie epizod z czasów pogardy prze-

tworzyła dla teatru Elfriede Jelinek. Na tej podstawie powstało dzieło „Rechnitz. Opera” Wojtka Blecharza w reżyserii Katarzyny Kalwat i adaptacji Moniki Muskały. Że jest niezwykle, było już wiadomo po pierwszych pokazach podczas Warszawskiej Jesieni, a premiera w TR Warszawa potwierdziła, że wybór formy okazał się idealny. Aktorzy (Cezary Kosiński, Magdalena Kuta, Lech Łotocki, Paweł Smagała, Tomasz Tyndyk, Agnieszka Żulewska) i muzycy z zespołu Cellonet stworzyli przejmującą opowieść o uniwersalnym wymiarze. Tu chodzi nie tylko o zbrodnię w Rechnitz, ale również o ocalenie ludzkiej wspólnoty.



REJWACH Mikołaja Grynberga, adaptacja i reżyseria Andrzej Krakowski, Teatr Żydowski, premiera 27 października 2018.

Opowieści ludzi o chwiejnej tożsamości, ukrywających albo odkrywających swoją stłumioną żydowskość, broniących swojej polskości, żądających od autora wsparcia albo zaświadczenia, kim są, a przynajmniej rady, co mają ze sobą począć. Grynbergowi udało się oddać duszną atmosferę niepewności, wyparcia, buntu pamięci, która domaga się ujawnienia, Krakowskiemu zaś – wydestylować z tych opowieści nie tylko aurę, ale i linię dramaturgiczną, która prowadzi do samoidentyfikacji. Mądry i ważny spektakl. Najlepszy dowód, że Teatr Żydowski daje sobie radę w niełatwych warunkach działania, bez własnej siedziby, a co więcej – wciąż poszukuje nowych przestrzeni i nowego języka.

TCHNIENIE Duncana Macmillana, tłumaczenie Anna Gujska, reżyseria Grzegorz Malecki, Scena Studio, Teatr Narodowy, premiera 8 września 2018.

Od Teatru Narodowego szybszy okazał się teatr tar-nowski, gdzie miała miejsce prapremiera polska tej sztuki (pod innym tytułem – „Płuca”, 29 kwietnia 2018). To najlepszy dowód, że Duncan Macmillan (ur. 1980) przebijają się do polskiego widza. „Oddychaj”, powtarza Jej (Justyna Kowalska) On (Mateusz Rusin) w trudnych chwilach, kiedy kobieta zaczyna tracić oddech. Zatykają ją stres, niepokój świata, codzienne troski, niepewność. Bohaterowie mogą liczyć tylko na słowa i towarzyszące im gesty, grymasy, intonacje, zawieszenia głosu. Jak bowiem zasugerował autor, na scenie nie ma żadnych dekoracji, muzyki, nawet światło pozostaje niezmiennie. To aktorzy muszą sobą zbudować całą dramaturgię.

Tomasz Miłkowski

Polski Homer I wojny światowej

Edward Mikołajczyk

Co trzeba przeżyć i ile mieć w sobie intelektualnej determinacji, żeby powiedzieć publicznie: lepiej być żebrakiem w Paryżu niż milionerem w Nowym Jorku! Może wystarczy urodzić się na Podolu, być żołnierzem austro-węgierskiej piechoty w I wojnie światowej, żyć i pracować we Lwowie, w Łodzi i Warszawie, a potem udać się na emigracyjną tułaczkę po Europie, by w końcu wylądować w Ameryce. Taką życiową kalwarię, aż do śmierci w Nowym Jorku w roku 1976, odbył polski pisarz Józef Wittlin.

Witold Gombrowicz, bezlitosny krytyk literatury międzywojnia, wymienienia w dziennikach „Sól ziemi” Wittlina jako książkę, która „wystrzeliła z hukiem armatnim” i święci triumfy za granicą. Była przed wojną chyba najpoważniejszą polską kandydatką do Nobla.

Przeczytałem właśnie „Zdrową śmierć”, która miała rozpocząć drugą część zamierzonej trylogii „Powieść o cierpliwym piechurze”. Oto scena spowiedzi umierającego żołnierza, do czytania nie tylko we wrześniu, bo zawiadomienia o powołaniu nie zawsze czekają na koniec lata.

Umiera Łeś Nedomochodiuk, *landsturm infanterist*, czyli zwyczajne zero na wojnie. Jako Hucul z Galicji oczywiście przysięgał oddać życie za Franciszka Józefa, z bożej łaski cesarza Austrii, apostolskiego króla Węgier i kilkunastu innych państw, księstw i ludów. W cywilu nie interesowały go wydarzenia dziejowe, nic go nie obchodził cesarz ani jego wrogowie.

Przed wyruszeniem na front jego oddział uczył się obsługi karabinu maszynowego systemu Schwarzlose, kaliber 8. Nowa automatyczna broń miała wiele zalet, ale jedną wadę. Szybko nagrzewająca się lufa wymagała częstego chłodzenia wodą. Akurat ćwiczone „ostateczne ewentualności”, kiedy Łesiowi skończyła się woda i maszynowier umilkł.

„Na co czekasz, lej!”, ryknął do szeregowego *stabsfeldwebel* Bachmatyuk. „Nie mogę”, zameldował Łeś i zaraz potem odepchnął kolegę, któremu kapral rozkazał odpaść guziki od rozporka sąsiada. Na końcu sam Bachmatyuk dobrał się do guzików w spodniach Łesia i w imieniu cesarza mu zapodał: „Ja tobie rozkazuję, lej!”. Skutek był ten sam, wściekły kapral zdążył tylko wysyczeć, że wypuścił z niego duszę. I tak się stało. Zaaplikował Łesiowi serię karnych ćwiczeń, po których nieprzytomnego odniesiono na izbę chorych.

Łeś nie bał się śmierci, ale potępienia wiecznego jak najbardziej. Błagał o księdza, który by go wypowiadał, bo czuł, jak życie z niego ucieka, a grzechy, zwłaszcza przeciwko szóstemu przykazaniu, mu się skumulowały. Ostatniej postugi podjął się jedyny w sztabie ks. dr Szakaly.

Wyglądało to tak: w izbie pełnej chorych, odgradzony parawanem od reszty, konający żołnierz głośno po ukraińsku woła o przebaczenie, zwracając się do różnych znajomych, którym bałamucił żony i narzeczone, a po-

chylony nad nim ksiądz szepcze mu coś do ucha po węgiersku. Głos żołnierza, z początku dramatyczny, powoli cichnie...

Spowiednik nie rozumiał ani jednego ukraińskiego słowa, penitentowi było wszystko jedno, co słyszy w niezrozumiałym języku. Zwyciężyło miłosierdzie. Łeś mógł spokojnie umierać. Historia dotąd milczy, czy umierał za cesarza, czy tylko za samego siebie.

Czy jest do wyobrażenia piękniejsza scena w filmie antywojennym?!

Ale „Sól ziemi” to nie jest powieść pacyfisty. Jej pacyfizm jest tylko pretekstem, jak pisał sam autor, do ujawnienia absurdu rzeczy niby-racjonalnych, jak wojny i zabijanie. Główny bohater książki Piotr Niewiadomski, tragarz kolejowy, dróżnik i analfabeta, całe życie sądził, że człowiek tylko wtedy jest pojmany, gdy mu ktoś żywy i silniejszy skrepuje ręce, schwyci za kark i obali na ziemię. Dopiero w dniu,

w którym żandarm Durek przeczytał mu, że trzeźwy i umyty ma się stawić na przegląd wojskowy, uznał, że istnieją też siły niewidzialne, zdolne obezwładnić człowieka i pozbawić wolności. Sam nie umiał czytać, ale wiedział, że czarne literki wezwania, które w jednym

Rodacy, przeczytajcie Józefa Wittlina, własnego Homera, zanim znowu coś się zacznie.

momencie przesądziły o jego losie, to tylko końcówki niewidzialnych nici, które „idą jak druty telegrafu aż z Wiednia, od samego cesarza”.

W moim poźółkłym i rozlatującym się wydaniu „Soli ziemi” jest mądry esej, w którym Zygmunt Kubiak odkrywa klucz homerycki w poezji i prozie Józefa Wittlina. Nazywa pisarza polskim homerydą, notabene Wittlin przełożył „Odyseję”, za co dostał w 1935 r. nagrodę polskiego PEN-Clubu.

Rodacy, przeczytajcie własnego Homera, zanim znowu coś się zacznie.





PEWNEGO RAZU... W HOLLYWOOD

reż. Quentin Tarantino, prod. USA, już w kinach

Ze względu na udział w produkcji Rafała Zawieruchy premiera w Cannes emocjonowała się cała Polska. Aktor wciela się w młodego Romana Polańskiego, który charyzmą, talentem i niepokornością zdobywa Hollywood. Szkoda, że Zawierucha nie ma okazji zdradzić się z podobnymi cechami. Znany z wycinania nawet utytułowanych aktorów (z „Pewnego razu...” wyleciał sam Tim Roth) Tarantino ograniczył jego rolę do kilku mignięć i jednej kwestii dialogowej wygłoszonej do psa. Ale nawet chwila wystarczy, by Polak zapadł w pamięć. A film do krótkich nie należy. Trwa prawie trzy godziny i dzieli się na dwie części. Pierwsza to zabawa zapalonego kinomana w nawiązania. Dla osób, które nie pałają miłością do spaghetti westernów i kina klasy B będzie raczej męcząca. Nadrabia ten mankament druga połowa, w której Tarantino sięga po nasze ulubione środki: przemoc, przesadę, parodię i przepisywanie historii. Nie uwierzycie, jak potoczą się losy filmowej Sharon, w rzeczywistości zamordowanej przez bandę Mansona żony Polańskiego. Powiedzieć, że dostaje drugie życie, to nie powiedzieć nic.



Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Tara Button **MASZ WSZYSTKO, CZEGO POTRZEBUJESZ**

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019

W czasach, gdy księgarnie przypominają świątynie samorozwoju, a poradniki piszą wszyscy – od blogerek po profesorów – ta pozycja naprawdę jest warta uwagi. Tara Button demaskuje stosowane przez marketingowców praktyki, które wzbudzają w nas pragnienie nabywania rzeczy. Krok po kroku odsłania prawdę o świecie, w którym wciąż musimy konsumować. Autorka przywołuje swoje doświadczenia z pracy w agencji reklamowej, sięga do historii, m.in. odtwarza tzw. spiszek żarówkowy, i pokazuje zagrywki branży modowej. Na krytyce i analizie się nie kończy. Button uczy, jak dobrze kupować, jak kompletować trwałą i stylową garderobę, jak z gustem urządzić mieszkanie; jak czuć się szczęśliwym w świecie głupiej konsumpcji. Choć czasem ton książki jest nazbyt pretensjonalny, i tak warto spojrzeć na świat oczami autorki. Lektura obowiązkowa dla każdego, kto chce podejmować przemyślane decyzje dotyczące posiadanych przedmiotów, ograniczyć konsumpcję i zrobić coś dobrego dla środowiska.

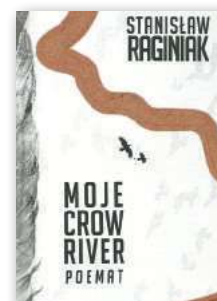


Rafał Pikula

Stanisław Raginiak **MOJE CROW RIVER. POEMAT**

Horizont Idei, Toruń 2019

Kto dziś jeszcze pisze poematy? I to na 70 stron? Na pewno Stanisław Raginiak, poeta i pisarz z Grudziądza, który wczesne lata spędził w Łukcie koło Ostródy. Temu miejscu i ludziom z nim związanym, głównie rodzinie, poświęcił pierwszą część utworu, nawiązującego do poematu „Spoon River Anthology” amerykańskiego poety Edgara Lee Mastersa. Raginiak rozszerza jednak swoją listę wspomnień o Crow River, rzekę w stanie Minnesota, którą poznał podczas pobytu u młodszego brata. A także o postaci poznane podczas wyjazdów za chlebem do demoludów i w czasie wycieczki do Rzymu, gdzie do niedawna mieszkała jego córka. Jak zauważył wydawca w notce edytorskiej, „to rozważania człowieka, który głęboko przeżył swoje życie, jest wdzięczny za to, co było i jest, otwarty na to, co będzie, pełen miłości, silny dzięki wierze, ufny dzięki bliskim mu osobom”. Jest w nim tęsknota za minionym czasem, ale bez żalu, że to już nie wróci. Przyszłość Raginiak widzi we wnukach, którym poemat zadedykował. Poemat szczery do bólu, piękny w wymowie, a tak rzadki w epoce życia na skróty.



Marek Książek

BYLIŚMY

JAK KOCHAĆ, TO CYGANKĘ

Po 170 latach przywrócono do życia odnalezioną niedawno i zrekonstruowaną operetkę Stanisława Moniuszki „Ideal, czyli Nowa Precjoza”. To szalenie zabawna śpiewano-mówiona komedia o zakochanym młodzieńcu, który marzy o miłości do Cyganki, będącej dla niego prawdziwym ideałem. Rodzina i przyjaciele organizują więc cygański tabor. Wystawienia operetki podjął się zespół studentów i absolwentów Akademii Muzycznej we Wrocławiu, a prapremierę pokazano na 57. Międzynarodowym Festiwalu Moniuszkowskim w Kudowie-Zdroju. Przedstawienie pełne żartów, śmiechu, tańca i świetnej muzyki mogłoby wejść do repertuaru wielu polskich, a także zagranicznych scen. Młodzi wykonawcy, w tym Sylwia Gorajek, z pewnością wszędzie wzbudzą zachwyt.

Stanisław Moniuszko, „Ideal, czyli Nowa Precjoza”, libretto Oskar Korwin - Milewski, inscenizacja i reżyseria Roberto Skolmowski, Teatr Pod Blachą, Kudowa-Zdrój, 23 sierpnia 2019



NIECH ŚWIAT ZAŚPIEWA MONIUSZKĘ

Pianista, kompozytor i dyrygent Emilian Madey przygotowuje ogromny projekt popularyzujący pieśni Stanisława Moniuszki. Zamierza wydać nuty i nagrać na płytach wszystkie pieśni ojca opery narodowej, które można śpiewać w obcych językach. Część ogromnego dorobku liczącego 300 utworów Moniuszko sam opatrzył tekstem w tłumaczeniu, np. na francuski, rosyjski i niemiecki. Część tekstów przetłumaczyli inni, np. białoruski poeta Janka Kupala. Sporą część obcej poezji wyszukał zaś Emilian Madey i podłożył pod melodie Moniuszki. Powstał zbiór kilkuset polskich pieśni w językach obcych, które pomysłodawca chce wydać w czterech tomach. Na razie Madey z młodymi śpiewakami prezentuje pieśni na koncertach „Moniuszko for the World”. Ostatnio w Kudowie-Zdroju.

Bronisław Tumilowicz



ZASŁUCHAJ SIĘ

Stefani
**CUD MNIEMANY,
CZYLI KRAKOWIACY
I GÓRALE**

NIFC

Pierwsza polska opera, „Krakowiacy i Górale” Jana Stefaniego i Wojciecha Bogusławskiego, była mocnym akcentem 15. Festiwalu Chopin i Jego Europa. Równocześnie odbyły się wykonanie na żywo w czesko-polskiej obsadzie solistów i z czeską orkiestrą instrumentów dawnych Collegium 1704, oraz premiera dwupłyty albumu z pełną wersją, śpiewaną, ale też mówioną przez aktorów Teatru Polskiego z Andrzejem Sewerynem na czele. To niezwykle i perfekcyjnie wykonane dokument polskiej kultury i naszej narodowej tożsamości, bo przecież dzieło powstało „na ostatnich resztkach Rzeczypospolitej”, czyli po II rozbiórce Polski. Jego autorami byli kompozytor z Czech i dramaturg Polak. Mimo zbliżającej się wówczas tragedii opera emanuje siłą, humorem i postuluje narodową zgodę.

Franciszek Jacik

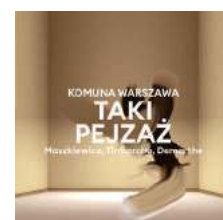


KURTYNA W GÓRĘ

KRAJOBRAZ. MINIFEST

Od 2 do 4 września w Komunie Warszawa trwa przegląd najnowszych spektakli powstałych w ramach Programu Rezydencji Artystycznych w Komunie Warszawa: Hub Kultury. To rzadka okazja obejrzenia aż pięciu spektakli w trzy dni, i to w wyremontowanej siedzibie Komuny Warszawa. Zaprezentowane zostaną „Manat. Romans podwodny” w reżyserii Klauddii Hartung-Wójciak, „Rodos” w reżyserii Wojciecha Grudzińskiego, „Symfonia oddechowa. Jaśnienie” w reżyserii Dobrawy Borkały, „Taki pejzaż” Agaty Maszkiewicz oraz „Rozmowa o drzewach” Weroniki Szczawińskiej. Szczegóły na: komuna.warszawa.pl.

KOMUNA WARSZAWA, 2-4 WRZEŚNIA



Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz



Oni, okapi – 247 kg.



Jabbu, żaba rycząca – 900 g.

I łaciate, i kudłate, pręgowane i skrzydlate...

...są wazone w londyńskim zoo. Co roku opiekunowie spisują wagę i wielkość podopiecznych – zebrane informacje pomagają monitorować ich zdrowie i samopoczucie. Roboty jest sporo, w zoo zamieszkuje 19 tys. zwierzaków. A swoją drogą ciekawe, czy dla każdego gatunku obowiązuje jakiś BMI (ang. *body mass index*), czyli wskaźnik masy ciała.



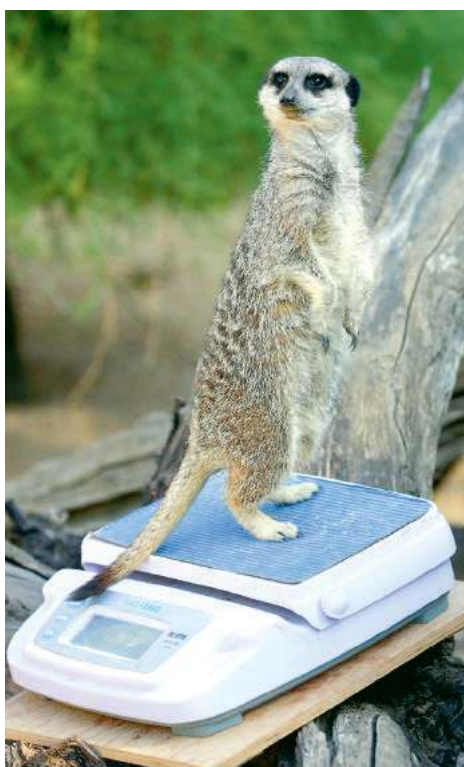
Małpa wiewiórcza zwana też „trupią główką” – podczas sesji fotograficznej nie dała się zważyć. Jej waga zazwyczaj nie przekracza 1 kg.



Młody pyton czarnogłowy – 324 g.



Nancy, jeżozwierz – 14,7 kg.



Dracula, surykatka – 1 kg.



Pingwin Humbolta – 3,718 kg

Szkolenia WORDPRESS

Dedykowane szkolenia dla firm:

- projektowanie stron internetowych
- zarządzanie stroną www
- administrowanie stroną www
- modyfikacja / rozbudowa strony
- sklep WooCommerce

www.cmswordpress.edu.pl



 **SzkoleniaMi.pl**
Profesjonalne szkolenia informatyczne

Óscar Martínez

Dziewczyny, które nikogo nie obchodzą

Szantaż sprawia, że handel kobietami wcale nie wygląda na handel

Głos Keny brzmi jak szept. Dziewczyna przeciąga głoski i przymyka czarne oczy, kiedy mówi coś z naciśkiem. Na przykład: „Jestem tu, bo po tamtej stronie nikogo nie mam”.

Jej życie naznaczył potężny magnes, który przyciąga ku sobie ludzi z Ameryki Środkowej. Kiedy była niemowlakiem, w drogę ruszyła jej babcia. Gdy miała cztery lata, na Północ wyjechał ojciec. A w wieku 14 lat zbudziła się pewnego ranka i mamy też nie było. Poszła do góry. Skończyła 15 i starszą siostrę również pociągnęło. Została pod opieką wujostwa.

Potem się streszcza, i to bardzo: „Wuj z ciotką nie dawali mi jeść, zatrzymywali pieniądze przysyłane przez tatę, a ich wychowanie sprowadzało się do bicia”. Babcia, która wróciła wtedy na chwilę z amerykańskimi papierami, zobaczyła, w jakich warunkach żyje jej wnuczka, i postanowiła przerwać jej męki, powierzając ją znajomym. Tyle że to niczego nie zmieniło. Spędziła u tej rodziny następny rok, aż pani domu umarła na zawał. Od tego czasu pan albo ją bił, albo obmacywał. Zadzwoiła do starszej o trzy lata siostry, która wyładowała w mieście Gwatemala i dorobiła się jeszcze dwójki dzieci, prócz tego, które już miała.

Tam, w siódmej dzielnicy stolicy Gwatemali, spędziła z siostrą i szwagrem kilka miesięcy. Atak zazdrości siostry skończył się bijatyką, dziewczyna o mało nie ucieła Keny prawej pierśi nożem. „Strasznie mnie obija, więc uciekałam na ulicę i najęłam się jako kelnerka w barze”.

Pracowała raz tu, raz tam. Pojechała do Puerto Barrios spróbować sił jako tancerka w barze Hong Kong. Tam, wśród docinków koleżanek, nauczyła się tańczyć, podrywać co noc nowych mężczyzn, palić marihuanę i crack, malować się, wciągać kokę i pić, dużo pić.

Z drugiej strony granicy, tej meksykańskiej, wracała od czasu do czasu jedna dziewczyna z Hong Kongu, która miała więcej pieniędzy, niż zarabiała kobiety z Puerto Barrios. „W Huixtli lepiej płacą”, powtarzała młodszemu, takim jak Keny, która miała wtedy 17 lat.

Keny więc bardzo się tym zainteresowała. I wyładowała w Meksyku, w pewnej spelunie w Cacahuatán, El Ranchón. (...)

Keny od siedmiu lat przenosi się z miejsca na miejsce, z Huixtli do Tapachuli, a stamtąd do Cacahuatán. Z jednej knajpy do drugiej, z drugiej do trzeciej.

– Chodzisz z klientami czy tylko zgarniasz żetony?

– Na początku chodziłam. Nie podobalo mi się to, bo musisz iść do łóżka z kimś, do którego nic nie czujesz. Nie wiesz, kim ten człowiek okaże się w pokoju. Niektórzy biją. (...) Teraz tylko tańczę, żetony, drinki.

Na tej granicy nierządu stawki bywają różne. Młodziutka dziewczyna wychodzi drożej niż dojrzała kobieta.

Na tej granicy nierządu stawki bywają różne. Młodziutka dziewczyna wychodzi drożej niż dojrzała kobieta. A „młodziutka” to synonim nieletniej.

A tutaj „młodziutka” to synonim nieletniej, taka po trzydziestce jest już stara. Reszta to tłum.

Pewnego wieczora, kiedy wracałem z rozmowy w Tapachuli, złapałem taksówkę i zapytałem kierowcę o młode dziewczyny, 20-latki, które uprawiają prostytutkę. Złapał się za głowę: „Za późno, kolego, prowadziliśmy kiedyś z kuzynem interes z dziewczynami. Zawoziliśmy je do hoteli i do domów, tylko młódki, ale nie że 20 lat, 14 lub 15, takie załatwialiśmy, Meksykanki i z Hondurasu, podstawialiśmy je prosto do hotelu. 1500 pesos za dwie godziny. Ja inkasowałem połowę”.

Stawki są różne. Im starsza kobieta i o wyraźniejszych rysach indiańskich, tym niższa cena, jakieś 400 pesos za pół godziny. Jeśli młodsza i o jaśniejszej cerze, cena może dojść nawet do 2 tys. Flores, pracownik IOM, opracował własne równanie: „Imigrant-

ka bardziej gwatemalska, bardziej Indianka, uchodzi raczej za służącą, za prostytutkę gorszej kategorii. Imigrantka młodsza, bardziej Honduran-ka, warta jest więcej, mówią na nie »hostessy« albo teiboleras”.

W Calipso pop ustępuje muzyce z północy Meksyku. Rozmowa toczy się dalej.

– A to, co ci mówiła koleżanka z Hong Kongu, to prawda? Zarabiasz więcej niż w Gwatemali?

– Tak, to na pewno. Czasami pracuję jako kelnerka w ciągu dnia, a nocą jako tancerka, wtedy jestem w stanie wyciągnąć 2 tys. naraz.

W strefie przygranicznej znajduje się dom opieki nad kobietami, które podczas przeprawy do Stanów Zjednoczonych padły ofiarą gwałtów

albo handlu. Jego pracownicy poprosili, by nie ujawniać nazwy ich instytucji. „Wie pan, w tym siedzą różne mafie”, tłumaczyli. Analizując wszystkie sprawy, którymi się zajęli, dostrzegają dwa zasadnicze powody, dla których kobiety nie uciekają, tylko zostają. Jeden z nich jest taki, że zawsze zarabiają więcej, niż zarabiałaby w Ameryce Środkowej. Po miesiącu życia pod przymusem godzą się ze swoim losem i zaczynają dostrzegać jego pozytyw, widzą, że mają pieniądze, które mogą posyłać do domu, i dają się ponieść nocnemu życiu. Ostatecznie otaczają się pancerzem, który chroni je przed całym światem, w którym muszą się babrać.

– A twoja rodzina wie, gdzie jesteś?

– Mam kontakt tylko z ojcem, ale on nie wie, czym się zajmuję. Moja siostra coś podejrzewa. Myśli, że



pracuję jako kelnerka, nie wie, że tańczę, że wcześniej obsługiwałam klientów. (...) Moja rodzina nie może poznać prawdy. Nie zrozumieliby.

Drugim powodem, dla którego kobiety nie uciekają, tłumaczyli mi pracownicy przygranicznej organizacji, jest wstyd. Przeszłość. Konieczność

będzie posłuszna, skontaktują się z jej rodziną i pokażą zdjęcia, jak siedzi jakiegoś facetowi w barze na kolanach. Powiedz takiej Gwatemalce, że cała jej wioska dowie się, że wcale nie pracowała jako kelnerka, tylko jako prostytutka, i dodaj, że może sobie wracać. Zobaczysz, że nie będzie chciała”.

Słyszałam komentarze od kobiet, które zostały sprzedane, ale kiedy widzą, jak tu jest, zostają. Mówią, że podobają się im pieniądze.

wyjaśniania, gdzie były. I strach, że ich kłamstwa się wydadzą. Flores tłumaczy to na innym przykładzie. Po tutejszych barach krąży pogrożka: „Zwabiają młodą Indiankę, mówią, że będzie kelnerką, sprzedają jako prostytutkę. Zabierają jej dokumenty i powtarzają, że jeśli ucieknie, jeśli nie

Po ostatnim zdaniu z małych oczu Keny ciekną łzy.

– Czy przez te lata spotkałeś się z kobietami, które trzymane są siłą?

– Przyjechały z własnej woli, bo chciały. Słyszałam różne komentarze od kobiet, które zostały sprzedane, ale kiedy widzą, jak tu jest, zostają.

Rozmawiałam z niektórymi, mówią, że nie wyjechały, bo podobają się im pieniądze. Czyli są tu z własnej woli.

Znów to widmo. Znów subtelna sieć, która sprawia, że handel kobietami wcale nie wygląda na handel. To wina dziewczyn. Same chciały zostać. Stosowany przez handlarzy szantaż w umysłach kobiet przyzwyczajonych do cierpienia i do bycia traktowaną jak towar staje się po prostu propozycją. Ostatecznie nikt nie jest winny. Jest jak jest. Zawsze tak było.

Proceder handlu ludźmi jest mętny nawet dla tych, dla których nie powinien taki być. W Tapachuli mieści się jedno z biur Specjalnej Prokuratury do spraw Przestępstw przeciw Kobietom i Handlu Ludźmi (Fevintra). W całym Meksyku działają tylko trzy takie. I to mimo że w raporcie Biuro

► ONZ do spraw Narkotyków i Przestępczości wykazało, że w Meksyku zaniedbania władz i słaba wykrywalność sprawiają, że handel ludźmi coraz wyraźniej przybiera na sile. Tylko trzy biura w kraju składającym się z 31 stanów, choć Państwowy Instytut Statystyki i Geografii podaje, że ok. 20 tys. dzieci obu płci pozbawiane jest wolności i wykorzystywane seksualnie.

Chociaż zgodnie z międzynarodowymi umowami Meksyk powinien był to zrobić już w 2003 r., dopiero we wrześniu 2007 r. weszła w życie ustawa uznająca handel ludźmi

zgłoszeń nie ma. To niepokojące zjawisko, ale jakby widmowe, nie widać go. Trafiły do nas tylko cztery takie przypadki.

– A ile procesów udało się wygrać?

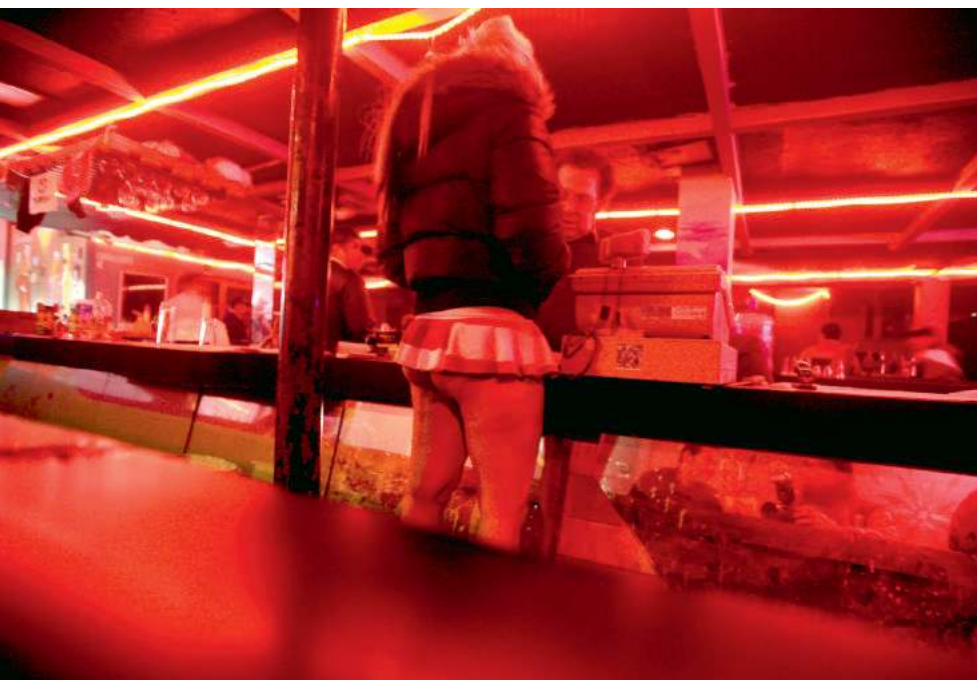
– We wszystkich tych sprawach procesy są w toku.

– Mogę porozmawiać z prokuratorem prowadzącym?

– Nie, to informacja niejawna.

W mieście banda kontroluje handel kobietami, porywa imigrantki i sprzedaje je kierowcom ciężarówek.

I to już jest jawne kłamstwo. Pewnego dnia pojechałem do Ciudad Hidalgo, odwiedziłem tam człowieka pracującego w magistracie. Powiedziałem mu, że interesuję się historiami dziewczyn zmuszonych do prostytucji, więc zaoferował się, że zaprowadzi mnie do baru o nazwie Las Nenitas, Panienki. O drugiej po południu za barem siedziały tylko dwie kobiety. Podeszła do nas



Tesa. Była z Hondurasu, bardzo ładna, wysoka, ciemnowłosa, w butach na koturnach, obcisłych spodniach i bluzie o dekolcie wprost skandalicznym. W Las Nenitas, opowiadał mi urzędnik, wszystkie uprawiają prostytucję. Powiedziałem Tesie, że chętnie bym z nią porozmawiał. Nie używałem określenia „handel ludźmi”. Zgodziła się pogadać, ale kiedy indziej, dała mi numer telefonu i nigdy nie odebrała.

Gdy wychodziliśmy z baru, urzędnik wyjaśnił mi, że właścicielem lokalu jest bardzo dobrze znany w Ciudad Hidalgo członek Los Zetas, czyli organizacji przestępczej, która działając niezależnie, pozostaje zarazem zbrojnym ramieniem Kartelu Zatokowego. „A skąd to wie?”, zapytałem. Odparł, że Ciudad Hidalgo to bardzo małe miasto, a właściciel zawsze chadza z karabinem AR-15 i w towarzystwie trzech uzbrojonych ochroniarzy. Powiedział też, że w mieście banda kontroluje cały handel kobietami, wysyła ludzi, żeby werbowali dziewczyny w Ameryce Środkowej, i czasami porywa imigrantki, po czym sprzedaje je kierowcom ciężarówek jako materiał, który należy zużyć i wyrzucić. Na jedną noc. „Nie podawaj mojego nazwiska, proszę”, rzucił na odchodne urzędnik.

za przestępstwo i nakazująca władzom przeciwdziałanie mu. Tyle że ustawie tej nie towarzyszą żadne przepisy wykonawcze, które określałyby zasady działania instytucji ścigających to przestępstwo, nie utworzono też międzyinstytucjonalnej komisji, która powinna się zająć tymi przepisami i stworzyć system informacji.

W swoim biurze David Tamayo, prokurator „antyniewolniczy” z Tapachuli, (...) odpowiada pełen wątpliwości i niezdecydowany.

– Jak często trafiają do państwa skargi na handel kobietami z Ameryki Środkowej?

– Jest ich bardzo niewiele. To rodzaj przestępstwa, o którym zwykle się nie donosi, bo interweniujące instytucje – Migra i inne – się nimi nie zajmują, deportują te kobiety, więc

– Jesteście prokuratorem, czy nie powinniście tego ścigać z urzędu?

– Nie. To by upolityczniło całą sprawę. Naszymi zadaniami są propagowanie prawa i prewencja. To policja powinna podejmować działania. Czasem uprzedza nas o nich, czasem nie. Chodzi o zapobieganie przeciekom. To kolejny z naszych problemów: nigdy nie wiemy, kiedy będzie jakaś akcja. Grupy przestępcze mają w policji swoich ludzi.

– Czy to są dobrze zorganizowane siatki przestępcze?

– Działają jak typowe kartele. Pełnią wszystkie przestępstwa ścigane na poziomie federalnym: uprowadzenia, handel narkotykami, handel ludźmi. Nie wiemy dokładnie, jaka grupa w tym siedzi. Nie ma jak jej zidentyfikować.

Fragmenty książki
Óscara Martíneza
*Bestia. O ludziach,
którzy nikogo nie
obchodzą*, przekład
Tomasz Pindel, Post
Factum, Katowice 2019



Szczerski – znowu mu nie wyszło

Stało się to, co musiało się stać. Krzysztof Szczerski, szef Gabinetu Prezydenta RP, nie będzie komisarzem w Unii Europejskiej. W ten sposób do CV może dopisać kolejną posadę, o którą się starał i której nie dostał.

O tym, że Szczerski ma niewielkie szanse na tekę komisarza, pisaliśmy kilka tygodni temu. Głównym powodem jest jego brak kompetencji. Aspirował do objęcia teki komisarza ds. infrastruktury albo ds. polityki regionalnej. Sęk w tym, że nie zna się ani na infrastrukturze, ani na polityce regionalnej. Oczywiście na poziomie, jaki jest wymagany w Unii Europejskiej, a nie w Polsce PiS.

Do braku kwalifikacji trzeba dodać jego działalność publicystyczną, w której przewidywał rozpad Unii Europejskiej, ba, wręcz tego oczekiwał, co czyniło zeń łatwy cel. Jest zwyczajem Unii, że kandydaci na komisarzy przechodzą przez kilka sit selekcji. Najpierw są przesłuchiwanie przez szefa Komisji Europejskiej. A potem przesłuchania odbywają się w Parlamencie Europejskim, w komisjach parlamentarnych. To są trudne rozmowy. I wiadomo już, że na Szczerskiego, reprezentanta Polski pisowskiej, ostrzyło sobie zęby kilka frakcji.

Tak wyglądało pole przed bitwą, do której Szczerski nie przystąpił.

Jej zapowiedź otrzymał już w pierwszych dniach sierpnia, kiedy pojechał do Brukseli na spotkanie z przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulą von den Leyen. Z przecieków wynikało, że wypadł słabo i będzie miał poważne kłopoty podczas przesłuchań u przewodniczącej, które zaczęły się po 26 sierpnia. Nie mówiąc już o Parlamencie Europejskim.

Wycofał się więc, a mediom wytłumaczył to tak: „Ponieważ pojawiła się wcześniej niezakładana przez nas możliwość objęcia przez Polskę teki komisarza

ds. rolnictwa, to zdecydowałem się wycofać swoją kandydaturę. Uważam, że jest to tak ważna dla Polski teka, że powinien ją objąć ktoś, kto rzeczywiście zajmował się rolnictwem całe życie. Zaproponowałem Janusza Wojciechowskiego”.

To oświadczenie Szczerskiego ma dwa poziomy śmieszności.

Po pierwsze, jego wiedza na temat rolnictwa jest podobna do wiedzy na temat polityki regionalnej czy też infrastruktury. I gdyby miał gwarancję, że suchą nogą przejdzie przez przesłuchania, wziąłby tę tekę. Podobnie jak wziąłby tekę zastępcy szefa NATO, o którą się ubiegał.

Po drugie, niewątpliwie się pomylił, mówiąc, że Janusz Wojciechowski, europoseł PiS, całe życie zajmował się rolnictwem. Bo tak nie jest. Owszem, był przez krótki czas szefem PSL, ale to nie wystarcza, by nazwać się specem od rolnictwa, ponieważ jest sędzią, który przeskoczył do polityki.

Jako pierwszy zwrócił na to uwagę **Krzysztof Janik**. Oto jego słowa: „**Jednym z najważniejszych celów reformy sądów było usunięcie z nich tych, którzy orzekali w stanie wojennym. Jest pierwszy sukces. Sędzia orzekający w stanie wojennym w Skierniewicach – Janusz Wojciechowski – zostanie odsunięty na stanowisko komisarza w Komisji Europejskiej. Tak trzymać, towarzysze!**”.

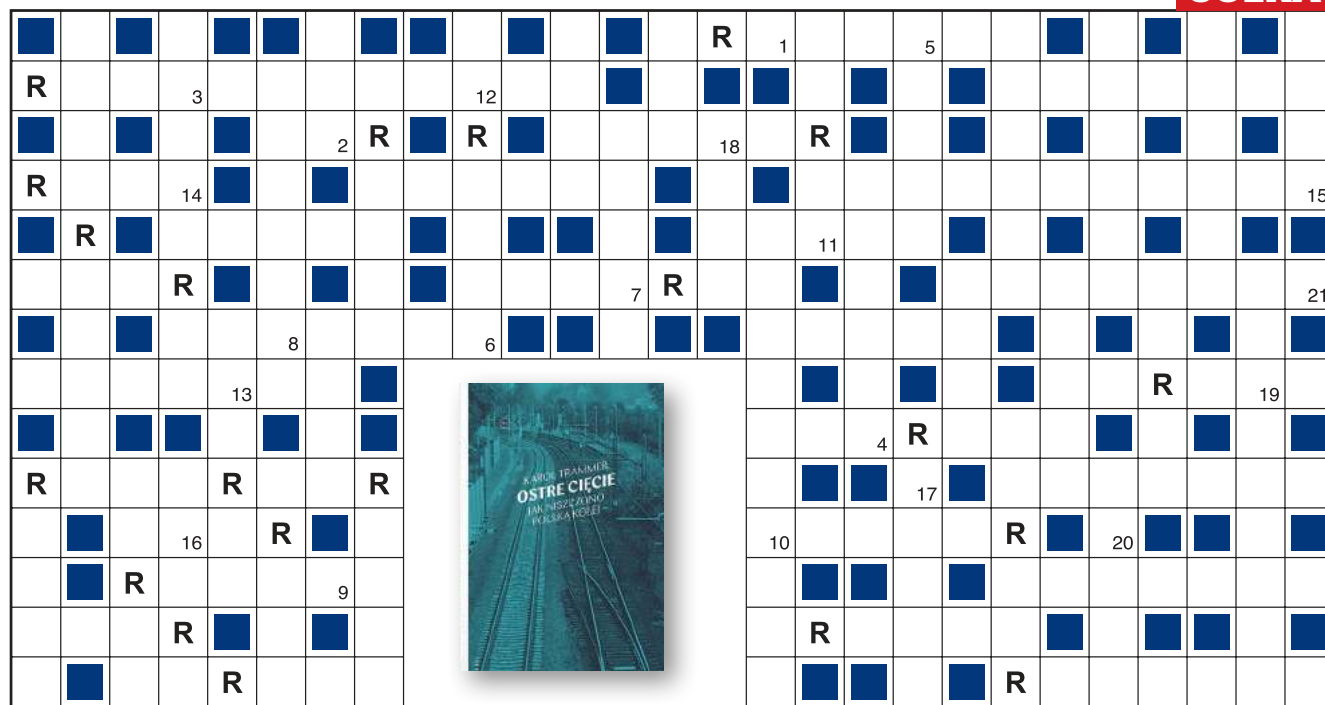
W wojnie o niezależność sądów w Polsce i Mateusz Morawiecki, i politycy PiS przekonywali w Brukseli, że nie chcą łamać sędziowskich kręgosłupów, chcą tylko wyczyścić polskie sądy z tych, którzy orzekali w stanie wojennym. A teraz prezydencki minister rekomenduje do Komisji Europejskiej takiego właśnie człowieka.

Takie rzeczy tylko w Polsce.

Attaché

Surfowanie po eskimosku – dzieci z Napakiak na Alasce. W związku ze zmianami klimatycznymi lokalni przywódcy myślą o przeniesieniu tej 700-osobowej wioski zamieszkaanej przez ludność Yupik w inne rejony.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- i motyli, i Horatio Nelson
- pani psa Asa
- zaloty
- rzeka w Rosji i Chinach
- paryski opryszek
- ...X – policyjna komórka od nierozwiązanych zbrodni
- miasto rodzinne Margaret Mitchell
- dodatkowa walka zawodników z równą liczbą punktów
- o dodatkowych, często nielegalnych zarobkach
- mąż, paćka
- pazerność
- tam festiwal Kino na Granicy
- przytaczany z klasyka
- ...prysł
- okres, stosowna, właściwa pora
- ...sędziów dostawała hejterka Emilia
- bratnia lub zbłąkana
- obsługiwane przez artylerzystów
- i wydawca książek, i program komputerowy
- duża antylopa
- Herakles, Tezeusz lub Achilles
- niemiłe widziany w jakimś miejscu
- w głosie szydercy
- najdłuższy, lewy dopływ Obu
- album ze zbiorami filatelisty
- do przyklejania klepek podłogowych, papy
- bywa wypożyczany na plaży
- kędziorki
- dawny muzułmanin z Hiszpanii
- coś potężnego, nienasyconego, duża, niesprawna instytucja
- czarnoszyi na jeziorze
- adresat przesyłki, dzieła, informacji
- ...kadr to zastrzyk świeżej krwi
- najbliższa – widziana z okna
- łańcuchy, kajdany
- mechaniczna w tytule filmu Kubricka
- ogonki liści na kompot i ciasto
- pokazuje się komuś, gdzie zimują
- pomost do przeladunku
- parlament Szwecji
- tu 300+, tam 500+, w planach kolejne plusy
- zawieszenie broni
- biegłość lub schematyczność
- do niej – z sensem, od niej – bez sensu
- mastif towarzyszący Nel
- pod obrusem i w żłóbku
- żrąca do wyrobu mydła
- z warzywami w dzień targowy
- z logo sponsorów za celebrytami na imprezie
- towarzyska albo do kawy
- miejsce mąk Tantalą i Syzyfa
- duża siła i wytrzymałość
- wyrabianie gobelinów
- wedłowski albo bezowy
- np. podjazd dla niepełnosprawnych
- jej ujście pod Kostrzynem nad Odrą
- dawna rosyjska jednostka drogowych miar długości
- paszportowy do złożenia
- niejedna w Słowińskim Parku Narodowym
- zwierzę z długą szyją

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-924”. Do rozlosowania książki „Ostre cięcie” ufundowane przez Wydawnictwo Krytyki Politycznej. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 8 września 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-921” z 18 sierpnia: Miłość to gra bez zasad.
Nagrody otrzymują: Cecylia Anuszkiewicz z Sejn, Michał Kulesza z Warszawy, Krystyna Stąpor z Koszalina.

PENETRACJE

alehistoria **PROF. LECH KOBYLIŃSKI**
„KONRAD”, DOWÓDCA
BATALIONU SZTURMOWEGO IM. CZWARTAKÓW

Dla mnie cały czas zaskakująca jest decyzja o wybuchu powstania 1 sierpnia. Dzień czy dwa wcześniej widzieliśmy, jak Alejami Jerozolimskimi ciągnie na wschód świeża dywizja pancerna Hermann Göring. Koncepcja rządu londyńskiego była inna, ale to nie było tak, że działaliśmy w interesie obcego mocarstwa. Ja przynajmniej jako żołnierz, powstaniec tak tego nie odczułem. Neguje się nawet, że była armia Berlinga czy 2. Armia Wojska Polskiego. A przecież oni też walczyli o Polskę i za nią. Nie za Stalina.

MONDE
diplomatique **PRZEMYSŁAW WIELGOSZ**,
REDAKTOR NACZELNY

Warto się przyjrzeć opublikowanym niedawno wynikom dwóch badań. Pierwsze, przeprowadzone przez badaczy ze szwajcarskiego ETH w Zurychu, wskazuje, że najlepszym sposobem na ograniczenie i zneutralizowanie efektów dotychczasowej emisji CO₂ jest posadzenie biliona drzew. Drugie, przygotowane przez zespół badaczy z Political Economy Research Institute przy University of Massachusetts konkluduje, że skrócenie czasu pracy o 10% zredukuje nasz ślad węglowy o 14,6%. A zatem jeśli skrócimy czas pracy o jeden dzień tygodniowo, ślad węglowy zmaleje o 36,6%.

Press **MACIEJ GŁOGOWSKI**,
GOSPODARZ „EKG – EKONOMIA, KAPITAŁ, GOSPODARKA” W RADIU TOK FM
Mamy w „EKG” taką wewnętrzną zasadę – od dwóch i pół roku nie było

takiego programu, żeby wśród gości nie było kobiety. Oczywiście mam też duży problem z tym, żeby niektóre ekspertki, które dobrze by było gościć w audycji, do tego przekonać. Co ciekawe, nigdy nie mam z tym problemu w przypadku panów. Obecność w naszej audycji jest dosyć dużą trampoliną. Wiemy to, bo wiemy, ile osób nas słucha i jaki mamy odzew po audycji. Ale naprawdę u nas liczy się najpierw osoba, a dopiero potem instytucja. Miewam takie sytuacje, kiedy ktoś przez lata reprezentował jakąś instytucję, więc pojawiał się w naszej audycji. I nagle przestaje tę instytucję reprezentować, a do audycji jest zapraszany dalej.

PANI **WOJCIECH MALAJKAT**,
REKTOR AKADEMII
TEATRALNEJ W WARSZAWIE

Byłem przy tym, jak Jerzy Grzegorzewski poprosił Zbyszka Zamachowskiego w czasie prób do spektaklu „Dziady: Improwizacje”, żeby zapał jak kogut o godz. 5 nad ranem z przecuciem śmierci. Im bardziej Zbyszek brnął w to zadanie, tym mniej wierzył, że to możliwe. Czy są takie koguty? Konaliśmy ze śmiechu we trzech, wiedząc, że to jest cudownie absurdalne i niewykonalne. Pośmialiśmy się, a on mówi: „Ale niech pan jednak spróbuje”. I Mumin, tak nazywamy Zbyszka od czasów studiów, zaskrzeczał, lecz bez wiary – dopiero wtedy zrezygnowaliśmy. Takie zadania świadczyły o jego wspaniałej wyobraźni i o tym, że często nie wiedział do końca, czego chce.

Aby język giętki...

PROF. ANDRZEJ FRISZKE
O ANDRZEJU DUDZIE

To, co mówi w sprawach historycznych, język włós na głowie.

PROF. JADWIGA STANISZKIS
O PRZYSZŁOŚCI PiS

Ta struktura w pewnym momencie pięknie od środka. Nie da się jej utrzymać. Ostatecznie PiS zniknie z mapy politycznej.

IRENA SANTOR O KOBIECIACH

Jestem feministką pełną gębą. Mówienie o gorszej płci i o gorszym sortcie uważam za barbarzyństwo.

ADAM ZAGAJEWSKI
O ZAGROŻENIACH DLA WOLNOŚCI

Ignorancja, poleganie na niesprawdzonych informacjach. Zaufanie do mediów, którym nie powinno się ufać.

HENRYK MARTENKA
O ZBIGNIEWIE ZIOBRZE

Mściwy i fanatyczny. Jest na pewno przygotowany, gdyby prezesowi strzeliło coś desperackiego do siwej głowy.

TYMON TYMAŃSKI O SOBIE

Byłem i będę niszowy, pojebany. Najważniejsza dla mnie jest dziwaczność, kanciastość, inność.

MICHAŁ URBANIAK O KSIĘZACH

Ksiądz poucza z amfony, a potem widzisz go nachlanego z kochanką.

MARTA MANOWSKA O ŚLĄZACZKACH

Silne, nieustępliwe, twarde, trochę nawet rubaszne. Siła w charakterze, ale też ciepło i rubaszność.

JAN ENGLERT O JACKU BRACIAKU

Przy takich warunkach (164 cm) trzeba ciężko zasuwać. Niski aktor musi być ambitny.

JERZY IWASZKIEWICZ O PLANIE BUDOWY AUTOSTRADY PRZESZŁOŚCIĄ

„Dobra zmiana” wyraźnie specjalizuje się w robieniu gigantycznych bezsensów.

IZA KUNA O FRANCUZACH

Podoba mi się to, że Francuzi są arogancy.

JAKUB JÓZEFOWICZ O OJCU JANUSZU

Dorastanie u boku kogoś tak charyzmatycznego i bezkompromisowego to prawdziwe błogosławieństwo.



FOT. BEATA ZAWADZKA/EAST NEWS

Członkowie Akcji Demokracja dostarczyli do biura podawczego KPRM podpisy pod apelem o dymisję ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry.

Pan Helmut szuka miliona

Władze Bielefeldu w Nadrenii Północnej-Westfalii zaofiarowały 1 mln euro za niezбитý dowód, że ich miasto nie istnieje. Odpowiedziały w ten sposób na żartobliwą internetową teorię spiskową, która w tym roku obchodzi ćwierćwiecze. W wyzwaniu mogą wziąć udział osoby pełnoletnie, a zgłoszenia – w formie fotografii, filmów czy tekstów – przyjmowane są do 5 września. Samorządowcy deklarują, że w 99,99% są pewni, że obalą każdą przedstawioną argumentację. Oczywiście o ile takie argumenty istnieją.

Ha, ha w parku

Amerykańscy naukowcy przyjrzeni się wpisom na Twitterze zamieszczanym przez 4,7 tys. mieszkańców San Francisco odwiedzających 160 tamtejszych parków. Wykorzystali do tego program, który wyłapywał i zliczał takie słowa jak szczęście, ha, ha, pułapka czy więzienie. – Zaobserwowaliśmy, że wpisy dokonywane podczas wizyt w parkach były wyraźnie radośniejsze – ujawnił Aaron Schwartz z Uniwersytetu Vermontu. Dodał, że pozytywny wpływ zieleni na samopoczucie był najsilniejszy w parkach, które miały dużo drzew i innej roślinności. Cóż, nie powiemy, że jesteśmy zieloni ze zdziwienia.

Sorry, taki mamy klimat

Do grona poszkodowanych przez zmiany klimatu dołączyli: potentat branży obuwniczej oraz muzulmańscy pielgrzymi. W związku z pogarszającymi się wynikami

finansowymi wartość akcji firmy CCC spadła w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy aż o połowę. Spółka tłumaczy, że za niezadowolający poziom zysków odpowiada właśnie anomalie klimatyczne, np. przez wyjątkowo zimny marzec w zeszłym roku opóźniło się rozpoczęcie sprzedaży kolekcji wiosenno-letniej. Jeszcze smutniejszy jest los osób podróżujących do Mekki. Naukowcy z Massachusetts Institute of Technology alarmują, że w Arabii Saudyjskiej jest coraz więcej dni z ekstremalnie niebezpieczną dla zdrowia kombinacją temperatury i wilgotności.

Urlop w konwencji „zrób to sam”

Firma LELO produkująca zabawki erotyczne oferuje pracownikom nietypowy urlop. Dodatkowe cztery dni wolnego, zwane dniami miłości, mają oni przeznaczać na... masturbację. Uzasadnieniem jest pozytywny wpływ przyjemności seksualnej na zdrowie psychiczne i fizyczne, a co za tym idzie – na kreatywność i produktywność w pracy. Na razie nie wiadomo, co o tej idei sądzą zatrudnieni w LELO, ale niekoniecznie są zachwyceni.

Nie ma różu bez kołców

Od dawna uważa się, że kolor różowy łagodzi stres i poczucie osamotnienia, dlatego kilka szwajcarskich więzień zdecydowało się pomalować cele na odcień tego koloru, noszący nazwę Cool Down Pink. Choć personel więzienny twierdzi, że osadzeni w takich celach znacznie rzadziej zachowują się agresywnie, są i krytycy inicjatywy. Część więźniów skarży się, że pobyt w pomieszczeniu przypominającym sypialnię małej dziewczynki jest dla nich wyjątkowo poniżający. Jak widać, rzeczywistość za kratami nie jest różowa nawet wtedy, gdy wokół jest różowo.

Do zakochania jeden klik

Znowu amerykańscy naukowcy: tym razem ogłosili, że osoby używające emotikonów częściej umawiają się na drugą randkę oraz częściej uprawiają seks niż te, które nie wyrażają w internecie nastroju za pomocą buziek. Według badaczy z Uniwersytetu Indiany dzieje się tak dlatego, że dzięki bużkom użytkownicy internetu są w stanie lepiej komunikować swoją osobowość, emocje, potrzeby i zamiary. Niestety, nie sprawdzono wpływu wywieranego na rozmówców przez poszczególne ikony. Tak czy inaczej określenie ikona seksu nabiera właśnie nowego znaczenia.

MEMY BEZ ŚCIEMY





Cyfrowa rekonstrukcja twarzy kandydata do prehistorycznego panteonu. Na 3,8 mln lat szacują naukowcy wiek „niezwykle kompletnej” czaszki australopiteka znalezionej w Etiopii.

Flora na ratunek faunie

Przeszczepy flory jelitowej mogą się okazać nowym narzędziem ochrony koali. Dociekliwi australijscy badacze ustalili bowiem, że mikroorganizmy występujące w jelitach tych torbaczy ograniczają wybór gatunków eukaliptusa, na których one żerują. Dr Michaela Blyton z Uniwersytetu Queensland oraz dr Ben Moore z Uniwersytetu Zachodniego Sydney podawali sympatycznym miśkom kapsułki zawierające mikroorganizmy żyjące w układzie pokarmowym ich pobratymców o innej diecie, dzięki czemu zwierzęta stawały się mniej wybredne. Odkrycie daje nadzieję na skuteczniejsze ratowanie koali, np. w sytuacji, gdy ich ulubione drzewa ulegają nadmiernemu przeredzeniu lub gdy konieczne są przenosiny do innych siedlisk.



FOT. AFP/EAST NEWS (2), SEKCJAGIMINASTYCZNA, MEMYTUTAJ (2)



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 **wew. 119**
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszczy (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojszak-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzyt: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Natalia Czarnecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





KOBIET(ON)Y

Malarstwo Doroty Kuźnik to nie „ładny obrazek”. Artystka tworzy wizerunek kobiety inspirowany malarstwem średniowiecznym i wczesno-renańsowym, odwołuje się także do tradycji portretu trumiennego. Nawiązuje do dualizmu ciała i duszy, piękna i brzydoty, rozkwitu i rozkładu, młodości i starości, wreszcie życia i śmierci. Często działa na widza celową deformacją lub bardzo odważnym tematem. Wciąga odbiorców w grę, działa na emocje, skłania do refleksji i własnych poszukiwań. Jej malarski świat w całości dotyczy kobiecości: tego, jaka kobieta jest, jak siebie postrzega, jak widzi ją otoczenie i jak stara się ją formować, wywierać na nią presję.

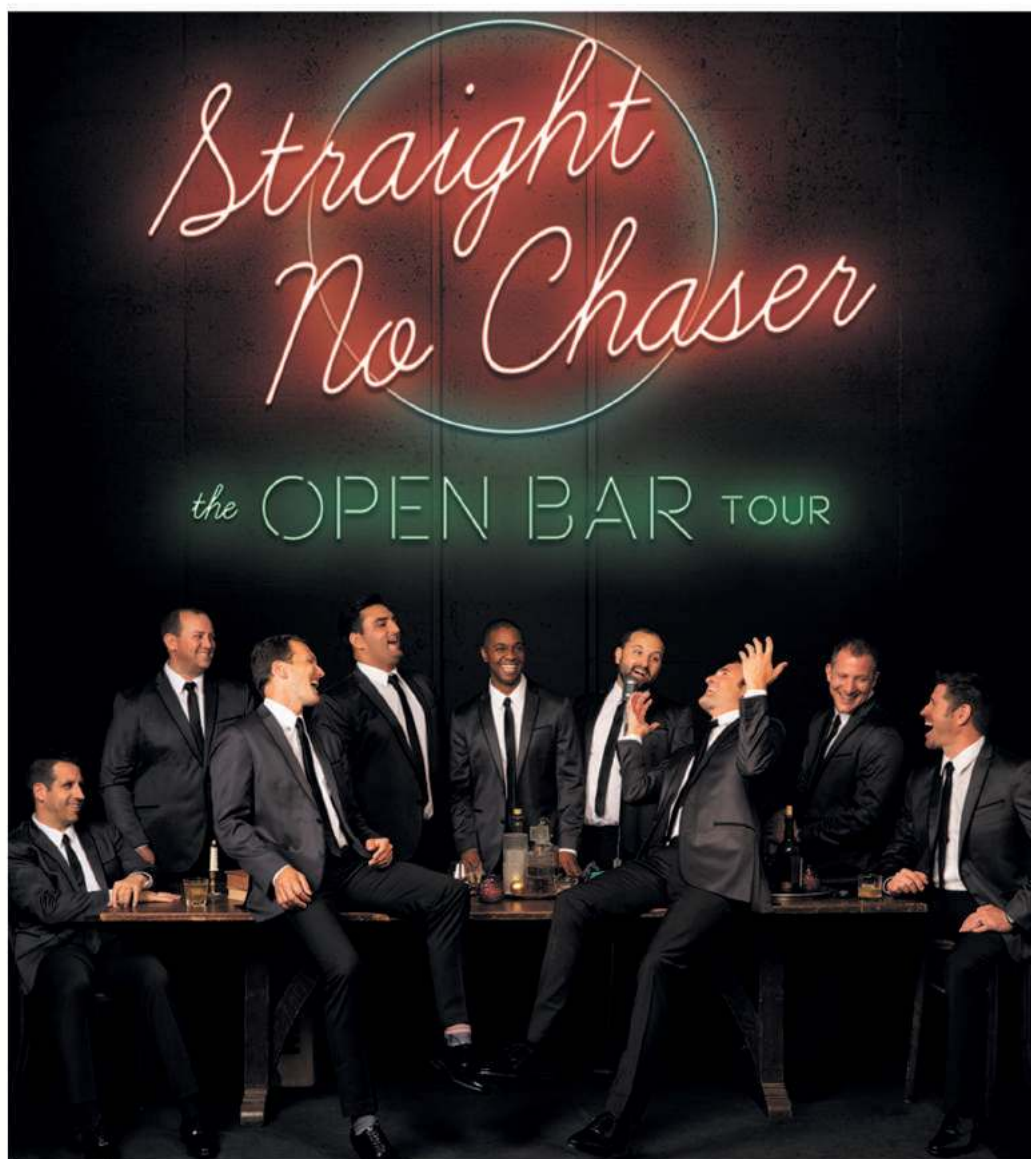
**Galeria Sztuki Współczesnej
Brzeg, Rynek – Ratusz
do 15 września**



STODOLA

more
than
live
music

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY



13.09.2019

OPEN STAGE

KLUB STODOŁA | WARSZAWA

STODOLA

BILETY: STODOLA.PL | LIVENATION.PL

LIVE NATION



www.sncmusic.com



/straightnochaser



@sncmusic



@sncmusic

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL

ORAZ W KASIE KLUBU STODOŁA (ul. Batorego 10, Warszawa)

ABSURDALNIE ZABAWNA KOMEDIA ROMANTYCZNA

NIEZBĘDNA KONIECZNOŚĆ

SZCZEGÓLNICIE POLECANA FANOM WESA ANDERSONA!

REŻYSERIA ERWAN LE DUC

QUINZAINE
TYDZIEŃ KRYTYKI FILMOWEJ
CANNES

W KINACH OD 13 WRZEŚNIA

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa”



AURORA